

Anna Bikont

# NIGDY NIE BYŁAŚ ŻYDÓWKĄ

Sześć opowieści o dziewczynkach w ukryciu



W serii ukazały się ostatnio:

Norman Lewis *Neapol '44. Pamiętnik oficera wywiadu z okupowanych Włoch* (wyd. 2)

Stig Dagerman *Niemiecka jesień. Reportaż z podróży po Niemczech* (wyd. 2)

Jakub Szymczak *Ja łebków nie dawałem. Procesy przed Żydowskim Sądem Społecznym*

Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 5)

Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 3)

Marjorie Wallace *Milczące bliźniaczki*

Norman Lewis *Głasy starego morza. W poszukiwaniu utraconej Hiszpanii* (wyd. 2)

Jerzy Haszczyński *Rzeźnia numer jeden i inne reportaże z Niemiec*

Ed Vulliamy *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy* (wyd. 2)

Karolina Domagalska *Nie przeproszę, że urodziłam. Historie rodzin z in vitro* (wyd. 2)

Lene Wold *Honor. Opowieść ojca, który zabił własną córkę* (wyd. 2)

Tomasz Grzywaczewski *Wymazana granica. Śladami II Rzeczypospolitej* (wyd. 2)

Peter Robb *Sycylijski mrok* (wyd. 3)

Amos Oz *Na ziemi Izraela*

Iza Klementowska *Samotność Portugalczyka* (wyd. 2)

Aneta Pawłowska-Krać *Głośnik w głowie. O leczeniu psychiatrycznym w Polsce* (wyd. 2)

Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 4)

John Vaillant *Tygrys. Na tropie rosyjskiej bestii*

Harley Rustad *Zagubiony w Dolinie Śmierci. Obsesja i groza w Himalajach*

Bartek Sabela *Wędrownka tusz*

Jamie Bartlett *Królowa kryptowaluty. Historia miliardowego cyberprzekrętu*

Małgorzata Nocuń *Miłość to cała moja wina. O kobietach z byłego Związku Radzieckiego*

Roman Husarski *Kraj niespokojnego poranka. Pamięć i bunt w Korei Południowej*  
(wyd. 2)

Bartosz Józefiak *Wszyscy tak jeżdżą*

Tomáš Forró *Gorączka złota. Jak upadała Wenezuela*

Douglas Preston, Mario Spezi *Potwór z Florencji. Śledztwo w sprawie seryjnego mordercy*

Piotr Lipiński *Wasilewska. Czarno-biała*

Agnieszka Pikulicka-Wilczewska *Nowy Uzbekistan*

Taina Tervonen *Grabarki. Długi cień wojny w Bośni*

Kalina Błazejowska *Bezdušní. Zapomniana zagłada chorych*

Katarzyna Kobylarczyk *Ciałko. Hiszpania kradnie swoje dzieci*

Jacek Hołub *Beze mnie jesteś nikim. Przemoc w polskich domach* (wyd. 2)

W serii ukazały się m. in.:

Jelena Kostiuczenko *Przyszło nam tu żyć. Reportaże z Rosji* (wyd. 3)

Barbara Demick *Świata nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 3)

Anna Bikont

**Nigdy nie byłaś Żydówką**  
**Sześć opowieści o dziewczynkach w ukryciu**

wydawnictwo  czarne

Wołowiec 2023

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Na okładce fotografia Elżuni Frydrych, z archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

Wybór fotografii Anna Bikont i Magdalena Budzińska

Copyright © by Anna Bikont, 2023

Redakcja Magdalena Budzińska

Korekta Julia Żak / d2d.pl, Iwona Łaskawiec / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka d2d.pl

ISBN 978-83-8191-804-6

# Spis treści

*Seria*

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Epigraf*

1 Elżunia

2 Blima

3 Janka

4 Dorka

5 Małka

6 Irena

*Podziękowania*

*Bibliografia*

*Przypisy końcowe*

*Przypisy*

*Kolofon*

Tam na środku podwórza  
stoją Lilka i Róża:  
znów się istnieć uparły  
jak to bywa umarłym.

Ja nie pójde, nie pobawię się z wami  
mnie nie wolno z umarłymi dziewczynkami.  
„Chodź Joaśka zagramy w klasy!”  
Mnie nie wolno wy robicie grymasy.  
„Chodź Joaśka za kamykiem poskacz!”  
Mnie nie wolno, wy mówicie z żydowska.  
[...]<sup>1</sup>

Joanna Kulmowa, *Klasy*

# 1 Elżunia

## 1

„Jak zaczęli strzelać, powiedział, że ma córkę w klasztorze w Zamościu, że on nie przeżyje tego, a ja przeżyję, więc mam zająć się po wojnie tą córką. Powiedziałem: »Dobra, dobra, nie pleć głupstw«”<sup>1</sup>. Był 19 kwietnia 1943 roku, dzień wybuchu powstania w getcie warszawskim.

Reporterka Hanna Krall zapytała Marka Edelmana, co się stało z dziewczynką.

„– Nie ma jej. Wyjechała do Ameryki. Jacyś bogaci ludzie zaadoptowali ją i bardzo ją kochali. Elżunia była piękna i mądra. A potem popełniła samobójstwo.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Kiedy byłem w Ameryce, poszedłem do tych rodziców. Pokazali mi jej pokój. Niczego w nim nie zmieniali od jej śmierci. Ale nadal nie wiem, dlaczego to zrobiła”<sup>2</sup>.

„Miała wszystko – pisała dalej Krall w książce *Zdążyć przed Panem Bogiem* – kochających rodziców, pokój z drogimi zabawkami, a później świetny dyplom i przystojnego narzeczonego, ale któregoś dnia połknęła środki nasenne i został po niej ten piękny pokój, seledynowo-biały, w którym jej dobry amerykański ojciec nie pozwala przestawić żadnej rzeczy i mówi, że tak musi zostać na zawsze. Amerykański ojciec pytał doktora Edelmana, dlaczego ona to zrobiła, ale nie umiał odpowiedzieć, chociaż to była Elżunia, córka Zygmunta, który mówił: »Ja nie przeżyję tego, ale ty przeżyjesz, więc żebyś pamiętał, że w Zamościu, w klasztorze, jest moje dziecko...«”<sup>3</sup>.

W Przemyślu, nie w Zamościu. Ale to nie Edelman ją stamtąd zabrał, więc nie musiał pamiętać.

Elżunia, wtedy już Elza Shatzkin, popełniła samobójstwo 18 października 1962 roku, miała dwadzieścia pięć lat. Cztery lata wcześniej opublikowała w magazynie literackim Uniwersytetu Cornell opowiadanie o sześciolatniej żydowskiej dziewczynce ukrywanej w klasztorze:

*Przemyśl – grudzień 1942*



Szósta rano. Znowu jest szósta rano, bo słyszę dźwięk dzwonu. Nienawidzę tego dźwięku. Mam sześć lat i jest godzina szósta. To miłe. Muszę zobaczyć, czy Józefina się obudziła. Ma tylko cztery lata. Jeśli się nie obudzi albo jeśli zmoczy łóżko, zbiją mnie, a może ją też. Biją każdego, szczególnie jeśli jesteś mała. Przyszła siostra Katarzyna. Nosi ciężką brązową suknię, długą do ziemi, na którą mówią „habit”. [...]

Chodź, Józefino, teraz się umyjemy. Józefina nie zmoczyła znów łóżka. Przytula się do mnie, jakbym była jej matką. Ale ja jestem za mała. [...]

Dzisiaj jest sobota. Wieczorem wykapiemy się i dadzą nam czyste koszule. Być nagą to nie jest miłe, dlatego musimy mieć na sobie nasze brudne koszule, kiedy się kąpiemy, i myć się pod koszulą. [...]

Dlaczego siostra Agata jest niedobra? Jest ładna, ale niedobra. Janka miała dziurawe majtki. Wszystkie stałyśmy w szeregu i Janka musiała zdjąć majtki, a siostra Agata zbiła ją paskiem od habitu. Janka płakała, bo się wstydziła i ją bolało.

Matka przełożona jest dla mnie miła. Wie, że jestem Żydówką i naprawdę nie nazywam się Maria. Nazywam się Chana Stern. To źle być Żydem i nigdy nikomu o tym nie powiem. Wszystkie siostry by zginęły i mnie by zabito. Mam bardzo dobre stopnie z religii i chcę pójść do pierwszej komunii, ale mi nie pozwolą. Mam nadzieję, że matka przełożona nie powiedziała im, że jestem Żydówką. Żydzi robią macę z krwi chrześcijańskich dzieci. Mój dziadek był Żydem. Miał długą białą brodę i nosił kapotę, tak jak siostra Katarzyna. Wkładał szal w paski i modlił się do Boga cały dzień. Nie sądzę, by jadł taką macę.

Gdybym mogła mieć moją lalkę! Przyniósł mi ją tatuś. Nie wiem, gdzie oni teraz są. Lalka otwierała oczy i mówiła „mama”. Kiedyś, kiedy chorowałam na odrę, dawno temu, tatuś przyszedł ze swoim przyjacielem. On też był chyba Żydem. Nie dałam im poznać, że nie śpię, wyciągałam się i wyciągałam, żeby widzieli, że jestem duża.

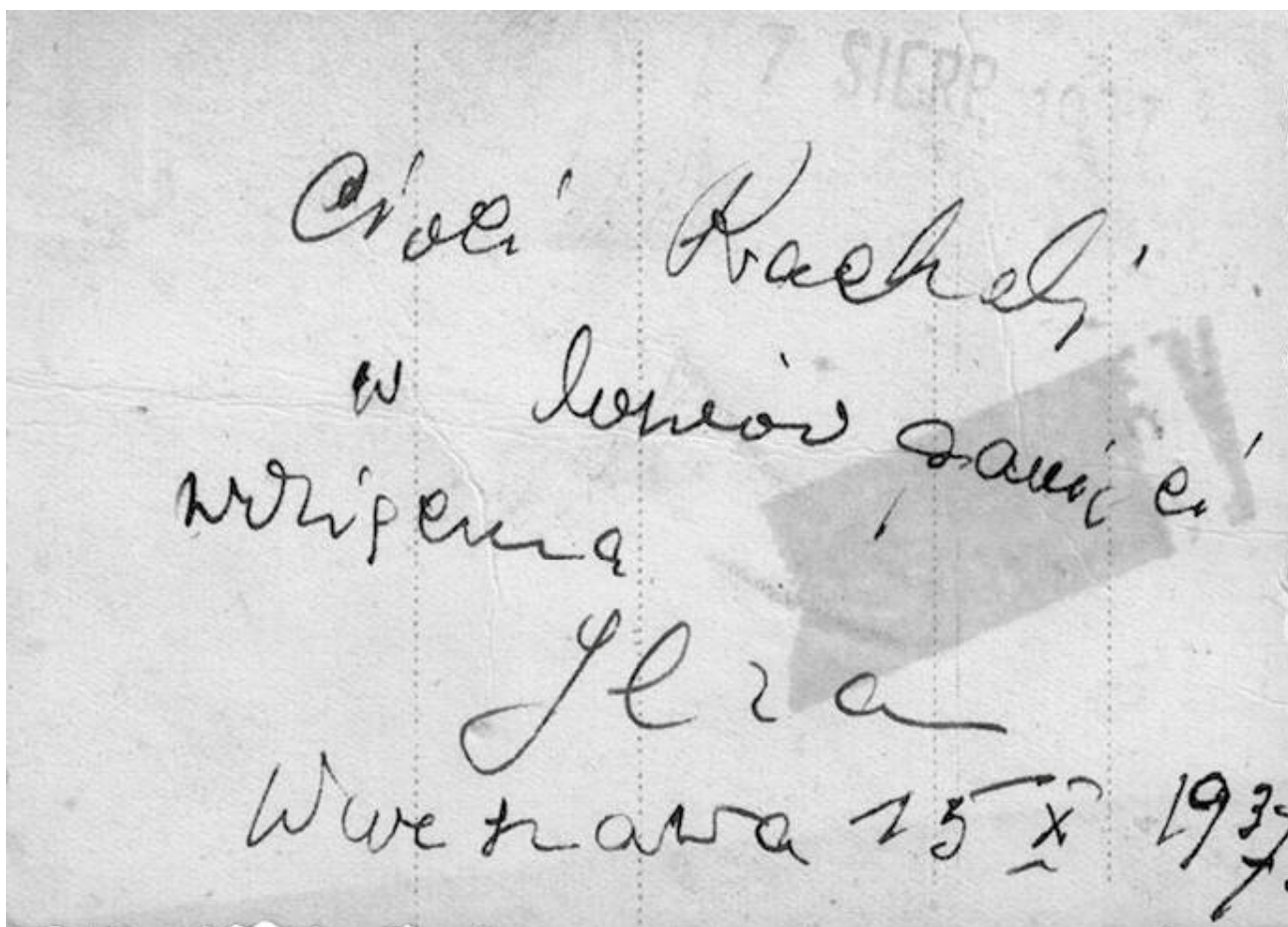
W zeszłym roku w żółtym pokoiku było nudno. Nikt w budynku nie mógł wiedzieć, że jesteśmy Żydami. Za dużo płakałam i pan Malinowski i mama zatykali mi usta okropną szarą chustką. On zawsze grał ze mną w domino i czytał mi różne opowieści. Był starym człowiekiem z rudą brodą, mama mówiła, że jest bohaterem. Czasami odwiedzał nas tatuś. Gwizdał na pobudkę, przytulał mnie i podrzucał do sufitu. Mama i pan Malinowski uczyli mnie, jak się modlić, wiązać sznurowadła i obierać jabłka tak, jak trzeba. Nauczyli mnie *Ojciec nasz* i innych specjalnych modlitw. [...]

Przejechał pociąg i usłyszałam długi gwizd. Rozpłakałam się, bo nikt mnie nie kocha i jestem sama na tym świecie. Chcę do mojej mamy i do mojego tatusia. Ale oni są Żydami. Mam nadzieję, że nie umarli. Jeśli nie są martwi, prawdopodobnie ktoś przyjdzie i zabierze mnie z powrotem do nich. Jest zimno, ale będę teraz spać. Jezus wie, że go kocham. Nie ma nic przeciwko Żydom<sup>4</sup>.

## 2

Urodziła się 18 grudnia 1936 roku. Pierwsze słowa, które słyszała, pewnie były w jidysz. Jej ojciec Zelman Frydrych był działaczem Bundu, a to był język bundowskich domów i język jej dzielnicy. Chociaż już pokolenie rodziców Elżuni zwracało się często do dzieci po polsku. Mieszkali na Pańskiej 67. Zelman był sekretarzem Jutrzenki (w jidysz – Morgensztern), organizacji prowadzącej robotnicze kluby sportowe. Wchodził w skład bundowskiej milicji, która broniła Żydów przed nacjonalistycznymi bojówkarzami<sup>5</sup>.





Cyna i Zelman Frydrychowice, 1939  
Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

Granica getta przecinała Pańską na wysokości numeru 71, tak że nie musieli się przeprowadzać, gdy Niemcy nakazali Żydom przeniesienie do dzielnicy zamkniętej<sup>6</sup>. (Później mieszkali przy Nowolipkach 60). W getcie Frydrych dalej organizował zajęcia sportowe dla młodzieży, miał też pracę (czy przynajmniej pieczętkę, że ją ma) jako urzędnik w Zakładzie Zaopatrywania Dzielnicy Żydowskiej.





Elżunia skończyła pięć lat z kawałkiem, gdy wiosną 1942 roku poszła w getcie do pierwszej klasy. Miała zajęcia z pisania, czytania, rachunków, śpiewu, robót ręcznych, gimnastyki, rytmiki i rysunku. Z wszystkiego dostała piątki – czwórkę tylko jedną, z pisania. Gdy spojrzeć na jej charakter pisma tuż po wojnie, trudno się dziwić – rzeczywiście bazgrała<sup>7</sup>.



Zdjęcia Zelmana Frydrycha i jego żony Cyny z legitymacji ubezpieczeniowej, 1937

Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego im. E. Ringelbluma

Tym pismem wypełniła cztery strony zatytułowane *Mój życiorys*. Anna Edelman, córka Aliny Margolis i Marka Edelmana, znalazła je po śmierci mamy wśród listów od Elżuni. Pewnie napisała to jeszcze w Polsce, na ich prośbę, niedługo po tym, jak do nich trafiła; pismo jest bardziej dziecinne niż to z listów wysyłanych już później, ze Szwecji i Stanów. Miała zatem mniej niż dziesięć lat. *Mój życiorys* to tytuł trochę na wyrost. Są to różne dziecinne opowieści,

nieskładające się w spójną całość. O getcie jedno zdanie: „Nosłam szmatkę na szyi, na której było napisane moje imię nazwisko i data urodzenia”.

Jej świadectwo szkolne, podobnie jak karty ubezpieczeniowe jej i rodziców, znajduje się w dziale dokumentów z gett Żydowskiego Instytutu Historycznego. Nie wiadomo, jak się zachowało ani jak tam trafiło. Gdy myślimy o czasie wojny, a szczególnie o Holokauście, wydaje nam się, że wywołał nagłe zerwanie więzów łączących ludzi z codziennością – ale tak nie było. Frydrych posługiwał się dalej tą samą legitymacją ubezpieczeniową, którą wyrobił sobie w latach trzydziestych. Na karcie ubezpieczeniowej Elżuni odnotowane są jej kolejne wizyty lekarskie, pierwsza w kwietniu 1937, ostatnia w lipcu 1941 roku, tyle tylko że jej lekarki, od czasu niemowlęctwa Elżuni potwierdzającej zalecenia medyczne czerwonym stemplem z nazwiskiem „dr Luba Aniosztejn”, nie ma już w getcie<sup>8</sup>.

W lipcu 1942 roku, gdy rozpoczęły się deportacje z getta, Bund wysłał Zelmę Frydrycha z misją. Trzeba było ustalić, dokąd jadą pociągi odjeżdżające z Umschlagplatzu – według zapewnień Niemców Żydzi byli wywożeni „na wschód” do pracy. Dobrze się nadawał do podróżowania po Polsce: „Jeden z najbardziej odważnych i niestrudzonych ludzi w podziemiu. Przystojny młody mężczyzna, silny, dobrze zbudowany, wysportowany, który wyglądał jak marzenie niemieckiego propagandyisty o aryjskim blondynie”<sup>9</sup>. Dojechał do Sokołowa Podlaskiego, gdzie dowiedział się, że linia kolejowa się rozwidła – Niemcy zbudowali nową bocznice, która prowadzi do niedalekiej wsi Treblinka. To tam jadą pociągi z Warszawy. Wracają puste. W Sokołowie spotkał uciekiniera z obozu, mężczyznę w strasznym stanie: mocno posiniaczonego, zakrwawionego, ubranie miał w strzępach<sup>10</sup>. Numer bundowskiego pisma „Ojf der Wach”, w którym ukazała się relacja Frydrycha, udało się wydrukować dopiero 20 września, już po zakończeniu wielkiej akcji, która pochłonęła trzysta tysięcy ofiar, ale wiadomości zdobyte przez Frydrycha, a także innych łączników i uciekinierów z Treblinka, rozchodziły się w getcie z ust do ust (inna sprawa, czy chciano w nie wierzyć)<sup>11</sup>.

Nie wiem, w którym momencie i jakim sposobem Elżunia wyszła z getta. Pewnie zorganizował to Frydrych po powrocie z Sokołowa. Nie mógł już mieć wątpliwości, że jeśli jego rodzina trafi na Umschlagplatz, będzie to oznaczać śmierć.

Z początku ukrywała się z matką po „aryjskiej stronie” na warszawskiej Woli. To był pokój z małym oknem wychodzącym na podwórko, w środku

tylko wąskie łóżko. Nie wolno im było wychodzić. Ojciec mieszkał gdzie indziej; wyposażony w „dobry wygląd” i dobre dokumenty, krążył między gettem a „aryjską stroną”, organizując przemyt broni do getta na przygotowywane powstanie. Gospodarze pozwalali mu odwiedzać żonę i córkę raz w tygodniu. „Byłam z mamusią, tatuś spał w hotelach, a resztę dnia nie wiem, jak spędzał, bo przychodził do nas tylko od czasu do czasu – opisała ten czas Elżunia. – Z nami też był pewien staruszek, który nazywał się Malinowski”<sup>12</sup>.

Naprawdę nazywał się Bernard Goldstein. Był kolegą czy raczej mentorem Zelmana, o dwa pokolenia starszym, znanym działaczem Bundu, przed wojną organizatorem bundowskiej samoobrony. Kierował nią dalej w kwietniu 1940 roku, w czasie tak zwanego pogromu wielkanocnego, gdy grupy młodych warszawiaków atakowały Żydów na ulicach i włamywały się do domów, gdzie biły, demolowały, kradły.

W listopadzie 1942 roku, czyli już po wielkiej akcji, Marek Edelman odprowadził Goldsteina do bramy getta, a po „aryjskiej stronie” czekał na niego Frydrych. Umieścił go tam, gdzie ukrył żonę i córkę. Z Bernardem spędziły miesiąc, półtora, siedząc na tym jednym wąskim łóżku i nasłuchując, co dzieje się u gospodarzy (tylko na noc ich współlokatorowi udostępniano pomieszczenie obok)<sup>13</sup>.

To z wydanej po wojnie w Stanach książki wspomnieniowej Goldsteina wiemy trochę o Elżuni z tamtego czasu. Gdy Goldstein przyszedł, jej mama, „ta sama elegancka piękna Cyła”, rozplakała się na jego widok. Pięcioletnia dziewczynka, „ładna, ruchliwa blondynka, której niebieskie oczy promieniały energią i inteligencją”, przesiadywała przy oknie, patrząc, jak inne dzieci bawią się na podwórku, i nie umiejąc zrozumieć, dlaczego nie może do nich dołączyć. „Zarazem jednak przerażało nas – pisał – jak świadoma jest naszej niebezpiecznej sytuacji. Czasem zapominałem się i przechodziłem na jidysz. Niemal wpadała w histerię. »Niech pan przestanie mówić w tym języku. Nie rozumie pan, że chodzi o nasze życie?« – syczała groźnie po polsku”. Często płakała. „Matka próbowała ją uciszyć. Czasem jedynym sposobem było wciśnięcie do jej małej buzi chusteczki. Płacz dziecka bardzo denerwował naszą gospodynię. Sąsiedzi wiedzieli, że nie ma dzieci”<sup>14</sup>.

Małżeństwo Chomątowskich, które ich ukrywało, prowadziło bogate życie towarzyskie, wieczory przy kartach przeciągały się do późna<sup>15</sup>. Odwiedzał ich też sąsiad pracujący w tej samej fabryce co Chomątowski, zagorzały



narodowiec, raz został na noc. „Cyla i ja siedzieliśmy całą noc, trzęsąc się ze strachu, że dziecko mogłoby się obudzić i zapłakać lub odezwać się zbyt głośno, może poprosić o wodę, o cokolwiek, a to byłoby dla nas wyrokiem”<sup>16</sup>.

„Musiałyśmy z mamusią mówić cicho i bronić zagładania do pokoju” – zapamiętała ten czas Elżunia<sup>17</sup>.

Gospodarz, działacz podziemia, zachowywał stoicki spokój, natomiast gospodyni panicznie się bała i co raz wybuchała płaczem. Zgodziła się ukrywać Żydów, bo uważała, że musi walczyć z Hitlerem (była córką Niemki i Polaka, jej dwóch braci walczyło na froncie po niemieckiej stronie i o nich też się denerwowała)<sup>18</sup>.

Więc to był jej pomysł: w klasztorze w Przemyślu Chomątowska miała siostrę czy też znajomą. Elżuni powiedziano, że pojedzie do miejsca, gdzie są inne dzieci, z którymi będzie mogła biegać na dworze i świetnie się bawić. Gospodyni nauczyła ją modlitw i nowego imienia – może to wtedy z Elizy-Ilzy, jak na nią wołano w domu, stała się Elżunią. Potem pojechała – zapamiętała, że ojciec wywiózł ją tramwajem za miasto, a tam przejęła ją Chomątowska. „Przy tej sposobności [tata] dał mi swoją fotografię, którą chowałam skrzętnie, aż wreszcie zgubiłam”<sup>19</sup>. Gdy Chomątowska miała wracać do Warszawy, „Elza nie dawała jej wyjechać. Płakała i błagała, żeby nie zostawiać jej samej”<sup>20</sup>.

Elżunia: „Na drugi dzień pani Ch. wyjechała, a ja zostałam w zakładzie. Ogarnęła mnie dziwna samotność i lęk. W zakładzie rygor był bardzo surowy, za najmniejsze przewinienie karano. Musiałam sama cerować pończochy, obierać kartofle, sprzątać pokoje. Każda z nas, która miała po sześć lub siedem lat, miała pod opieką młodszą dziewczynkę, to jest 2, 3-letnią”<sup>21</sup>.

Nie można zatem mieć wątpliwości, że jej opowiadanie o klasztorze należałoby zaliczyć do gatunku *non-fiction*. Tak ją widzę, gdy o niej myślę: mała dziewczynka, której po koszmarze getta i strachu ukrywania się obiecano dużo koleżanek i zabaw, a zamiast tego trafia do ponurego, zimnego miejsca, gdzie dzieci są bite za winy, których nie popełniły, a wszystko jest grzeszne, włącznie z myciem.

### 3

Ale klasztor uratował ją od śmierci.

Do pokoju zajmowanego przez Cylę Frydrych wprowadziła się w miejsce Elżuni Pola Flinker, żona bundowskiego działacza. Gdy któregoś dnia musiały na wiele godzin opuścić mieszkanie, bo dom miała sprawdzać komisja sanitarna, zostały zatrzymane przez grupę szmalcowników. Zabrali im wszystko. Dotarły do domu niemal nagie i bose i ze względów bezpieczeństwa musiały zmienić kryjówkę. Nie miały dokąd pójść. Trafiły do Franciszka Szczerbińskiego, ojca Chomątowskiej, u którego wraz z innymi działaczami ukrywał się Frydrych. Szczerbiński należał do ludzi z „szarej strefy” między pomaganiem a szmalcownictwem. Przechowywał Żydów, pozwalał nawet im organizować konspiracyjne zebrania, ale wszystko za duże pieniądze. Któregoś razu dwóch zblatowanych z nim żandarmów wkroczyło do jednej z kryjówek i zażądało sowitego wykupu od pary, którą właśnie przyjął. Cyla i Pola w pośpiechu opuściły to miejsce<sup>22</sup>. Następne mieszkanie, na Świętojerskiej, okazało się jeszcze mniej bezpieczne – ukrywali się tam działacze Bundu i przechowywana była broń. Ktoś doniósł, wkroczyli Niemcy, mężczyźni zastrzelili, Cylę i Polę wysłali do obozu w Lublinie. Zginęły na Majdanku<sup>23</sup>.

Powstanie zastało Frydrycha w getcie przypadkiem, to był czas, kiedy Zelman, pseudonim „Zygmunt”, przebywał głównie po „aryjskiej stronie”. Walczył na terenie szopu szczotkarzy. Marek Edelman opowiadał Hannie Krall: „Wyszliśmy na podwórku, podpalali nas ze wszystkich stron, ale getto centralne na szczęście jeszcze się nie paliło, tylko nasz teren, fabryka szczotek [...]. Rzuciliśmy się przez podwórza. Dobrnęliśmy do muru na Franciszkańskiej, w murze był wyłom, ale oświetlał go reflektor. Ludzie znów zaczęli histeryzować – że nie pójdą, że w tym świetle wystrzelają nas co do jednego. Krzyknąłem: »Jak nie, to zostanieie sami«, i zostali, z sześciu chyba, a Zygmunt strzelił w reflektor z jedyne go karabinu, jaki mieliśmy, i udało nam się szybko przeskoczyć”<sup>24</sup>.

30 kwietnia „Zygmunt” Frydrych i „Kazik” Ratajzer zostali wysłani na „aryjską stronę”, by zorganizować pomoc dla żołnierzy Żydowskiej Organizacji Bojowej – wydostali się tunelem wykopanym pod ulicą Muranowską. W maju Frydrych przewiózł grupę powstańców, która wyszła z getta, z Milanówka do kryjówki załatwionej w podwarszawskiej wsi Płudy. Wydani przez gospodynię zostali tam rano otoczeni przez Niemców i rozstrzelani<sup>25</sup>. Wraz z nim zginęli: Gabriel Fryseldorf, rodzeństwo Błonesów: Jurek, Lusiek (jeden z najmłodszych żołnierzy w powstaniu, miał trzynaście lat) i ich siostra Guta, oraz Fajga Goldsztejn<sup>26</sup>. Frydrych został pośmiertnie oznaczony Krzyżem Walecznych<sup>27</sup>.

Nie wiemy, kiedy Elżunia dowiedziała się o śmierci rodziców.

Nie wiemy też, kiedy odebrano ją z klasztoru – daty się nie zgadzają. Ale na pewno przywiozła ją z powrotem do Warszawy Adina Blady-Szwajger, łączniczka ŻOB-u. Dlaczego ją stamtąd zabrała? Przecież nie dlatego, że dziewczynce było źle – jak ktokolwiek miałby się o tym dowiedzieć? Może przyszła wiadomość, że nie jest bezpieczna, bo Niemcy szukają żydowskich dzieci w klasztorach?

„Kiedy [Adina] przyjechała po nią, siostry nie zadawały pytań – opisywała Alina Margolis-Edelman, której Adina musiała to opowiadać. – Elżunia podeszła do niej, nawet na nią nie patrząc. Nie patrzyła na nią, kiedy szły do pociągu ani kiedy jechały pociągiem”<sup>28</sup>.

Adina Blady-Szwajger umieściła ją w „zaufanym mieszkaniu” na Krochmalnej 5<sup>29</sup>. Przypuszczam, że gospodarz był z PPS-u, to były najczęstsze bundowskie kontakty. Elżunia nie musiała się tam chować bez słowa w zamkniętym pokoju, uchodziła za polskie dziecko.

To pewnie z tego czasu pochodzi historia, którą opowiedziała później przyjaciółce, Irenie Klepfisz, a Irena opisała ją w poemacie *Bashert*. Elżunia została wysłana po zeszyt. „Dostaje za mało reszty i zwraca uwagę sklepikarzowi. Ten przewierca ją wzrokiem: »Bardzo akuratna. Całkiem jak Żydówka. A może jesteś Żydóweczką?«”<sup>30</sup>.

Na Krochmalnej została do sierpnia 1944 roku.

Marek Edelman: „Gdy wybuchło powstanie, to Janek, ojciec tej rodziny, [...] poszedł do oddziału na Starówce. Wtedy jego żona, zwykła dziewczyna z Krochmalnej, wyrzuciła Elżunię na ulicę, bo wiedziała, że więcej pieniędzy już nie dostanie”<sup>31</sup>.

Te dzieci z ulicy – gdy wybuchło powstanie, było ich niemało, rodzice poszli do pracy, zostali odcięci gdzieś w mieście i już nie mieli jak wrócić, albo zginęli – zbierała Rada Główna Opiekuńcza, oficjalna organizacja pomocowa koncesjonowana przez Niemców. Jacyś sąsiedzi doprowadzili Elżunię do RGO i stamtąd trafiła do Pruszkowa. „Tam było takie pole, na które przychodzili ludzie i wybierali te dzieci. Elżunię wziął jakiś młynarz, żeby mu gęsi pasła. A potem się zrobiło zimno i ten młynarz był dla niej bardzo niedobry” – opowiadał Marek Edelman<sup>32</sup>.

Elżunia pisała, że była we Włochach, ale to chyba ta sama historia – podwarszawskie Włochy są niedaleko Pruszkowa. Wspomina gospodynię, panią Dulbińską. „Pierwszy dzień była dla mnie bardzo pobłażliwa, lecz potem, gdy

się przyzwyczaiłam, biła mnie”<sup>33</sup>. Opisuje szczegółowo dwa zdarzenia. Oprócz niej była tam druga dziewczynka, młodsza, Basia. Kiedyś zajmowały się czymś na dworze i zobaczyły, że sąsiadka karmi roczne dziecko. „Basia patrzyła w chleb jak w tęczę, bo była bardzo głodna”, ale gdy sąsiadka dała jej kawałek, obie dziewczynki zostały przez Dulbińską pobite. Innym razem, gdy gospodyni zrobiła na kolację racuszki, zamknęła Elżunię i Basię w drugim pokoju. „My nie spałyśmy, bo byłyśmy głodne, aż wreszcie zasnęłyśmy”<sup>34</sup>.

Alina Margolis-Edelman: „Po jakimś czasie młynarz oddał dziewczynkę do znajomego ślusarza w Żyrardowie, który miał warsztat i reperował w nim rowery. To czwarte miejsce było takie, jakby była we własnym domu”<sup>35</sup>.

Została po wojnie. Nie zgłosili jej do żadnej organizacji żydowskiej – nie mieli przecież pojęcia, że przyjęli żydowskie dziecko.

## 4

Marek Edelman: „Potem wojna się skończyła, a przecież Zygmunt kazał mi odnaleźć córkę. Więc zacząłem jej szukać”<sup>36</sup>.

Alina Margolis: „Jak to się stało, że minął rok i nie mówiliśmy o sprawie Elżuni?”<sup>37</sup>.

Rzeczywiście. Dlaczego Edelman zaczął jej szukać dopiero po roku?

Może był w marnym stanie psychicznym. („Przeczytałam gdzieś – mówiła mi Hanna Krall – że Marek był po wojnie w depresji. Kto słyszał po wojnie o depresji? Markowi nie chciało się żyć”). Może nie umiał, nie chciał wracać do tego, co dopiero przeżyli? Pisała o tym tużpowojennym czasie Alina Margolis, pracując nad opowiadaniem o Elżuni, *Historią jednej dziewczynki*, z tym że ten fragment wyrzuciła z ostatniej wersji tekstu, przechował się w brudnopisie: „Było nam wesoło, tańczyliśmy, nawet Marek nauczył się tańczyć, już nie podskakiwał, ale poddawał się rytmowi. Może to dziwne, a może nie: nigdy, ale to nigdy, nikt z nas nie próbował wrócić do tak przecież niedawnej przeszłości. Pewnego dnia Marek powiedział mi: »Trzeba znaleźć dziecko Zygmunta«. Nie wiedziałam, o co chodzi. Ale już po chwili to jedno zdanie weszło w nasze życie”<sup>38</sup>.

Wcześniej, gdy tylko skończyła się wojna, Edelman poszedł szukać brata Elżuni. Przyrodniego brata, syna kobiety, która pomagała bundowcom po „aryjskiej stronie” i u której przez jakiś czas przechowywał się Frydrych.

Hanna Krall:

– W tej samej rozmowie, w której Frydrych poprosił go o zajęcie się Elżunią, powiedział Markowi, że dopiero co urodziło mu się dziecko. Ta kobieta miała pralnię na Twardej, naprzeciw bramy getta. Marek, jak ją odwiedził, zapamiętał, że miała rumieńce, bo ludzie zaraz po wojnie rumieńców nie mieli. Gdy przyszedł drugi raz, już jej nie zastał. Wyprowadziła się, nie zostawiając po sobie śladu.

„Ona była bardzo zakochana – opowiadał Edelman Ance Grupińskiej. – Poszedłem do niej, bo ja się czułem zobowiązany. Powiedziała mi: »Przepraszam, proszę do mnie nie przychodzić«. Ona hołubiła Zygmunta przez ten cały czas. [...] Nawet nie mogę ci powiedzieć, jak ona się nazywa. Znałem adres, ale nie znałem nazwiska”<sup>39</sup>.

Elżunia z pewnością nigdy się nie dowiedziała, że ma brata. Ani on, że ma siostrę. Najpewniej jego matka nigdy mu nie wyjawiała, że był synem Frydrycha, zgłosiłby się wtedy przecież do Marka Edelmana.

11 stycznia 1946 roku ekshumowane zwłoki Zelmana „Zygmunta” Frydrycha i jego współtowarzyszy pochowano uroczyście na cmentarzu żydowskim w Warszawie<sup>40</sup>. Może to po pogrzebie Edelman postanowił odszukać jego córkę?

Ślad po niej urwał się im w sierpniu 1944 roku. Ale udało się ustalić, że dziećmi z Krochmalnej zajęła się RGO. Edelman z Aliną znaleźli w rejestrze organizacji fiszkę z fałszywym nazwiskiem Elżuni i adresem młynarza w Pruszkowie. On ich skierował do rodziny w Żyrardowie. Edelman twierdził, że przyjechał po Elżunię dużym samochodem z powiewającą amerykańską flagą<sup>41</sup>. To by znaczyło, że szukał jej z pomocą Jointu, żydowskiej organizacji pomocowej z siedzibą w USA.

Nie ma zachowanych materiałów o Elżuni w dokumentach Jointu. To by zresztą graniczyło z cudem, bo dokumenty Jointu są bardzo wybrakowane. Najgorzej jest ze zbiorom oznaczonym literą „D”, czyli „Dzieci”. Jest tam dosłownie kilka teczek, i to o numerach powyżej sześciuset, co świadczy, jak wiele pierwotnie ich było. Być może pracownicy Jointu sami je zniszczyli tuż przed rozwiązaniem organizacji w Polsce w 1950 roku? Zważywszy na ówczesny klimat i restrykcje wobec innych stowarzyszeń żydowskich, mogli się spodziewać tego, co nastąpiło: rewizji, zapieczętowania lokali, zamknięcia organizacji, a te czki zawierały dużo wrażliwych danych – przez kogo dzieci zostały zaadoptowane, czy i jak miały zostać nielegalnie wywiezione z Polski<sup>42</sup>.

Alina Margolis-Edelman opowiadała mi w wywiadzie udzielonym jeszcze w ubiegłym stuleciu: „Bardzo ją kochali i nie chcieli nam jej oddać. Wtedy działała żydowska organizacja, która dawała pieniądze, żeby je wręczyć przy odbieraniu żydowskich dzieci tym, którzy je przechowali. Przyjechaliśmy następnym razem z pieniędzmi i dochodząc do ich domu, usłyszeliśmy krzyki: »Elka, chowaj się, Żydy po ciebie przyjechały«. Ta rodzina nie chciała nic wziąć, choć to byli naprawdę biedni ludzie. Ale ich młodszy syn siedział w więzieniu za AK, a Marek znał między innymi Cyrankiewicza. »Jak pani odda Elżunię, to ja wyciągnę pani syna z więzienia«, – powiedział i tak się stało. Zabraliśmy Elżunię. Po dziś dzień nie daje mi to spokoju”<sup>43</sup>.

W opowiadaniu, które potem napisała o Elżuni, ta scena i dalsza historia zostały mocno udramatyzowane: „Matka, żona ślusarza, miała łzy w oczach, kiedy słuchała. Zapadła cisza. »Nie możemy oddać dziecka, to jest teraz nasze dziecko« – powiedział wreszcie ojciec. Elżuni nie było, uciekła gdzieś i nie zobaczyliśmy jej [...]. Proponowana suma była zawrotna. [...] »Nie możemy oddać dziecka – powiedział ślusarz. – Nie sprzedamy Elżuni«. Teraz ja miałam łzy w oczach. Elżunia zresztą też upierała się, że jest córką tej pani”<sup>44</sup>. Po kolejnej wizycie „oddali nam Elżunię. Ojciec wziął ją na kolana i długo mówili do siebie. Matka bardzo płakała. Ja miałam ściśnięte serce. Pojechaliśmy z Elżunią do naszych przyjaciół do Warszawy. Na drugi dzień przyjechała pani z Żyrardowa. Przywiozła nam rzeczy Elżuni: sukienkę, bluzeczkę, buciki, sandałki i dokładny rachunek za wydatki na Elżunię w ciągu jej pobytu. Było to 460 dolarów. Nie chciała ani grosza więcej. Płakała. [...] Potem wróciliśmy do Łodzi. Przez całą drogę Elżunia cichutko płakała [...]. Od czasu, kiedy ojciec zostawił ją w klasztorze, u nas było to już dla Elżuni piąte miejsce, do którego miała się przyzwyczaić [...]. Po trzech tygodniach Elżunia, chociaż byłam zdecydowanie za młoda na mamę takiej dużej dziewczynki, zaczęła do mnie mówić »mama«. Myślałam o rodzinie w Żyrardowie. Wiedziałam, że tamta mama, chociaż odzyskała syna, płacze w nocy”<sup>45</sup>.

W wersji Marka Edelmana było inaczej: „Ta pani powiedziała, że nie może się z nią rozstać. W końcu oddała ją za ileś tam dolarów”<sup>46</sup>. Anka Grupińska, której Edelman to opowiadał, przypomniała mu, co mówiła mi Alina: że Edelman załatwił u Cyrankiewicza zwolnienie ich syna i dlatego polscy opiekunowie oddali Elżunię.

„Poszedłem, ale nie do Cyrankiewicza, tylko do prokuratora na Pradze. Ala nie ma zielonego pojęcia i fantazjuje. Ona nigdy nie miała pamięci”<sup>47</sup>.

Czytając to, słyszę charakterystyczny, zniecierpliwiony głos Edelmana. Łatwo się niecierpliwił, a gdy miał sposobność powiedzieć coś o kimś ostro, nie wahał się.

Grupińska dopytuje dalej:

„– Czy można powiedzieć, że to był taki handel wymienny: Elżunia-córeczka za syna wypuszczonego z więzienia?

– Nie, niee. I to wszystko działo się o wiele później, dwa–trzy miesiące później. Kiedy ja odbierałem Elżunię od tej pani, ten chłopak, to było dziecko jeszcze, był w domu. Dopiero potem aresztowano go za AK, bo on poszedł do lasu. I ten prokurator z Pragi go wypuścił. A pani z Żyrardowa za pieniądze Elżunię oddała. Najpierw nie chciała, nie chciała, ale jak zaczęła liczyć i okazało się, że jest tych pieniędzy dużo, to sama ją przywiozła.

– Czy miałeś później z tą kobietą z Żyrardowa jakiś kontakt?

– Nie, nigdy. Po co?”<sup>48</sup>.

## 5

W kwietniu 1946 roku Elżunia mieszka już z Aliną i Markiem w Łodzi. Tak wynika z karty rejestracyjnej z ŻIH-u, gdzie podany jest jej adres na Mostowej, a jako opiekun figuruje Marek Edelman<sup>49</sup>.

„Jak się ją myło – mówił – to jedną piastkę miała cały czas zaciśniętą i nie można jej było zmusić, by otworzyła. Nie otwierała. Nie – to nie. Potem się okazało, że przez trzy lata trzymała tam kartkę ze swoim prawdziwym nazwiskiem – Frydrych. Nikt się nie zorientował. Wiedziałam, że nie wolno – tłumaczyła nam potem”<sup>50</sup>. I dalej, o posłaniu jej do szkoły: „Drugiego czy trzeciego dnia mówi, że nie będzie chodziła, bo przyszła mama jakiejś Zosi i powiedziała córce, by nie siedziała z Żydówką w ławce”<sup>51</sup>.

Podobne doświadczenia – antysemickich zachowań polskich rówieśników – miało po wojnie wiele żydowskich dzieci. Ale co z opowieści Aliny Margolis i Marka Edelmana zostało wydobyte z pokładów pamięci tamtego czasu, a nałożyło się na wspomnienia już później, gdy odległe zdarzenia uległy przetworzeniu? Co z tych wspomnień zbliża nas do historii Elżuni, co nas od niej oddala? Opowieść Edelmana o tym, jak Elżunia przez lata trzymała

w piątce karteczkę ze swoim nazwiskiem, na zdrowy rozum nie ma znamion prawdopodobieństwa – każdy z nas wie, że na choćby lekko zmoczonej kartce atrament się rozmyje. Alina Margolis opowiadała mi z kolei o amerykańskim przybranym ojcu, który tak pokochał Elżunię, że wydziedziczył dla niej swoich synów – sprawdziłam: nic podobnego<sup>52</sup>. A jak było z odebraniem dziewczynki od opiekunów z Żyrardowa? Czy rodzina wymieniła ukochaną przybraną córeczkę za uratowanie syna AK-owca (wersja Aliny), czy oddała ją za dolary (wersja Marka)? Czy Alina przechowała pamięć tamtych zdarzeń i emocji, a Marek wyparł szczegóły, nakładając na wspomnienia kalkę, że żydowskie dzieci odbierało się po wojnie za pieniądze? Każde z nich opowiadało inaczej: czy to Marek relacjonował zbyt sucho, lakonicznie, niecierpliwie, czy to Alina stworzyła dramatyczną historię, naddając emocje z powodu wyrzutów sumienia po śmierci Elżuni? To prawda, że łatwo i często się winiła.



Marek Edelman z Elżunią pod pomnikiem upamiętniającym powstanie w getcie w dniu odsłonięcia,  
16 kwietnia 1946



No a potem zdarzył się pogrom kielecki, po którym większość polskich Żydów chciała wyjechać.

Z Belgii przyjechała do Edelmanów Estera Iwińska. Siostra Wiktora Altera, przywódcy Bundu, i sama też bundystka, znana adwokatka, przed wojną broniła więźniów politycznych. „Jak będzie pogrom w Łodzi i ją zabiją, to na twoje sumienie” – powiedziała Edelmanowi<sup>53</sup>. Znał Iwińską sprzed wojny. Należała do grupy działaczek, które objęły go opieką po śmierci jego matki, gdy miał piętnaście lat<sup>54</sup>.

Gdyby Elżunię chciała wywieźć do Palestyny organizacja syjonistyczna – z reguły to syjoniści sprawnie wywozili dzieci z Polski – Alina i Marek za nic by się nie godzili. Ale naciskała ważna dla nich postać. Obydwoje wywodzili się z rodzin bundowskich, w przypadku Marka identyfikacja z organizacją stała u podstaw jego wyborów.

Alina pamięta, że do argumentu o antysemityzmie doszedł ten, że są biednymi studentami. Po tygodniu ustąpili. Elżunia była u nich niecałe pół roku. Jej wyjazd nastąpił błyskawicznie – już 30 lipca 1946 roku, czyli w tym samym miesiącu, w którym doszło do pogromu, pisała do nich ze Szwecji.

## 6

Elżunia pojechała do Szwecji, bo stamtąd miała wyruszyć dalej, do Stanów. Czekala tam na nią adopcyjna rodzina załatwiona dzięki staraniom Iwińskiej. Ale nie udawało się wyrobić szybko amerykańskiej wizy, trwało to w sumie półtora roku. Od jesieni 1946 roku Elżunia chodziła więc w Szwecji do angielskiej szkoły.

Alina Margolis: „Pisała do nas listy. Ale każdy list zaczynał się od: »Dlaczego ja tu przyjechałam?«”<sup>55</sup>.

Czytam po latach listy Elżuni. W tych wysłanych ze Szwecji prosi o przysłanie słownika polsko-angielskiego i polskich cukierków:

[...] bo już za nimi tęsknię, to dlatego że tutaj prawie wszystkie są mdłe, obrzydliwe i wstrętne [...] mogą być albo krówki i landrynki, albo też trochę tego i trochę tego. (14 listopada 1946)<sup>56</sup>

Całuje was za to po 10 razy na każdego. Tak jak w domu, prawda? [...] Wiesz, Aluśku, ja bym wolała zaniechać tej całej hecy z Ameryką i z Tobą w Polsce

spokojnie żyć. Ale trudno, co się stało, to się nie odstanie. Polskie książki zabiorę ze sobą wszystkie.

I dopisek do Marka:

Kochany Brzydusie-Paskudusie. Nic nowego Ci nie powiem, bo przecież co do Ali piszę, odnosi się także do Ciebie. Tylko tak parę słów, że bardzo chcę Cię zobaczyć i potrzebuję się o nieogolone policzki. (List niedatowany, z 1947 roku)

Oj, moja Aluśko, bardzo bym chciała wrócić z powrotem. Tęsknię do polskich książek, do polskich koleżanek i w ogóle do Polski. (24 lipca 1947)

To są trzy listy, w których pisze o tęsknocie. Jest jeszcze dramatyczny list wysłany po przyjeździe do Stanów:

Kochana moja Aluńku! Mogę powiedzieć z czystym sercem, że już teraz żyję normalnie i nic mi nie brakuje, a jednak od czasu do czasu robi mi się okropnie smutno, bym chciała gryźć i drapać wszystkich naokoło, i czuję się, jakby mi jednak coś brakowało, chociaż nie wiem co. Najczęściej się to staje wieczorem i nie kończy aż następnego dnia rano. Naturalnie staram się uspokoić, ale najczęściej mi to trudno przychodzi. (List niedatowany, z 1948 roku)

Ale ton całej korespondencji jest inny. W listach widać rezolutną dziewczynkę, która znalazła sobie silne oparcie w świecie książek (a jakie to cudowne wsparcie!).

Kochany Marku! Dziękuję Ci bardzo za książkę. Tak mnie zaciekawiła, że po przeczytaniu myślałam nad nią chyba godzinę. (6 kwietnia 1947)



Elżunia w Szwecji, 1947  
Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

786A

Do  
Aluni i Marka  
Eliunia

Kochana Aluńku, „Przyjaciół” i „Świerszczyk” przychodzi tu, ale bardzo rzadko i jest zaadresowany na Irenkę, więc nie jestem pewna, czy mam prawo je zatrzymać, czy też nie. (List niedatowany, z 1947 roku)

Choi Kochani!

Otrzymałam książkę i maskotkę przyslaną przez  
pana Henryka. Czuje was za to po 10 razy  
na każdego. Tak jak w domu, prawda?

(od Brygidy Pastuska) Kochana Brygidko Pastuska  
Pomieszło ci się coś, Ołuniku. Pollyanna grała w  
zadawanie, nie Polly ze "Zwycięstwa Polly".

Chle "Zwycięstwo Polly" mi już posłałaś, na wro-  
dziny, pamiętasz? Chle, przecież ci posłałam  
spis moich książek, Ołuniku. Wiesz, Ołuniku ja  
bym wolała zaniechać tej całej chęci z  
Ołunem i z tobą w Polsce spokojnie żyć.

Chle brudności się stało to się nie odstaje.

Polskie książki zabiorę ze sobą wszystkie.

Angielskie (bo Pani Skackin wysłała mi  
tylko te mam ich tyle co polskich) oraz moje  
dzienniczki które się urosły angielskiego.

Wiesz Ołuniku, ja wcale nie jestem taka  
straszana z tymi błędami. Margulka potrafi  
zrobić 10 błędów w jednym liście z Janecz-  
ka zamiast "otrzymałam" napisała  
oczyszczała i zamiast karta napisała  
carta. To drugie jest nie tyle błędem  
ile dowodem że już jest całą Francuską.

Bardzo bym się prosiła Ołuniku żebyś mi  
przysłał "Kole wujka Jomara bo to czytałam

List Elżuni wysłany ze Szwecji do Aliny Margolis i Marka Edelmana,  
1947

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów



2 lata temu i bardzo mi się podobało,  
całusy dla wszystkich  
i dla Ciebie najukochańszej  
Elżunia

Kochany Brzytowie, - Poskuszenie  
o nowego ci nie powiem bo przecież  
co do Ciebie piszę odnosi się także do Ciebie.  
Tylko tak parę słów, ja bardzo Cię  
kochałam i potrafię się o nieogłone polski.  
Bardzo, bardzo mocno Cię całuję  
Elżunia.

Masz rację, Aluńku, powinnam sobie założyć taką bibliotekę. Ale między takimi poważnymi książkami wyślij jakąś łatwą książeczkę, [z] którą bym tylko i wyłącznie odpoczywała, dobrze? (List niedatowany, z 1947 roku)

Kilka dni temu dostałam książkę i pisemka od Ciebie. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułam, gdy je czytałam. Aluńku, jakbyś tu była, wyściskała i wycalowałabym Cię tak, że byś nie mogła oddychać [...]. Podobno jestem druga w klasie. (Przechodzę z szóstej do siódmej klasy, więc to nie żarty). Już mam swój własny rower i umiem na nim jechać. To właśnie ten, co widzisz na zdjęciu. Jak Ci się ja podobam? Te fale, co widzisz, są naturalne, to nie wieczna ondulacja. [...] Nie mogę się rozmyślić, czy iść na kolonię, albo zostać w domu. Na kolonii trzeba robić tylko to, co mówią, a w domu nie ma co do roboty. Które, myślisz, jest lepsze? (List niedatowany, z 1947 roku)

Jak się mierzyłam w konsulacie specjalnym narzędziem, to było 1,49, a jak centymetrem w domu, to 1,39. To zbyt duża różnica i właściwie nie wiem, jaka jestem wysoka. (24 lipca 1947)

O paczce, którą dostała od cioci z Argentyny:

Mogę Ci powiedzieć, że przysłała mi długą, różową ciepłą koszulę nocną, w której jak zawiąże się pasek, wyglądam jak królowa. (List niedatowany, z 1947 roku)

O trzydziestu jeden polskich książkach, które ma w swojej bibliotece:



Elżunia, lipiec 1947

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów



24, VII, 44

001

elivini

01a

Aluniki.





Elżunia z Ireną Klepfisz, Szwecja 1948  
Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

Moje biedne przyjaciółki, a to okładka obdarta, a to poplamione masłem, a to znowu kartka przedarta, aż wstyd patrzeć. (List niedatowany, z 1947 roku)

To listy ze Sztokholmu. Na zrobionej tam fotografii promienna dziewczynka z dużą białą kokardą we włosach patrzy nam prosto w oczy. Napis na odwrocie: „Od Elżuni dla Aluńki, 24 lipca 1947”. Ale może to fotografia z czasu, kiedy mieszkała na Mostowej, tylko w Szwecji zrobiła odbitkę, żeby ją wysłać

Edelmanom? Bo wygląda znacznie dziecinniej niż na serii fotografii zrobionych w przeddzień wyjazdu do Ameryki, 22 stycznia 1948 roku. Obejmuje tam młodszą od siebie dziewczynkę. Irena i jej mama Lodzia Klepfisz były w tym czasie w Szwecji i dziewczynki spędzały ze sobą dużo czasu.

Irena była córką Michała Klepfisza, z którym Zelman Frydrych organizował życie sportowe młodzieży w getcie. Klepfisz, aresztowany, gdy kupował po „aryjskiej stronie” broń dla getta, wyskoczył z pociągu jadącego do Treblinki. W czasie powstania był w grupie Bundu na terenie szopu szczotkarzy, której przewodził Jurek Błones (ten, który został zabity potem w Płudach razem z Frydrychem). Gdy zostali osaczeni na strychu jednego z domów, zasłonił własnym ciałem przejście, by pozostali mogli uciec. Sam zginął od kul.

Irena Klepfisz:

– Pierwszy raz zobaczyłam Elżunię jeszcze w Polsce, w ogrodzie u Aliny i Marka. Miałam wtedy cztery czy pięć lat, ogoloną głowę i dużą samoświadomość. Była cztery lata ode mnie starsza i stała się moim wzorem, inteligentna i piękna. My już byliśmy z mamą w Szwecji, jak ona przyjechała. Elżunia błagała moją mamę, żeby ją wzięła, ale ona nie mogła, nie dałaby rady. Miałyśmy typową relację siostrzaną: kochałam ją, ale też byłam zazdrosna, bo moja mama dużo się nią zajmowała. Chociaż mnie samej stosunki z mamą układały się źle, wierzyłam nawet, że to nie moja mama, że jej wydali nie to dziecko w sierocińcu, bałam się tej silnej więzi, która je łączyła. Elza była trudna, ale dlaczego nie miała być trudna?



Elżunia z Ireną Klepfisz, Szwecja 1948  
Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

Po przeczytaniu pierwszej wersji mojego tekstu Irena Klepfisz dodała:  
– Piszesz, że Frydrych powierzył Markowi Elżunię, i to w pierwszym dniu powstania. Wiele razy słyszałam od mamy, że to był układ między Frydrychem a moim ojcem: który z nich przeżyje, ten zajmie się rodziną drugiego. To miało sens. Mieli odpowiednio trzydzieści dwa i trzydzieści lat, byli starsi od wielu bojowców, już założyli rodziny. Moja mama czuła się więc odpowiedzialna za Elżunię, spełniając przyrzeczenie mojego ojca *in absentia*. Wyobrażam sobie,

że gdy wybuchło powstanie, Frydrych mógł powiedzieć jeszcze kilku osobom, gdzie jest schowana jego córka.

## 7

Elżunia wyjechała do Stanów: najpierw samolotem ze Sztokholmu do Kopenhagi, potem drugim samolotem do Londynu, stamtąd pociągiem do portu, statkiem do Toronto, z Toronto do Montrealu, potem autobusem (najpewniej) do Nowego Jorku. Jechała z dużą grupą dzieci w ramach akcji kanadyjskiego rządu, który zgodził się przyjąć tysiąc żydowskich sierot z Europy. Przeniesienie z Kanady do Stanów zawdzięczała staraniom czekających na nią adopcyjnych rodziców.

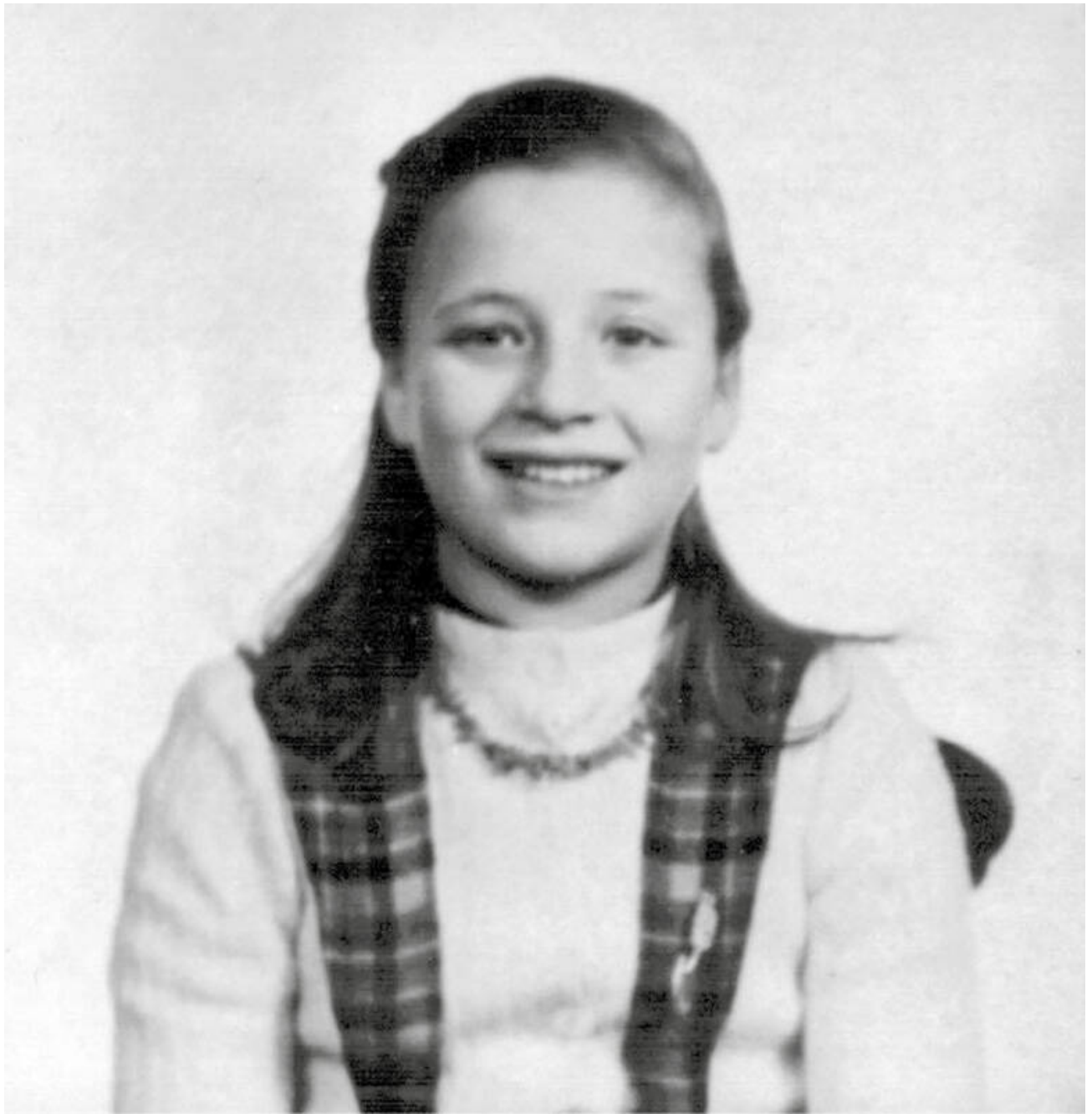
Po przyjeździe do Ameryki pisała o swoim nowym domu u Helen i Julka Shatzkinów w Westchester koło Nowego Jorku:

To najbardziej nowoczesny domek, jaki w swoim życiu widziałam. Wszystko tam robią maszyny, maszyny froterują, czyszczą dywany, zamiatają, piorą bieliznę, myją statki. [...] Mój pokój jest śliczny [...]. Do szkoły pójdę na drugi tydzień, ale trudno mi się tego doczekać. Tak się stęskniłam za dziećmi. (6 lutego 1948)

Potem korespondencja się urywa, a w każdym razie listy Elżuni się nie przechowały.

Helen i Julek Shatzkinowie byli częścią silnej społeczności nowojorskich bundowców: amerykańskich Żydów, w większości imigrantów z lat dwudziestych, którzy mieszkali koło siebie, spędzali razem czas, śpiewali bundowskie piosenki, zbierali pieniądze na bundowskie cele i wysyłali je za ocean.





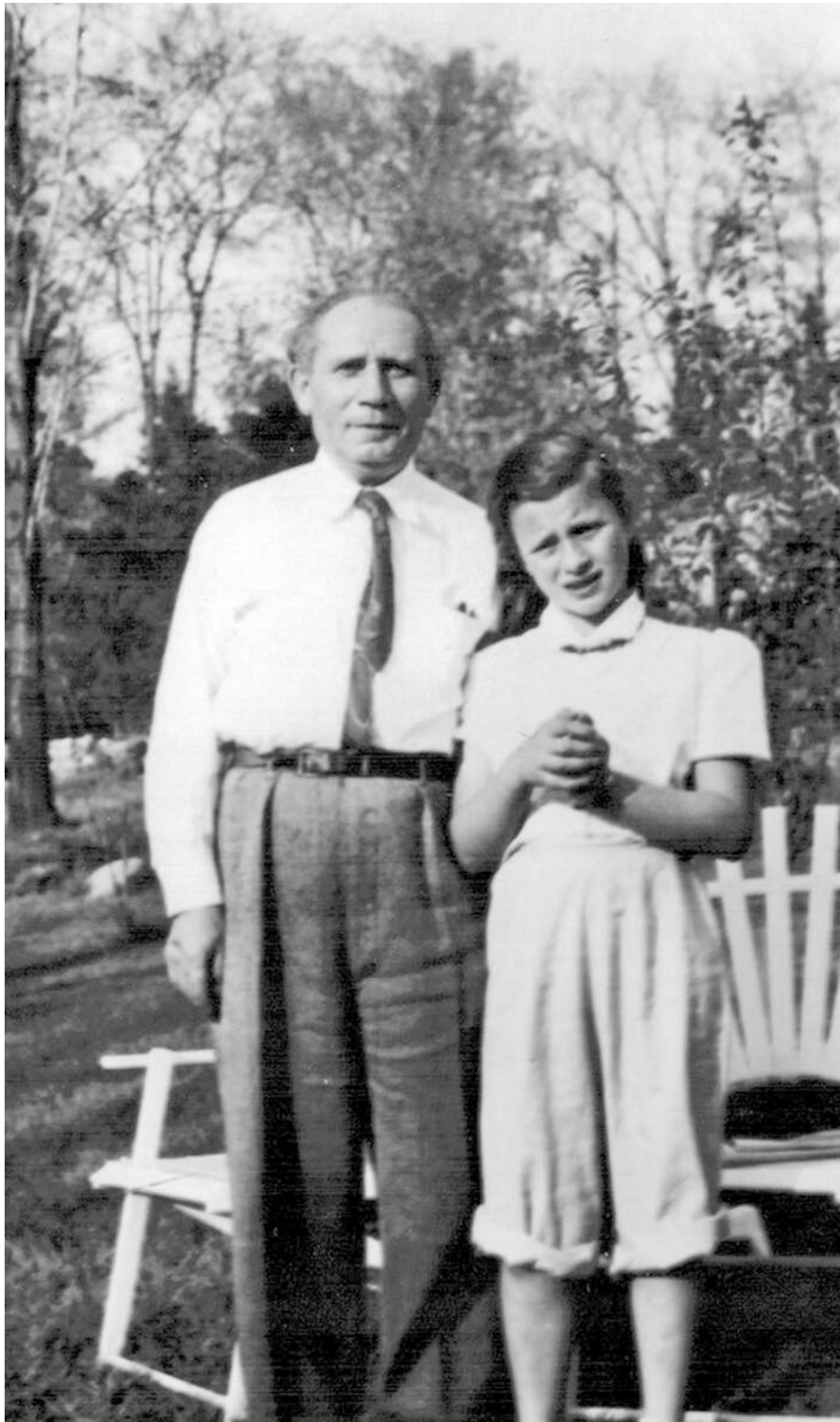


Elżunia Frydrych, teraz Elza Shatzkin, Stany Zjednoczone, koniec lat 40.

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów



Ich wnuk Mike Shatzkin w 2009 roku, z okazji śmierci Marka Edelmana, wspominał na swoim blogu, jak Elżunia trafiła do jego dziadków: „Córka bohatera [Zelmana Frydrycha] miałaby być skazana na tak ponurą przyszłość, na dorastanie w skrajnie ubogiej, antysemickiej Polsce, co więcej, w czasie, kiedy w kraju umacniała się władza znienawidzonych Sowieców (socjaliści byli wybitnie antykomunistyczni)? Dla Bundu byłaby to hańba. Korzystając więc ze swojego potencjału globalnej organizacji, Bund szukał amerykańskiej rodziny, która przygarnęłaby Elżę i wychowała w Ameryce. Rodzice mojego ojca, Julek i Helen Shatzkinowie, zgodzili się wziąć tę odpowiedzialność na siebie. Byli wtedy trochę po pięćdziesiątce; mój ojciec i jego młodszy brat, wujek Sack, mieli po dwadzieścia kilka lat, byli żonaci, założyli własne rodziny. Moi dziadkowie wyprowadzili się z Nowego Jorku [...] do północnego Westchester. Zbudowali dom i przygotowywali się do nowego życia, do wychowywania córki na przedmieściach w powojennej Ameryce”<sup>57</sup>.



Elza z przybranym ojcem Julkiem Shatzkinem, Stany Zjednoczone, koniec lat 40.

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

Irena Klepfisz:

– Wszyscy o nas dbali, tak nas było mało: dzieci, które się uratowały. Jej adopcyjny ojciec ją uwielbiał. W jej pokoju wisiało zdjęcie, na którym stoi pomiędzy swoimi prawdziwymi rodzicami; Shatzkinowie zrobili dla niej taki fotomontaż.

Częstym gościem w domu Shatzkinów był Bernard Goldstein – przeżył w ukryciu, prowadząc dalej działalność konspiracyjną, i w kwietniu 1945 wyjechał do Stanów. „Elza zawsze czuła się niekomfortowo w obecności Bernarda, co było dla niego bardzo bolesne – pisał Mike Shatzkin. – Odnosił się do niej z czułością i tej czułości od niej oczekiwał, znał jej ojca; dla niego była kwiatem, który w zdumiewający sposób przeżył pożogę Warszawy. Ale dla niej był przypomnieniem początku jej traumatycznych przeżyć i utraty prawdziwej rodziny”<sup>58</sup>.

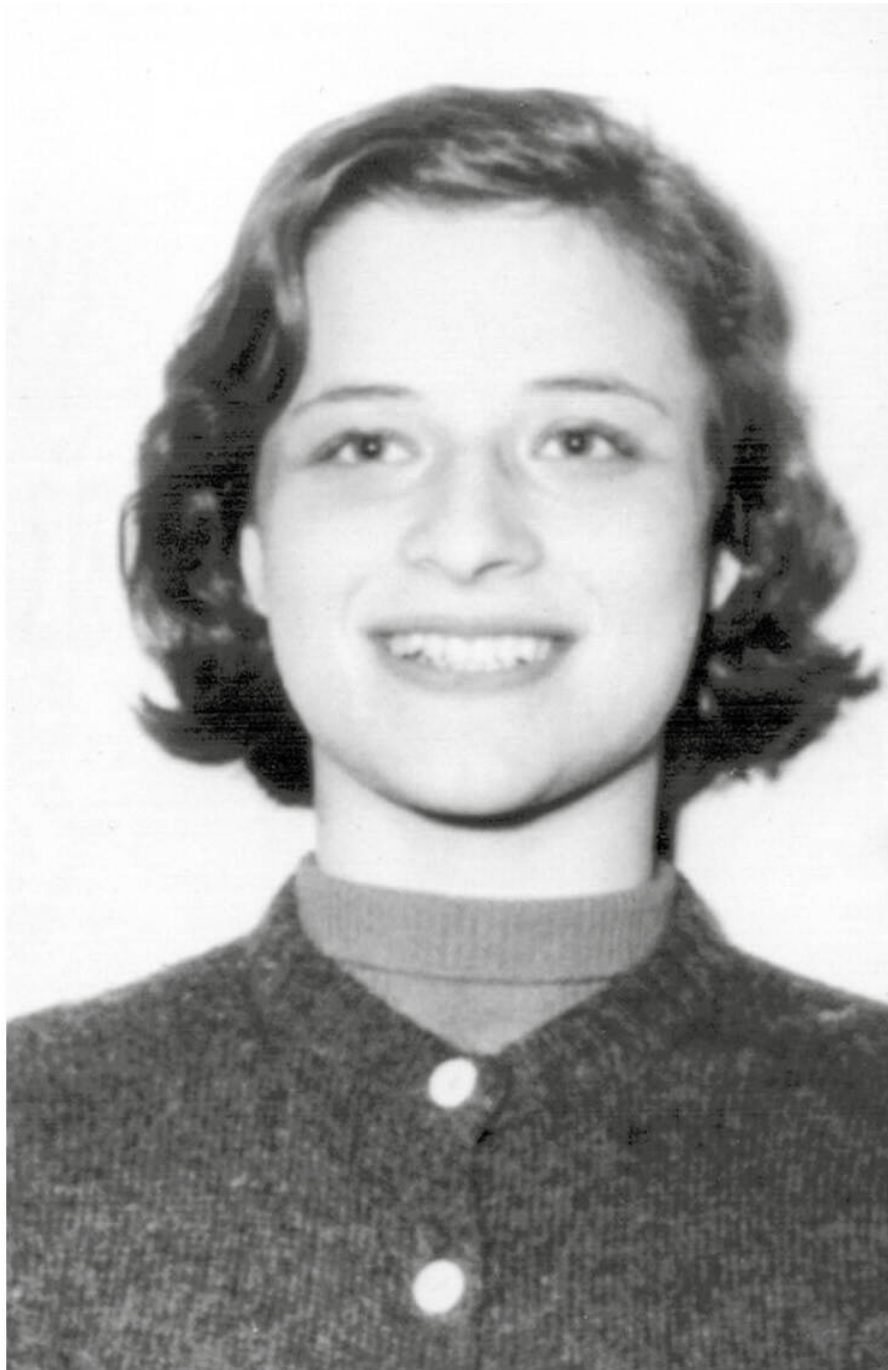
Irena Klepfisz:

– Nie bardzo miała jak z nim rozmawiać, Bernard mówił słabo po angielsku, a to był język, którym chciała mówić. Ale nie było tak, że ona nie była do niego przywiązana. W środku podróży poślubnej wróciła na jego pogrzeb.

Mike Shatzkin: „Moja babcia nigdy nie czuła się zbyt dobrze w tym układzie; dziadek był zauroczony swoją nową córką, chciał ją rozpieszczać i pozwalać jej na wszystko. Z perspektywy o dziesięć lat młodszego bratanka (którym byłem) ciocia Elza wydawała się przebojowa, ładna i niemal całkowicie nieprzystępna”<sup>59</sup>.

Rozmawiałam z czworgiem wnuków Helen i Julka Shatzkinów. Wszyscy byli dziećmi, gdy Elżunia stała się młodą dziewczyną.

Lynne Coffin:



Elżunia, teraz Elza, Stany Zjednoczone, początek lat 50.

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

– Ona była dla nas, swoich kuzynów, jak księżniczka, taka śliczna, taka urocza. Potrafiła tak intensywnie skupiać się na nas, dzieciach, że przy niej stawałaś się jej przyboczną małą księżniczką.

Nance Shatzkin:

– Elza nie czuła się dobrze w domu dziadków. W jadalni wisiała fotografia płonącego getta, ważnym wydarzeniem naszego dzieciństwa było chodzenie na urządzone przez Bund obchody rocznicy powstania 19 kwietnia. A Elza chciała się zdystansować od przeszłości.

Mike Shatzkin:

– Była debiutantką w Ameryce i ten debiut świetnie jej poszedł. W szkole była najlepsza z literatury. Mówiła po angielsku bez żadnego akcentu. A dziadkowie rozmawiali ze sobą w jidysz, musiała mieć poczucie, że do nich nie pasuje.

Karen Shatzkin:

– Nie mieliśmy o niej pojęcia, gdy byliśmy dziećmi, i ubóstwialiśmy ją jako naszą piękną, czarującą krewną. Z czasem zaczęłam sobie uświadamiać, że tak, była piękna, utalentowana, roztaczała blask, ale też była zimna wobec babci, której zależało na dobrym wychowaniu.

Kolejni moi rozmówcy także przywoływali temat jej złych stosunków z adopcyjną matką.

Sama Elżunia kilka razy w listach do Aliny Margolis (wysłanych jeszcze ze Szwecji) wspomina o Helen Shatzkin – która przyjechała po nią do Europy, żeby ją zabrać, ale wspólny wyjazd uniemożliwiły problemy z wizą – lecz pisze o niej oficjalnie: „pani Helena” albo „pani Hela”.

Irena Klepfisz:

– Mojej mamie od razu się zdawało, że one się nie zgrają, już wtedy, jak Helen przyjechała do Szwecji. Elżunia chciała się bawić w różne gry, a Helen nigdy nie pozwalała jej wygrać. Tymczasem w zabawach ze mną Elżunia zachowywała się dojrzej niż Helen w stosunku do niej. Grałyśmy dużo w Monopoli, bo to uwielbiałam. Pożyczała mi pieniądze, gdy bankrutowałam, żebym nie przegrywała. Była nastolatką, która rozumiała moje potrzeby, dziewczynki o cztery lata od siebie młodszej. Kupiła mi kalkomanie i przylepialiśmy ją razem na wannie. Gdy miała iść do college’u, zamarzyła sobie czerwony zimowy płaszczyk. Z jakiegoś powodu Shatzkinowie nie chcieli jej go kupić, więc przyszła poprosić moją mamę, która kompletnie nie miała pieniędzy, ale jej ten płaszczyk kupiła. Potem przyszli Shatzkinowie, czy może któryś z ich synów, że mama nie powinna się wtrącać tak w ich stosunki z Elżunią. Mama przyznała im rację.

W księdze pamiątkowej absolwentów Peekskill High School z 1954 roku jest zdjęcie Elzy jako redaktorki książki. Mogłaby uchodzić za aktorkę filmową

grającą typową amerykańską studentkę z lat pięćdziesiątych: śliczna, równo obcięte, starannie ułożone włosy tuż za ucho, delikatny uśmiech, delikatny naszyjnik. „Zajęcia, którym się wówczas oddawała, to: praca w roczniku szkoły (redaktorka naczelna), udział w seminarium o kulturach świata, przygotowywanie widowiska bożonarodzeniowego, przynależność do kółka języka francuskiego, kółka łacińskiego, stowarzyszenia bileterów i szkolnych wolontariuszy, National Honor Society, chóru dziewczęcego, orkiestry marszowej, orkiestry koncertowej (grała chyba na klarnecie), stowarzyszenia »Czwarta Władza«, kółka historycznego, rady uczniowskiej, krajowej ligi debat, samorządu szkolnego, chóru mieszanego, kółka krasomówczego (przewodnicząca), klubu debat (sekretarz), kółka kultury francuskiej”<sup>60</sup>. Zdjęcie i przedrukowany w księdze pamiątkowej spis aktywności zamieścił w komentarzu na blogu Mike’a Shatzkina jej kolega z klasy David Horton. „Elza była ciepła i ujmująca, ale nawet »w tamtych czasach«, kiedy byłem nastolatkiem – napisał – zdawałem sobie sprawę z tego, co można nazwać przeszywającym wszystko smutkiem. To było jak widoczna w ostatecznej wersji obrazu poprawka malarza lub tekst ujawniający się na palimpseście, jeśli wolno mi się tak wyrazić; przebijający na powierzchnię ślad, który »w pewnym świetle« się uwidacznia”<sup>61</sup>. Musiał być w niej zakochany; śledzi od lat każdą książkę, w której pojawia się o niej choćby wzmianka (podał tytuły). Píše: „Kiedy usłyszałem, że Elza popełniła samobójstwo, byłem wstrząśnięty i głęboko zasmucony. Wciąż jestem. Gdy powstało Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, wpłaciłem darowiznę dla jej upamiętnienia. I nadal to robię, wysyłam pieniądze w jej imieniu i dla jej pamięci”<sup>62</sup>.



Elżunia z Helen Shatzkin, przyszłą matką adopcyjną, Szwecja 1947

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

Horton wspomina, że Elza była „*valedictorian*”. Polskie tłumaczenie „prymuska” zupełnie nie oddaje znaczenia tego słowa w Ameryce – to celujący uczeń czy student, któremu powierza się wygłoszenie mowy na zakończenie roku.

Irena Klepfisz:



– Elżunia zawsze była znakomita w szkole. Niezwykle uzdolniona lingwistycznie, tłumaczyła z łaciny, pisała wiersze. Emigrantka po pięciu latach w Stanach zostaje *valedictorian*, najlepsza na roku! To pokazuje, jaką miała determinację, jak bardzo chciała odnosić sukcesy. Opowiadała mi z rozbawieniem, jak z jedną z koleżanek udawały, że są z nieistniejącego kraju, i rozmawiały wymyślonym językiem. Taki rodzaj ucieczki: być emigrantką, ale bez tego bagażu, że z Polski.

Irena mnie przestrzegająca, żeby z historii Elżuni nie został tylko jej tragiczny początek i tragiczny koniec.



Redaktorzy książki pamiątkowej absolwentów Peekskill High School, 1954. Elza pierwsza z prawej  
*Peekskill High School Yearbook, New York 1954*

– Przechowuję ją w pamięci taką, jaką była pomiędzy, czyli przez większość życia. Piękną, mądrą, utalentowaną. Uwielbiałam ją.

Po świetnie skończonej szkole średniej Elżunia dostała się na prestiżowy Uniwersytet Cornell w Ithace w stanie Nowy Jork.

Chodziłam tam po kampusie. Rozległe trawniki, na których studenci spędzają razem czas, otoczone neogotyckimi budynkami (jak to na wielu amerykańskich uniwersytetach), z okien roztacza się widok na jeziora, lasy i wodospady. Wydawałoby się – idealne miejsce, żeby się wtopić, przyjąć amerykańską tożsamość. Elza została w pamięci swojej przyjaciółki z tamtego czasu, później znanej redaktorki, jako „błyskotliwa i uczuciowa, zarówno zabawna, jak i poważna”<sup>63</sup>. To tam, na studiach, napisała opowiadanie

o klasztorze w Przemyślu (uratowane z niepamięci przez Irenę Klepfisz, która przedrukowała je z uniwersyteckiego pisemka do antologii twórczości żydowskich kobiet).

## 8

Magisterium robiła w Nowym Jorku na uniwersytecie Columbia. Asystentem na wydziale historii był tam przystojny inteligentny młody człowiek – Robert Dallek. Pobili się w 1959 roku.



Elza, lata 50.

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów



Spotkałam się z nim w Waszyngtonie. Przyniósł mi swoją biografię Johna Kennedy'ego, która rozeszła się w ponadmilionowym nakładzie (fantastyczna!). Zakochał się w ślicznej, bardzo amerykańskiej dziewczynie, tak to sobie wyobraziłam. Ile minęło czasu, nim dowiedział się, co przeżyła?

– Od razu, na tej pierwszej randce opowiedziała mi swoją historię. To była miłość od pierwszego spojrzenia. Połączyło nas odległe zdarzenie z mojego życia. Miałem cztery lata, gdy zdarzył mi się wypadek i straciłem jedno oko. Leżałem w szpitalu, wtedy nie wpuszczano się na oddział rodziców, i byłem przekonany, że mama i tata mnie porzucili. Więc kiedy Elza opowiadała mi, że jej rodziców zabili, mogłem sobie jakoś wyobrazić, co czuła. Mówiła też o tym, jak musiała szorować podłogi w klasztorze i jak była ukrywana u polskiej rodziny. Któregoś razu niemiecki żołnierz przyszedł tam do ich córki, a ją wepchnęli pod stół i siedziała tam, patrząc na buty tego żołnierza. Głęboko mnie to wszystko przejęło. Pierwszą osobą, z którą Elza mnie poznała, była Lodzia Klepfisz. Ona widziała w niej swoją zastępczą matkę. Dopiero w drugiej kolejności poznałem Shatzkinów. Nie chciała ich za bardzo odwiedzać. Do Julka Shatzkina była przywiązana, ale nie lubiła jego żony. I ta żona nie lubiła jej. Odchowala dwóch synów i wskutek decyzji, którą podjął jej mąż, nie ona, znowu dostała do wychowania dziecko, i to zaburzone. Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy i postanowiliśmy się pobrać.









Elza z Robertem, koniec lat 50.  
Archiwum Roberta Dalleka





Elza z Robertem Dallekiem na ich weselu, 1959

Archiwum Anny i Aleksandra Edelmanów

Karen Shatzkin:

– Elza wyglądała zachwycająco w sukni ślubnej, żółtozłotej, dość krótkiej, miała bransoletki z kwiatów na kostkach. Ślub odbył się w salonie u dziadków Shatzkinów, pod chupą, z tłuczeniem kieliszka. Tak chciała rodzina pana młodego. Dla nas, Shatzkinów, którzy wszyscy byli daleko od żydowskiej religii i obyczaju, to był szok.

Zastanawiam się, jak się z tym czuła Elżunia.

– Wobec swojej żydowskiej tożsamości miała bardzo mieszane uczucia – mówiła mi Irena Klepfisz. – W sprawie bycia Żydówką to ona nie była moim wzorem.

Robert Dallek:

– Gdy zostaliśmy małżeństwem, Julek Shatzkin, kochający ojciec i zamożny człowiek, dawał Elzie co miesiąc pieniądze, ale ona nie umiała panować nad wydatkami. Nie robiła zakupów, nie zajmowała się domem, jeść wychodziliśmy na miasto albo ja czasem gotowałem, kłóciliśmy się o to.

Tak w latach pięćdziesiątych wyglądał podział ról w małżeństwie, tego oczekiwano od żony. Dallek z dzisiejszej perspektywy nie zafałszowuje tamtej wizji świata, ale też chyba trafnie diagnozuje, że niegotowanie jego żony nie miało związku z emancypacją – raczej, że jej stosunek do jedzenia, domu był częścią jej zaburzeń. Bo na przykład jedli też zawsze na papierowych talerzach – pisała o tym Irena Klepfisz. A ubrań Elza kupowała tyle, żeby zapęłnić wszystkie szafy<sup>64</sup>. W papierach po Alinie Margolis-Edelman jest jej notatka o śmierci Elżuni. Do hotelu, w którym popełniła samobójstwo, zabrała ze sobą walizkę pełną butów.

Mike Shatzkin:

– Nocowałem kiedyś u Elzy i Roberta razem z kolegą. Elza zmywała naczynia w bardzo krótkich szortach, kolega spytał z niedowierzaniem: „To jest twoja ciotka?”. Chciała się wtopić i wydawało się, że jej się to udało. Śliczna amerykańska dziewczyna. I same sukcesy, prestiżowe studia, udany mąż...

Irena Klepfisz:

– Pamiętam, jak zostałam kiedyś u nich na noc i Elżunia podarowała mi z okazji moich osiemnastych urodzin płytę winylową z wierszami Dylana Thomasa. Nie powiedziała, że coś jest z nią nie tak, nigdy mi niczego takiego nie mówiła, zawsze mnie chroniła. Nigdy też nie zauważyłam, żeby miała jakieś problemy psychiczne. W czasie, gdy byli małżeństwem, Elżunia była na tyle zdrowa, że ukończyła studia magisterskie z literatury angielskiej, planowała

robienie doktoratu, pomagała Robertowi w pisaniu jego pracy. A może nie była szczęśliwa w małżeństwie, może uważała, że zrobiła błąd?

Karen Shatzkin:

– Jakiś czas po jej śmierci znalazłam w jej sypialni wiersz o wszystkich imionach, jakie nosiła, ale przytoczyła też nazwiska: Frydrych, Shatzkin, Dallek, i że tak naprawdę nie wiedziała, kim jest. Przechowałam ten wiersz, ale zgubiłam go wiele lat temu.

Mike Shatzkin na swoim blogu: „Okolo 1960 roku Elza przeszła załamanie nerwowe. Pamiętam, jak odwiedzałem ją w jakimś szpitalu psychiatrycznym. Ale wyszła stamtąd na pozór wyleczona; wróciła do Roberta”<sup>65</sup>.

Robert Dallek:

– Miała zaburzenia emocjonalne, była poraniona. Czuję się, jakbym non stop był na misji ratunkowej. Ale to nie wychodziło. Półtora roku po naszym ślubie trafiła do szpitala. Już praktycznie nie byliśmy wtedy razem. Ale kiedy wyszła ze szpitala, stanęła na moim progu. Zupełnie się nie spodziewałem. Pamiętam, że zapytałem: dlaczego? Powiedziała, że miała chłopaka w szpitalu, a teraz do mnie wraca.



Elza, koniec lat 50.

Archiwum Roberta Dalleka

W sierpniu 1962 roku pojechali na wakacje do Meksyku (zachował się dokument z 3 września, że przekraczają z powrotem granicę).

Robert Dallek:

– To było może pięć, sześć miesięcy po jej wyjściu ze szpitala. Pojechała metrem do centrum, wynajęła pokój w hotelu, wzięła środki nasenne.

„Zameldowała się w hotelu, wpisała do rejestru, twierdząc, że mieszka przy ulicy Tod – po niemiecku: śmierć – a potem się zabiła” – opowiadała jej przyjaciółka z Cornella<sup>66</sup>.

Robert Dallek:

– To był bardzo bolesny czas w moim życiu, czas małżeństwa i potem. Zgłosiłem się na Columbi do psychiatry, który na kolejne spotkanie nie przyszedł, okazało się, że popełnił samobójstwo. Potem przeprowadziłem się do Kalifornii, uczyłem na tamtejszym uniwersytecie. Zajęło mi dziesięć lat, żeby dzięki psychoanalizie zrozumieć, jak to wszystko odcisnęło się na moim życiu. Winię nazistów za jej śmierć. Ale ja też zawałem. Nie wiem, co brała, późno się zorientowałem, że była uzależniona od leków. Marzyłem, że ją uratuję. Mam nadzieję, że dałem jej trochę szczęścia.

Mike Shatzkin:

– Mój ojciec pojechał do kostnicy zidentyfikować jej ciało. Podobno zostawiła jakąś kartkę.

Może to ta, której kopia znajduje się wśród listów Elżuni, przechowanych przez Alinę Margolis. Zaadresowana do Łodzi Klepfisz, pierwsze zdanie jest po polsku: „Łodzia, idę się spotkać z Tatą i z Mamą. *I was very far* [Byłam bardzo daleko]”.

Karen Shatzkin:

– Dziadek ją przekonał, żeby w szpitalu poddała się elektrowstrząsom. Słyszałam, że była po nich nie tą samą osobą. Superspokojna, jakby światło w niej zgasło. Winił się za to.

Mike Shatzkin:

– Dziadek natychmiast wpadł w depresję i nigdy się z niej nie podniósł. To był ból po utracie ukochanej córki, ale też poczucie, że był za Elżę odpowiedzialny wobec Bundu i zawiódł. Umarł rok po jej śmierci.

Lynne Coffin:

– Nie tylko mój dziadek, ale też mój ojciec był kompletnie zdruzgotany po śmierci Elzy, jak wszyscy w naszej rodzinie. Każdy chciał wiedzieć, kogo za to winić. Nazistów, oczywiście, zasługiwali na to, ale emocjonalnie to nie bardzo pasowało, bo to znaczyło, że wszystko, co się stało, było nieodwołalne, że już się nie da snuć rozważań: „No a gdyby...”. „No a gdyby babcia Shatzkin była ciepłą osobą?”, mówiła moja mama Harriet, która czuła się bardzo związana z Elżą i oskarżała swoją teściową. Mówiła, że Elza potrzebowała pomocy, ale

jej nie dostała. Nigdy nie słyszałam w tych gdybaniach, żeby ktoś złe słowo powiedział o Robercie.

Irena Klepfisz:

– Skończyłam wtedy szkołę i podróżowałam po Europie, po domach bundowskich. Przez sześć miesięcy udało się wszystkim ukryć przede mną śmierć Elzy, na prośbę mojej mamy, która bała się, że pójde jej śladem. Wszyscy się czuli winni, moja mama, Marek, każdy. Słyszałam, że więcej włożono wysiłków w uratowanie Elżuni niż w ratowanie kogokolwiek innego. Ja też się czułam winna. Bo nie miałam wtedy czasu, żeby się z nią zobaczyć, bo byłam w Europie... Jakby zobaczenie mnie miało w niej coś zmienić. Ale to wraca do mnie... Jak Elżunia zadzwoniła kilka dni przed moim wyjazdem, a ja jej powiedziałam, że nie mam czasu, że zobaczymy się po moim powrocie. Nie ma w tym nic specjalnego, że kiedy ktoś popełnia samobójstwo, to każdy wokół czuje się winny.

Rozmawiamy o tym, że Alina Margolis obwiniała się o zabranie Elżuni z polskiej rodziny.

– Przechodziła od jednych opiekunów do drugich. A może do tych ostatnich wcale nie była przywiązana, tylko tak udawała, bo była śmiertelnie przerażona, że zabiorą ją Żydzi? Była bardzo mądrą dziewczynką, która wiedziała, że ma się nigdy nie przyznać, że jest Żydówką, i żyła w ciągłym strachu, że ktoś to jednak odkryje. W dzieciństwie, jak coś cię spotyka, to nie myślisz, że to może się zmienić, tylko że jest na całe życie.

Z poematu Ireny Klepfisz o Elżuni: „Po prostu bardzo skrupulatnie stosowała się do instrukcji rodziców. »Nigdy nikomu nie przyznawaj się, kim jesteś. To nasza tajemnica. W końcu przyjdziemy po ciebie. Pamiętaj! Nigdy się nie przyznawaj, kim jesteś. Obiecuj!«”<sup>67</sup>.

To prawda. Dzieci panicznie bały się opuścić polskich opiekunów, bo panicznie bały się wrócić do żydostwa. Edelman opisywał początki Elżuni u nich: „Codziennie padała na klęczki, podnosiła oczy do nieba, składała ręce i odmawiała paciorek”<sup>68</sup>. Tak się zachowywały niemal wszystkie dzieci przechowane w polskich domach, katolicyzm był ich obroną przed obcością i naznaczeniem: jesteś Żydem, więc jesteś skazany na śmierć. Żarliwa religijność, która z początku dramatycznie odgradzała ich od nowego otoczenia, z reguły szybko ulegała erozji.

Czy Elżunia była przywiązana do rodziny w Żyrardowie? Nie wspominała o nich ani przyjaciółce, ani mężowi. A w liście do Aliny Margolis pisała: „Do

Żyrardowa, co nie gniewaj się, napisałam tydzień temu dopiero pierwszy raz”<sup>69</sup>. To brzmi bardziej jak zobowiązanie niż przywiązanie.

Czy można uchwycić ten moment, który okazał się dla niej zbyt trudny? Może kiedy zostawiono ją samą w klasztorze i ogarnęły ją „dziwna samotność i lęk”? Może jak została wyrzucona z Krochmalnej tuż po wybuchu powstania warszawskiego i znalazła się sama na świecie? A może przyjazd do Ameryki, znalezienie się u obcych ludzi, w obcym miejscu – to było to jedno zdarzenie za dużo? Wtedy pisała, że nie śpi w nocy i chciałaby gryźć i drapać wszystkich naokoło.

A może pytanie, dlaczego tak się stało, jest bezzasadne? Może należy pytać, skąd ocalali czerpali siłę, by dalej żyć? Elżuni tej siły starczyło na szesnaście powojennych lat.



## 2 Blima

### 1

– Nazywałam się Blima Kurchant. 15 stycznia 1930 roku byłam tu urodzona, gdzie teraz mieszkam. Tatuś był Herszko, mamusia Fajga z domu Wyrobek. Nas, dzieci, siedmioro, siostry Chana, Liba i Gitla, a ja Blima, jeszcze była najmłodsza Marianka i chłopcy, Lejbuś, starszy ode mnie, co z tatą buty robił, i Chaim, mógł mieć do pięciu lat, jak się wojna zaczęła. Wszystko poza mną zostało zabite. Mama była z Kocka. Wyższa, przy tuszy, ładna. Handlowała owocami od gospodarzy, którzy mieli sady, konia najmowała i jechała sprzedawać. Tatuś był szewcem. Nasz dom to była kuchnia i jeden pokój, to tatuś warsztat miał zimową porą w kuchni, a latem w komórce. Że on się nie mylił na tych miarach, brał kawałek papieru, zaznaczał, a przecież nie umiał czytać ani nic. Ani po polsku nie umiał, ani po żydowsku. W naszej wsi Charlejów przed wojną żyły cztery rodziny żydowskie. W domu mówiło się w jidysz. Do szkoły chodziłam z polskimi dziećmi. Skończyłam dwie polskie klasy. I tyle tego było. Podpisać się umiem uczciwie<sup>1</sup>.

### 2

Mariannę Adameczek, przed wojną Blimę Kurchant, poznałam na jednym z corocznych zjazdów Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu” w podwarszawskim Śródborowie. W domu konferencyjnym, gdzie w holu siedziały wygodnie w fotelach panie z dobrą fryzurą i dobraną apaszką, zobaczyłam za nimi, w rzędzie krzesel na korytarzu prowadzącym do stołówki, drobną postać. Szczupła twarz, wielkie niebieskie oczy, bardzo opalona, w białej wykrochmalonej koszuli z koronką i z jeszcze bielszymi włosami do ramion, spiętymi do tyłu z każdej strony wsuwką. Siedziała na krześle jak na taborecie, wyprostowana, z rękoma na kolanach.

– Jak przyszła wojna, jako pierwsi dokuczali nam Polacy. Pojawiły się bandy z miejscowych, co napadały. Nocą nachodzili nasz dom, wybijając szyby. Chcieli gwałcić moje starsze siostry, które ukrywały się na strychu jednego

z sąsiednich domów. Tata się o nie bał i poszliśmy żyć do Serokomli, siedem kilometrów od nas. W sąsiedniej wiosce partyzanci zabili dwóch Niemców i za to [12 września 1942 roku] Niemcy wzięli zakładników Żydów z Serokomli, dwieście osób. Wszystko było zabite i wwalone w jeden dołek. Leżeli pół godziny twarzami do ziemi i czekali na swoją śmierć. Jedna kobieta wyszła spod trupów i opowiadała. Tak zabili moją mamę, trzy siostry i brata. Mnie wtedy nie było, chciałam zarobić, to pasłam krowy w Hordzieży, będzie półtora kilometra dalej, i stamtąd słyszałam strzały. Tam też spotkałam dwie dziewczynki, które uciekły i mi opowiedziały. Tatuś, drugi brat i jedna siostra to oni nie byli z nami w Serokomli, bo tata szył buty u jednego Polaka w wiosce obok, więc przeżyli. Szukaliśmy się długo, bo ja się chowałam po strychach i oborach, aż tatuś mnie znalazł. Tatuś, Lejbuś, Marianka i ja to była teraz nasza rodzina. Schowaliśmy się w stodole u gospodarza, co tata mu za to buty robił. Jak zrobił, to się skończyło zamieszkanie. Wtedy tatuś się dogadał z panem Stanisławem Adameczkiem ze wsi Ernestynów, że mu zrobi buty, a my będziemy w jego obejściu. Przyszedł grudzień, zimno, Adameczek powiedział, że da nas do schowka pod stodołą. Spuszczało się przez otwór nogi i tak wchodziło. Żeby się położyć jeden obok drugiego, to nie było miejsca. Noc była w dzień i w noc. Myśmy tam zostały z Marianką, a tata z Lejbusiem poszli do kryjówki w lesie. Był czerwiec [1943], już były jagody, tata powiedział, że takie blade jesteśmy i nas weźmie na tydzień do lasu, żebyśmy trochę kolorów nabrały. Były u nich szałas, może ze dwadzieścia osób razem, najbliżej stamtąd to do Woli Gułowskiej. Gotowali na drążkach, w wiadrach była woda i jedzenie. Byłyśmy tydzień czasu i wtedy się to stało. Było oskarżenie. To byli Polacy, co oskarżyli, nazywali się partyzantka, ale byli nastawieni tylko na Żydów. Oni już nie żyją, byli z mojej wioski Charlejów i z Przytoczna. Niemcy otoczyli obóz, rzucali granaty. Widziałam ciężko rannego ojca, jak prosił: „Dobijcie mnie”. Tata powiedział do mnie i do siostry: „Pilnujcie się Lejbusia, bo tylko już jego macie”. Ale nie widziałam Lejbusia. Zobaczyłam, że ktoś biegnie, to ja za nim, padał na ziemię, to padałam, leciał, ja za nim. Niemcy byli tak blisko jak stąd do drzwi i mówili „Halt!”. A ja biegłam. I padałam, kiedy on padał. To był sąsiad nasz z Charlejowa, Chaim Starowieszczyk, na którego mówili Heniek, przeżył, potem się znalazł w Izraelu. Miałam sukienkę z długim rękawem i dopiero Chaim obciął mi scyzorykiem kawałek sukienki i przewiązał, żeby mi się krew tak nie lała. Nawet nie zauważyłam, że byłam postrzelona. Jednego zabitego widziałam, jak biegłam przez ten las, był z Serokomli, nie pamiętam, jak się

nazywał. Chaim pobiegł tą jedną drogą, co nie była obstawiona, ale kto to wiedział? Siostrzyczki już nigdy nie zobaczyłam. Ile ona z tego życia miała? Chaim mi powiedział: „Twoja cała rodzina wybita, nie idź tam”. Przyprowadził mnie do Adameczków, tam, gdzie się wcześniej ukrywałam, a razem ze mną Dorę. Chaim miał dziewczynę w Serokomli, Edkę, ona nie przeżyła, ale przeżyła jej siostra Dora, i to była ona. Młodsza trzy lata ode mnie<sup>2</sup>. Żywcem robactwo mnie jadło w tej ręce, co w nią trafili. Miałam tylko jodynę, co gospodarz dostał od weterynarza, jak mu powiedział, że jego koń sobie nogę uszkodził. Jak lali jodynę, to nie wolno mi było pisnąć, żeby nie wiem jak piekło. Nie pomagało, robaki były dalej, dopiero jak spirytusem polali mi ranę, zaczęło się goić. Wchodziło się do obory, wpuszczano się najpierw nogi, a potem się tak wczółgiwało i wszystko, co krowy narobiły, tam sobie schodziło. Raz mnie wzięli do mieszkania, na trzy lata raz się umyłam, z wodą lało się robactwo. Wystarczy? Ci ludzie, co mnie przechowali, to żadnego wynagrodzenia nie dostali, bo co ja im mogłam dać? Feliksa i Stanisław Adameczek. Mieli trójkę dzieci, dziewczynka pięć lat, to się przed nią trzeba było kryć, a chłopcy wiedzieli, Kazik miał z dziesięć lat, nam szykował jedzenie. Mama mu mówiła „Weź to zanieś psu”. Jednego razu było oskarżenie na Adameczków. Gospodarza wyprowadzili z izby. „Wydaj, bo cię rozstrzelamy”. „Rozstrzelajta, zabijta – mówił – ale ja Żydów nie chowam”. Szukali, szukali, aż poszli sobie.

Adameczek przywołała to zdarzenie w oświadczeniu wysłanym w 1999 roku do Yad Vashem na prośbę Kazimierza, syna Adameczków, który chciał, by Medal Sprawiedliwych nadany wcześniej jego rodzicom przyznać także jemu. Trzy stroniczki na papierze w kartkę, koślawo, widać, z jakim trudem pisane: „Adameczkowie zabieroly nos wiczorem do mieszkania pewnego wieczoru drzwi zewnętrzne się otwozyły ktoś się zbliża szybko dziewczyny skowane pod stół Adameczkowa nakryła stuł duzym obrusem sąsiad wszed do mieszkania i długo posiedział cos się pomiarkował na drugi wieczór przysło trzech bandzioruw z karabinami wszedł do mieszkania wyprowadził Adameczek z mieszkania pod karabinem rece do gury a dwóch przeszkiwało pomiszczenia gospodarcze Adameczka odprowadziły w pole i muw gdzie są Żydy, a dwóch przeszukiwało pomieszczenia gospodarcze weszli do szopy i włąziły na parter”<sup>3</sup>.

Marianna Adameczek:

– Partyzantka wszędzie szukała, gdzie Żyd. Chodził taki Zdunek koło gospodarstwa Adameczków i węszył po tym miejscu, gdzie ja byłam ukryta.

Było czterech czy pięciu Zdunków w okolicy, ten to był Władysław Zdunek z Charlejowa. Brat Lejbuś też wtedy ocalał. Znalazł mnie, donosił jedzenie, dbał o mnie. Mówił do mnie: „Poszedłbym z partyzantami, ale nie mogę cię zostawić. Siostró, jakby nie ty, tobym żył, a tak to zginę”. I tak było. Polaki go zabiły przed wyzwoleniem. Było tak, że brat się ukrywał na kwaterze w gospodarce, gdzie trzymali jeszcze jednego Żyda, co był z Suwałk, i jednego z Kocka. Przyszli partyzanci, kazali wszystkim wyjść z domu, gospodarzowi i jego dzieciom też. Ten z Suwałk wziął dziecko gospodarza na ręce i tak przeżył, jako rodzina, a brat i ten z Kocka były zabite. Mówili, że zabił mojego brata Aleksander Zdunek z Charlejowa z kolonii, to były obce sobie Zdunki z Władysławem. Brat miał dwadzieścia lat.

### 3

Poprosiłam w Instytucie Pamięci Narodowej o akta Aleksandra Zdunka z Charlejowa, ale ich nie znaleziono. Mógł się urodzić gdzie indziej, pomyślałam, a ponieważ i tak potrzebowałam informacji o Władysławie Zdunku, który napadł na dom Adameczków, to poprosiłam o wyszukanie dokumentów dotyczących wszystkich Zdunków oskarżonych w tak zwanych sierpniówkach, czyli powojennych procesach o kolaborację z Niemcami, w tym również udział w zabójstwach cywilów, znęcanie się nad nimi, wymuszanie majątku, wskazywanie miejsca pobytu. W dokumentach, które dostałam z IPN, znalazłam:

Pięciu Zdunków z Sobolewa (gmina Firlej, powiat Lubartów): Adam i Stanisław mieli znaleźć Żyda ukrywającego się u niejakiej Anieli Ryczkowskiej, Hieronim i Aleksander wziąć udział w ujęciu Ryczkowskiej, a Jan – odwieźć ją furmanką na posterunek żandarmerii<sup>4</sup>.

Jana Zdunka, sołtysa we wsi Czerwonka-Gozdów (też gmina Firlej, powiat Lubartów), który miał wydać Surę-Sonię Szpigelsztajn. Jej synek Mendek został zastrzelony następnego dnia<sup>5[1]</sup>.

Paulina Zdunka z wioski Teodorówka (gmina Frampol, powiat Biłgoraj), który miał wziąć udział w ujęciu kilkorga ukrywających się Żydów<sup>6</sup>.

Zdunkowie to nie tak znowu popularne nazwisko. Jak dużo materiałów bym dostała, gdybym poprosiła o kwerendę w sprawie Nowaków czy Wójcików?

## 4

Marianna Adameczek:

– Myśmy się ukrywały z Dorą, aż słyszymy głos: „Dzieci, wychodźcie!”. My dalej siedziały cichutko, myślały, że ktoś poskarżył. Słyszymy: „Ja twój szwagier”. To był Abram. No on już nie był szwagier, bo moja siostra nie żyła. Wtedy wyszłyśmy. Już nie było wojny. [Na te tereny Armia Czerwona weszła we wrześniu 1944 roku]. Wzięli nas na wóz, gdzie było już sporo Żydów. Mnie i Dorkę zawieźli na sąsiednią wioskę, do Woli Bukowskiej, do gospodarza. Powiedzieli mu, że przyjadą po nas na następny tydzień. Dwa tygodnie nikt się nie zgłosił, to gospodarz mówi: „Słuchajta, dzieci, jesteście na wolności, ja was trzymać nie będę przecież darmo ani się opiekował”. Jego racja była. Wolność przyszła, a mnie czekała służba i pasienie krów. Mówię do Dorki: „To teraz pójdziemy w moje strony”. Poszłyśmy do bogatego gospodarza, który powiedział: „Jedna zostanie u mnie, a druga będzie pasła krowy u brata mego”. No to już się nie martwimy, bo mamy się gdzie położyć. Krowy pasłam nago i boso, bo nikt mi nic nie dał. Abram, który przed wojną miał sklep łokciowy, a teraz mieszkał w Łukowie, obiecywał, że mi przywiezie kawałek materiału na sukienkę, ale się więcej nie pojawił. Ze mną chciał się żenić, ale on był stary, ja go nie chciałam. Poszłam odwiedzić Dorkę, a jej już tam nie ma. Abram zabrał Dorkę, a mnie zostawił. Dowiadywałam się wszędzie o nią. Już więcej jej nie zobaczyłam. Zostałam jak kołek w płocie. Dopóki będę żyła, będę miała ból do Żydów. Tak mnie zostawić, sierotę? Ani napisać nie miałam do kogo, bo nie umiałam pisać.

Krowy pasać, skakać i płakać, to umiałam, bo tego mnie bieda nauczyła. Skończyła się jesień, skończyło się pasanie krów. Nie mam nikogo. Był po rodzicach dom drewniany, idę do niego, a tam obrabowane wszystko. Nie ma nic, nawet blachy z kuchni zdjęli. Stałam na progu i płaczę, dlaczego mnie ta kula nie trafiła w serce, tylko w rękę? Poszłam do sąsiadki. Mówię jej, że razem chodziłam z jej córką do szkoły, a teraz noc się zbliża. Ona, że pójdzie ze mną do jednej Adameczkowej, która jest sama, ona mnie przyjmie. U nas w Charlejewie jest bardzo dużo Adameczków, ona nie była z tych, co mnie ukrywali. Adameczkowa dała mi mleka, kawał chleba ukroiła. Na noc wzięła pod swoją pierzynę. Nie wyobrażam sobie wytłumaczyć tej radości, że mam ciepło i dach nad głową. Uszyła mi sukienkę, na krośnie zrobiła koszulę, żalowała mnie, że jestem sierotą. Jej syn Władek się wtedy ukrywał, bo nie

chciał iść do wojska ani do junaków. Jak Władek już wrócił do domu, to taki partyzant Mucha z Lipin, parę kilometrów dalej, bandzior, mówi do niego: „To Żydówka, wezmę za stodołę i zabiję”. A mój: „Jakbyś ją zabił, to z mojej ręki pierwsza kula cię trafi”. Jeszcze wtedy on nie był mój, to było, jak służyłam u pani Zofii Adameczkowej. Władek powiedział do mnie: „Ja ci dobrze radzę, żebyś się ochrciła, bo on cię zabije, a tyle przeżyłaś. A jak zrobisz, to twoja sprawa”. Wiar jest dużo, ale podobała mi się moja, najpierwsza była wiara Mojżeszowa. Jak byłam w Izraelu, mówili, że Jezus był Żydem i miał żydowskie imię, ja tego tutaj ludziom nie mówię. Pomyślałam: jak mam bronić swojego życia, to się ochrczę, a swoje myśli mam i swoje korzenie mam. Ksiądz się zgodził, 3 czerwca 1945 roku o godzinie jedenastej był chrzest, tu mam dokument, że ze mnie przechrzczanka. Jak ktoś z Władkiem rozmawiał, to mu dokuczali: „A Żydówkę masz za koleżankę”, a jak się ochrciłam, już było inaczej. Jak doszło do ślubu, ja miałam szesnaście, a on dwadzieścia cztery. Że ja u tamtych Adameczków się ukrywałam, to była tajemnica. Odwiedziłam ich, na wesele zaprosiłam, ale nikt nie wiedział, dlaczego ich zapraszam. Oni nic nie dostali, gdyby tata przeżył, to może, a tak, to czym ja mogłam ich wynagrodzić? Jak były większe dzieci, wysyłałam je do Adameczkowej, żeby tam posprzątały. On już wtedy nie żył.

Stanisław Adameczek zmarł na zawał serca w 1946 roku. Według jego syna Kazimierza zawału dostał po kolejnym napadzie jednej z band. Już było po wojnie, ale rodzinę wciąż prześladowali za przechowywanie Żydów<sup>7</sup>. W oświadczeniu dla Yad Vashem, w którym Kazimierz opisał śmierć ojca, dodał ciekawy szczegół do tego, co o swoim ukrywaniu się opowiedziała mi Blima. Gdy dotarła do nich z postrzeloną ręką, jego ojciec pojechał do Dębłina, żeby kupić pół litra spirytusu, bandażę i opatrunki. Dęblin leży czterdzieści kilometrów od Charlejowa, daleka droga, z pewnością można było kupić spirytus i środki opatrunkowe bliżej, widać Stanisław Adameczek bał się, że bliżej ktoś doniesie, że może trzyma u siebie rannego Żyda.

Marianna Adameczek zgłosiła Feliksę i Stanisława do Medalu Sprawiedliwych, zostali uhonorowani pośmiertnie w 1994 roku<sup>8</sup>.

Ale jeszcze gdy w 1993 roku składała w Yad Vashem relację o swoim ukrywaniu się, na końcu dodała: „Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, podając nazwy miejscowości. Oby nie nastąpiła zemsta. Jeśli Państwo uznacie, że nie należy wymieniać, to proszę pominąć”<sup>9</sup>.

## 5

Marianna Adameczek:

– Ślub braliśmy w maju 1946 roku, a Jadzia się urodziła w styczniu 1947. Siostry miałam postawne, mama przy kości, a ja byłam drobna, mała. Dziecko urodziło dziecko. Jak się córka urodziła, a tu żadnych ubrań ani pościeli, zdecydowałam się pójść do sąsiadów, co mieli nasze rzeczy, bo jak się przenieśliśmy do Serokomli, to mama im zaniosiła tobołek i ja go z mamą tam niosłam. Widziałam, jak tam dziewczynki chodziły w sukienkach moich sióstr. A oni, że skąd, nie mają nic, mogą mi podarować trochę piór z kaczki na pierzynę dla dziecka. Nie wzięłam. Teściowa mnie wszystkiego nauczyła, prząść wełnę owczą, w domu stał warsztat. Całe życie nie byłam zadowolona ze swego życia, co ja użyłam? Parniki parować, świniom dać, krowę wydoić, ciasto wyrobić na siedem blach, na łopatę i w piec, przesuwać te blachy, to było najcięższe. Zaszłam w ciążę, ale poza tym była miłość. Potem tyle porodów, sześcioro dzieci urodziłam i siódme nieżywe. W domu rodziłam, tylko najmłodsze w szpitalu. Mąż ani nie bił, ani nie wyzywał od Żydówek. Nigdy złego słowa nie powiedział, że Żydówka. Bardzo dobra była teściowa, wychowywała dzieci, ja pracowałam. Jak dzieci miałam w szkołach na stancjach, to teraz wypracuj na to wszystko, kiedy ziemia w dziesięciu kawałkach, tak wąskich, że nie było jak konia wykręcić. Po zarobkach chodziłam, do badylarzy pod Warszawą jeździłam do pielenia, do kopania kartofli. Życie układało się nam dobrze, ale nikomu bym nie życzyła takiego życia. Nie byłam zadowolona z małżeństwa, bo zawsze miałam na myśli, że mogło moje życie być inne. Nie było bójki, ale różowo też nie było. Niech pani napisze prawdę: różnie było, ale nie miałam gdzie pójść. Oczy moje to nigdy nie wysychały, jak groch mi się łyzy łały. Tego, co zabił brata, po sąsiedzku znałam, rodzice jego żony mieli łąkę koło nas. Trzeba mi było go wydać. Wzywali mnie do sądu w Łukowie, pytali, kto nastawał na moje życie, kto zabił brata. Nie wydałam. Podróż mi zwrócili. To już było parę lat po wyzwoleniu, jak mnie wzywali. Nie chciałam się mścić, a też wtedy nie wiedziałam na pewno. Dopiero później ten, co zabił, powiedział do męża przy wódce: „To takie czasy były”. Mój mąż też dostał wezwanie i też nic nie powiedział. Bałam się, będę się włóczył po sądach, dziecko ktoś ukrzywdzi? Mój chłop to zbudowany, wysoki, żelazo by łamał, ale też nie chciał. „Oni mają dzieci i co one są winne?”, mówił. Nie powiedzieliśmy i jakoś się tu przeżyło. On już nie



żyje, ale żył długo. Jak przejdziemy się wsią, to powiedzą: „A ta Żydówka Adameczek idzie”, ale w oczy „Żydówka” nie powiedzą. Syn tu jest jako sołtys, to widocznie, że ludzie mają zaufanie. Kiedyś Żydy po mnie przyjechały, dwóch mężczyzn. Proponowali, że dadzą mieszkanie i zajmą się wykształceniem dzieci. Ale męża nie chcieli zabrać. Nie zgodziłam się. Przecież on się mną zaopiekował. Po wojnie to wyjechał jeden z Łukowa do Izraela, spotkał się tam z moją rodziną i powiedział, że jedno dziecko Kurchantów przeżyło. Mój wujek napisał list do sąsiada z pytaniem, czy to prawda. Ten sąsiad był zazdrosny, że dostanę pomoc, i listu mi nie dał. To był ten sąsiad, co jego żona mi nie oddała naszych rodzinnych rzeczy. Listu nie dał, ale przetrzymał. Wręczył mi, gdy umierał. Miałam wtedy już wszystkie dzieci. Z wujkiem byłam odtąd w kontakcie, paczki przysyłał, dzieci ładnie do szkoły chodziły ubrane. Wujek zapraszał, ale była komuna, nie dali zezwolenia. Każde dziecko jest po wykształceniu. Jedna córka kończyła farmację, dwie córki nauczycielki. Jeden syn jest leśnik, dyrektor tartaku, jeden ślusarz spawacz, trzeci na gospodarstwie. Mąż był zdrowy, silny, aż go choroba zwinęła i umarł. A ja tyle chorowałam i mnie nie wzięła jeszcze żadna choroba. Córka moja Barbara, ta, która jest nauczycielką, dowiedziała się, że działają organizacje żydowskie. Napisała list. Jeżdżę na spotkania Dzieci Holocaustu, raz w roku, pod Warszawą, w ośrodku, elegancko, córka mnie zawozi. Ale jak piszą do mnie z tych organizacji, to córka mówi: „Mamusi, nie dawaj nikomu, bo to są nasze sprawy”. Czekam, aż ona przyjedzie, żeby mi przeczytała.

Kilka razy odwiedzałam Mariannę Adameczek w Charlejewie, w chałupce na kurzej nóżce, gdzie mieszkała sama, otoczona kolorowymi kurami, które za nią biegały. Po któregoś wizycie wtrąciła się rodzina.

– Podjęliśmy decyzję, że mama nie będzie udzielała żadnych wywiadów, i jest to decyzja ostateczna – oświadczyła mi jej córka Barbara.

Poprosiłam Inkę Sobolewską-Pyz, wówczas przewodniczącą Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu”, by ze mną pojechała. Stowarzyszenie pomagało Mariannie, więc rodzina była łaskawsza i już nie oponowała.

Marianna Adameczek:

– A w ostatnich latach kto tu nie był, pani! Co się na starość dzieje! Przez ponad siedemdziesiąt lat nie używałam życia, teraz tak. W Izraelu byłam dwa tygodnie. Wujek już nie żył, tylko jego żona i dwóch synów bliźniaków. Słynną aktorką zostałam, przyjechali z Kanady i o mnie nakręcili film, pokazywałam, gdzie ten las, gdzie zabite były. W Paryżu został ten film puszczony, mówię ci,

kochana. Bez szkoły, tylko alfabet znam, a film był o mnie. „Maria Adameczek” była karteczka napisana i ja siedziałam, gdzie była kartka, na podwyższeniu. Zaprosił mnie Karol, który jest tam profesor i mieszka w wieżowcu na trzydzieści pięter, i ja u niego mieszkałam. Ludzie oglądali film i płakali jak małe dzieci<sup>10</sup>. Jedyne, co bym jeszcze chciała, to dowiedzieć się, co się stało z Dorką. Dlaczego ona mnie nigdy nie szukała, kiedy wiedziała, gdzie mnie znaleźć? Ona nie miała nikogo i ja nie miałam nikogo, to myśmy były jak papuzki nierozłączne, jak siostry najbliższe. Już nigdy więcej nie miałam przyjaciółki. Poszukuję jej do dzisiaj. Dorka Ajzenberg z Serokomli.

## 6

Chciałam poszukać Dorki, ale Marianna powiedziała, żeby poczekać, bo obiecał jej to jeden pan, co przyjeżdża na rowerze i szuka żydowskich grobów. Gdy ją odwiedziłam znowu, okazało się, że był w Izraelu i Dorkę odnalazł.

Pan na rowerze to Zbigniew Niziński, założyciel Fundacji „Pamięć, która trwa”. Od lat jeździ po Polsce, oznaczając miejsca masowych zbrodni dokonanych na Żydach podczas wojny, porządkując żydowskie cmentarze, namawiając – z lepszym lub gorszym skutkiem – miejscowych gospodarzy, by pozwolili postawić tablicę na swoim polu czy w lesie, tam, gdzie zginęli Żydzi.

– To był 2006 rok – opowiada – byłem niedaleko, w Jeziorzanach, i jeden pan, który miał sto lat, powiedział mi, że tu we wsi obok mieszka Żydówka. Od tamtego czasu podjeżdżałem do pani Marianny, gdy tylko byłem w okolicy. Nie udało mi się upamiętnić miejsca, w którym zamordowano jej rodzinę, ze względu na stanowisko urzędu gminy. Jeździłem z tym do wojewody, ale też nie pomogło. Wyrzucam sobie, że nie znalazłem miejsca pochówku jej brata. Kiedyś przyjechałem do niej, a ona mi powiedziała: „Właśnie zmarł jeden z jego oprawców”. Udało się natomiast, że była piękna uroczystość w szkole w Serokomli. Rozmawiałem tam raz ze starszą panią, która widziała ciała zamordowanych Żydów, i potem się okazało, że to jest matka dyrektora szkoły. Już nie żyła, ale jak powiedziałem dyrektorowi, że jego matce zależało na zachowaniu ich w pamięci, to się zgodził. Był 2009 rok, w uroczystości wzięli udział uczniowie, pani Marianna, córka państwa Adameczków, którzy ją ukrywali, przedstawicielka kancelarii prezydenta, rabin Michael Schudrich. Marianna podeszła do niego: „Ty jesteś mój brat, a ja twoja siostra”. Pomogłem,

żeby prezydent Lech Kaczyński odznaczył rodzinę Feliksy i Stanisława Adameczków, uroczystość odbyła się w Rzeszowie, pani Marianna poznała wtedy panią prezydentową Marię Kaczyńską. Zajmuję się tym od 1999 roku. Dlaczego? Żeby się przydać ludziom i Panu Bogu. Zawsze mnie interesowała biblijna historia Żydów. Wcześniej przez siedem lat byłem w grupie chrześcijan, którzy odwiedzali morderców w więzieniach. Kiedyś natrafiłem na cmentarz na skraju miasteczka, kamienie obrosłe mchem. Zacząłem rozmawiać ze świadkami. Dużą rolę w moim życiu odegrała pani Marianna, bo mnie zaprosiła na coroczne spotkanie Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu” i potem moje działania nabrały tempa. Znalazłem dotąd trzysta miejsc, gdzie znajdują się prochy pomordowanych Żydów. Osiemdziesiąt takich grobów zostało oznaczonych pamiątkową tablicą. Nie wszystkie, bo nie zawsze udaje się odnaleźć dokładne miejsce, innym razem brakuje zgody właścicieli terenu. Od pani Marianny dowiedziałem się, że w Charlejewie próbowała się ukryć ośmioosobowa rodzina z Łodzi, niemieccy żandarmi zabili sześcioro z nich, a dwójka, brat i siostra, ukryli się w stogu siana, ale granatowi policjanci z Serokomli ich zastrzelili. Miałem relację starszej osoby, której brat musiał na polecenie sołtysa zakopać ich ciała. Ten pan już nie wstawał z łóżka i niedługo potem zmarł, ale jego wnuk, do którego należała ziemia, zgodził na upamiętnienie. Tablice są granitowe, czterdzieści na pięćdziesiąt centymetrów, miałem tylko jedno imię, chyba pani Marianna mi je podała.

Oglądam zdjęcie. Pole, w tle rozrzucone chałupy, w środku pola wkopana w ziemię tablica: „Tu spoczywa rodzeństwo z Łodzi, Majka, lat 13, i jej brat, lat 17. Zginęli w 1942 r.”.

– Do Dory Ajzenberg dochodziłem długą drogą. Gdy byłem w Izraelu, pytałem wszystkich. I tak się dowiedziałem, że ktoś pochodzący z Serokomli leżał w szpitalu i dogadał się z pacjentem na sąsiednim łóżku, że ten ma żonę stamtąd. Zapamiętał, gdzie ten jego szpitalny sąsiad mieszka. Powiedziałem to mojemu izraelskiemu koledze, który mi pomaga, bo odnalazłem rodzinę, która przechowała jego rodziców. Jak już znał miejscowość, to poszukał tam tej żony z Serokomli i odnalazł Dorę.

## 7

– Cud od Boga, że ona się znalazła. W kontakcie jestem z nią bardzo.

Marianna Adameczek pokazuje mi list, w którym Dora napisała, że przyjedzie do Polski i odwiedzi Mariannę. Pisany po angielsku, sztywny, mało serdeczny.

Debora Sapin, czyli dawna Dora Ajzenberg, rzeczywiście przyjechała do Polski. Spotkały się w domu jednej z córek Marianny niedaleko Lublina. Debora wyjechała z Polski, gdy miała trzynaście lat i nie mówiła – czy też nie chciała mówić – po polsku. Ktoś więc tłumaczył z angielskiego. Niziński zapamiętał stół przykryty białym obrusem, a na nim przygotowany na wejście wytęsknionej przyjaciółki napis ułożony z kwiatów „MOJA KOCHANA DORKA”. Obecny był też Jean-Charles Szurek, profesor, o którym mówiła Marianna, jej dobry duch. Do książki wydanej przez Centrum Badań nad Zagładą Żydów przygotował rozdział o losach Żydów w powiecie łukowskim, w tym Marianny<sup>11</sup>. Zaprzyjaźnił się z nią, zaprosił do Francji, to też on zorganizował spotkanie.

Jean-Charles Szurek:

– Na początku Dora nie mogła sobie przypomnieć polskiego, ale po pierwszym dniu trochę jej wrócił. Nie chciała rozmawiać o czasie wojny, a Marianna chciała tylko o tym. Pytała ciągle: „Dlaczego mnie opuściłaś?”. Odniosłem wrażenie, że Dora zmusiła się do tego spotkania.

Sylwia Zielińska, wnuczka Marianny:

– Dora z mężem i córką zatrzymali się w Lublinie, przed południem zwiedzali, a po południu przyjeżdżali do domu mojej cioci Basi w Rudce Kozłowieckiej. Tłumaczył pan z Paryża, a też Dora pamiętała trochę słów po polsku, babcia trochę słów w jidysz. Babcia chciała, żebyśmy je zawiozły do miejsca, gdzie się razem ukrywały, ale Dora nie chciała tam jechać. Nie chciała wracać do przeszłości. Babcia została w tamtym świecie, a Dora była bardziej otwarta na świat.

Marianna, dopytywana przez mnie, o czym rozmawiały, powtarzała tylko, jakie to szczęście, że Dora z tak daleka się do niej pofatygowała.

Chciałam poznać Deborę Sapin i dowiedzieć się od niej, jak to się stało, że po wojnie ona wyjechała, a Marianka została. Zapukałam do drzwi jej domu w Ra'ananie. Nie była zachwycona moją wizytą. Udało mi się z nią porozmawiać dzięki sile perswazji mojej izraelskiej przyjaciółki Verki Lechtman, która mnie do niej przywiozła.

Czytałam o niej w oświadczeniu, które Adameczkowie złożyli w Yad Vashem: „Dziewczynka była w wieku 10–12 lat. Jej okrągła twarz pokryta była

piegami, a włosy miała długie i rude”<sup>12</sup>. Gdy ją odwiedziłam, nie miała już długich rudych włosów, ale była zadbaną panią, wyglądającą na pokolenie młodszą od Marianny.

Debora Sapin:

– Moja mama zginęła w Serokomli zabita przez Niemców wtedy, kiedy zabili wielu Żydów. Jeden brat był w lesie, Polacy go złapali i oddali Niemcom. Drugi poszedł do kolegi prosić o pomoc i ta rodzina go zabiła. Ja ze starszą siostrą chowałyśmy się w lesie, byli tam też inni Żydzi w bunkrach. Latem Polacy odkryli te kryjówki i wydali nas Niemcom. Siostra zginęła i zostałam sama. Zajął się mną mój kuzyn Chaim. To on mnie zaprowadził do tych gospodarzy, u których chowała się Marianka. Ja nie pamiętam, żebyśmy rozmawiały. Większość czasu siedziałyśmy w kryjówce, tam, gdzie był chlew i były też kury. W nocy czasami nas wypuszczali, a rano chowali. Było ciemno, nie wolno było nic mówić. Ja nie mam wspomnienia więzi, po prostu ukrywałyśmy się w jednym miejscu. Myśmy były odcięte od świata, myślałyśmy, że tylko my żyjemy. Po wojnie wyszłyśmy z kryjówki, poszłyśmy do innej wsi, spałyśmy dalej razem z kurami i świniami. Ona była w jednej wsi, a ja w drugiej pasłam krowy. Wtedy Żydzi szukali dzieci i ja tak wróciłam do Żydów. A Marianka została. Skąd mam wiedzieć dlaczego? Zabrali mnie do domu dziecka w Łodzi, potem wyjechaliśmy nielegalnie z Polski, przez Bratysławę do Francji, pojechaliśmy do Erec Israel, jak już powstało państwo, potem byłam w kibucu. Któregoś dnia dostałam list z Polski. Myślałam, że nikogo już tam nie znam, zaczęłam myśleć, kto to może też być, i tak się ten kontakt nawiązał. To Marianna pamięta, że ja ją zostawiłam. Ale czego ja mogłam chcieć? Ja byłam dzieckiem. Spotkałyśmy się w mieszkaniu jej córki Basi, która przyjęła mnie bardzo serdecznie. Basia mówiła, że Marianna wstydzi się mnie zaprosić tam, gdzie mieszka, a ja też wcale nie chciałam tam pojechać, bo nie miałam tam czego szukać. Z Marianną rozmawiałyśmy przez angielski. W Polsce cały czas padał deszcz. W kibucu pracowałam z dziećmi w przedszkolu. W Ra’ananie otworzyłam własne przedszkole. To Mariannę zamyka ogromnie, że ona nie czyta i nie pisze. Ja przez całe życie uzupełniłam wykształcenie. Ustaliliśmy z mężem, że chcemy, żeby nasze dzieci żyły normalnie, więc nie trzeba im przekazywać tej historii, której oni nie przeżyli, po co im rosnąć w cieniu Shoah? Odsunęłam to opowiadanie, sama nie chcę do tego wracać. Marianka odwrotnie, tylko by mówiła o wojnie. Własnemu mężowi nie mogła opowiadać, to mnie chciała, tylko że ja nie chcę żyć

przeszłością. Chciałabym coś jej wysłać. Mówi pani, że pieniądze nie, to może szlafrok?

## 8

Gdy odwiedziłam Mariannę ostatni raz („nielegalnie”, czyli bez zawiadomienia rodziny), szlafrok od Dory nie przyszedł, nie wiem, czy kiedykolwiek go wysłała. Przyjechałam z dokumentalistą Marcelem Łozińskim, którego poprosiłam o zrobienie Mariannie zdjęć w obejściu.



Marianna Adameczek, Charlejew 2015

Fot. Marcel Łoziński

– U mnie nie lubią, jak przyjeżdżają goście – tłumaczyła nam. – Syn i synowa, którzy tu przy mnie mieszkają, nie rozumieją mojego cierpienia. Mnie słońko nie świeciło w życiu, a teraz księżyc gaśnie.

Wyszliśmy na dwór, Marcel z aparatem, ustawiał Mariannę to tu, to tam. W drodze powrotnej powiedział mi, że ani razu nie nacisnął migawki, nie chciał

fotografować takiej biedy i zaniedbania. Zrobił jej tylko kilka portretów w mieszkaniu, z bliska. Powiedział jej, że ma piękną twarz.

– Tyle wycierpienia, to może stąd – odpowiedziała.



### 3 Janka

#### 1

Kajet ma solidną szarą okładkę, gruby papier, wyraźne linie. W nim równe pismo pilnej uczennicy, niemal żadnych skreśleń. Zeszyt, w którym dwunastoletnia Janina Heschels zapisała przeżycia z czasu okupacji we Lwowie, oglądam w archiwum kibucu Lochamej ha-Getaot, przewracam strony zgodnie z instrukcją jak najdelikatniej, chwytając tylko rogi kartek, ponieważ papier jest bardzo kruchy<sup>1</sup>.

Na sześćdziesięciu siedmiu stronach Janka opisuje dwa lata swojego życia.

1 lipca 1941 roku, zaraz po tym, jak wojska rosyjskie wycofały się ze Lwowa, ojciec zabiera ją, żeby zobaczyć miasto po bombardowaniach.

Henryk Heschels, wypuszczony trzy miesiące wcześniej z sowieckiego więzienia, był w międzywojniu ważną postacią lwowskiego życia intelektualnego. Prawnik po studiach w Wiedniu, legionista, współzałożyciel i redaktor naczelny syjonistycznej „Chwili”. Pismo miało siedzibę w tym samym domu, w którym mieszkali Henryk, jego żona Amelia i ich córka Janka – redakcja mieściła się na pierwszym piętrze, drukarnia na parterze. W domu było często pełno gości. Może rodzice czytali Jance dodatek do „Chwili” – „Chwilka Dzieci i Młodzieży”, a może była na to jeszcze za mała? Nic nie umiała opowiedzieć o tym okresie poza ogólnym wspomnieniem, że była rozpieszczaną jedynaczką. Jakby utrwalone w pamiętniku przeżycia wojenne starły te wcześniejsze<sup>2</sup>.

Idzie po mieście z ojcem, widzi Ukraińców z łopatami, którzy krzyżąc „*Jude, Jude!*”, tłuką żydowskich przechodniów i wywlekają Żydów na ulicę. Ojciec wstępuje z nią do znajomego, przez okno dolatują krzyki. Henryk Heschels uprzytamnia sobie, że mogą ich zaraz wszystkich wyciągnąć i dopóki córka mu towarzyszy, grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo; Heschels jest we Lwowie rozpoznawalną osobą. Schodzą na dół, stają w bramie. „Tatuś mnie pocałował i powiedział: – Janiu, masz już 10 lat i musisz być samodzielna. [...] O ile mnie kochasz, to idź odważnie i nigdy nie płacz, płacz to poniżenie w nieszczęściu i szczęściu. Idź teraz do domu, a mnie zostaw”<sup>3</sup>.



Janina Hescheles, Lwów 1936  
Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów

Janka idzie więc sama przez miasto, widzi sześćioletnich chłopców wyrywających kobietom włosy, a starcom brody, i starszych chłopaków bijących Żydówmiotłami, trzepaczkami, rzucających w nich kamienie. „Zatkałam uszy i biegłam co sił do domu”<sup>4</sup>.



Janina z ojcem Henrykiem Heschelesem i matką Amelią, Lwów 1936

Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów



Już nigdy nie zobaczyła ojca. Był jedną z czterech tysięcy ofiar pogromu lwowskiego.

Jej matkę, której udało się w czasie okupacji sowieckiej zatrudnić jako rejestratorka w miejskim szpitalu, wyrzucają z pracy, ale znajduje zatrudnienie w nowo utworzonym szpitalu żydowskim. Razem przenoszą się do rodziców Amelii, Berty i Icchaka Blumenthalów, ich mieszkanie leży w obrębie getta. Szybko się zagęszcza. Dochodzą: wujek Mundek Blumenthal z drugą żoną Reną oraz dziećmi z poprzedniego małżeństwa – Klarą i chorym psychicznie

Gustawem, do tego ciocia Sala i wujek Jakub Hirschowie. Aż po kolei wszyscy znikną.

Janka chodzi na tajne lekcje z dwiema koleżankami, chowają chleb, który rodzice zostawiają im na śniadanie, i zanoszą ekipie zagonionej do rozbijania pomników na żydowskim cmentarzu.

W getcie trwają akcje, Niemcy zabierają starych, chorych, czasem przypadkowych ludzi. Najpierw ginie dziadek. W czasie kolejnej akcji Janka jest z mamą w szpitalu, Amelia chce biec szukać swojej matki, ale znajoma ją przytrzymuje: „Dziecko ważniejsze niż matka”. Janka opisuje, jak zachowują się inni: „Dr. Jurimowi zabrali dziecko, a on z żoną poszedł za nim dobrowolnie. Jance Glasgal matkę, ona poszła za matką”<sup>5</sup>.

Precyzja pamięci Janki za każdym razem olśniewa, czy może raczej – poraża. Na jej pamiętnik składają się dziesiątki tak uchwyconych scen, jest też topografia getta, dużo chronologii, pełno nazwisk – naliczyłam prawie sto pięćdziesiąt. „Opowiada o swoich doświadczeniach ze świeżością dziecka i rzeczowością starego człowieka” – pisał o jej wspomnieniach Szmuel Lejb Sznajderman, żydowski dziennikarz, który poznał Jankę jako siedmiolatkę, gdy odwiedził Heschelów we Lwowie<sup>6</sup>.

We wrześniu 1942 roku matka wysyła ją do Czarnego Potoku, wsi daleko od Lwowa, pasie tam krowę, bez przerwy płacze. Pisze wiersze.

W chwili wolnej w chwili cichej  
Wciąż na ucho coś mamrota  
O przeszłości kwili lichej  
Kto to taki –  
Tęsknota

*(Tęsknota)*<sup>7</sup>

Niedługo to trwa. Amelia Heschel, zaniepokojona brakiem wieści, przyjeżdża po córkę. Wracają razem, matka umieszcza Jankę po „aryjskiej stronie”, a sama idzie z powrotem do getta. Za chwilę Janka staje się obiektem szantażu. Do mieszkania, w którym się ukrywa, przychodzi kobieta: „Ja jestem z ramienia gestapo, ty się nazywasz Janina Heschel, a nie Lidia Wereszczyńska. Proszę złożyć do godz. 4 pięć tysięcy, inaczej na »Piaski«”.

To piaszczyste tereny na zachodnich przedmieściach miasta, gdzie rozstrzeliwuje się Żydów.

Matce udaje się ją wykupić, i to za sto złotych. Ale następna szantażystka pojawia się ledwo cztery dni później. Z kolejnego miejsca, gdzie jest bita i głodzona, Janka postanawia wrócić do getta, wtedy gospodyni zaprasza jej matkę, mówi, że Amelia może zamieszkać razem z córką. I zaraz sprowadza policjantów. Biją dziewczynkę kolbami, biją matkę, obie prowadzą do więzienia w getcie. „Mamusia nie pozwalała mi się położyć, bo mówiła, że się zawsze, ale odpowiedziałam: »Oby Bóg dał, bym mogła jeszcze mieć tyfus, ale niestety, nie doczekam go« [...]. Ja już dłużej panować nad sobą nie mogłam i rozpłakałam się. Bałam się nie tak śmierci, jak tego, że dzieci nie strzelają, a żywcem zakopują. Niektórzy modlili się o celny strzał, niektórzy śpiewali hymny hebrajskie. Mamusia mnie uspokajała i przyrzekła, że zasłoni mi oczy”<sup>8</sup>.

Bała się, że „dzieci nie strzelają, a żywcem zakopują”. Bo tak rzeczywiście się zdarzało. Dla dzieci szkoda było kuli. Wiele razy się zastanawiałam, co dzieci wiedziały o tym, jaka śmierć je czeka. Teraz już wiem.

Matka i córka wyszły z tego cało dzięki protekcji, pewnie łapówce wręczonej przez wujka. Ukryte, kiedy Niemcy przychodzą po więźniów, żeby ich rozstrzelać, zostają wyprowadzone z więzienia. Janka rzeczywiście dostaje tyfusu. Kiedy Niemcy wpadają do szpitala mordować chorych, matce udaje się ją schować w laboratorium.



36

dzielnicę.

Ta iareg krosków było biuro usterkuuufu  
przed nim gładki i pmtanua. Potem  
rozciągaf się długi plac. Wzdłuż placu  
stały garare a na końcu barak  
orkaróis i ich kuchnia. Na przeciw  
brama, przed bramą baidka kontrol=  
sektube, w której siedzieli Striks, Akser  
i Weinreb. Przez bramę też wchodziłi  
my na plac apelowy do łagru miejskiego.  
Wzdłuż placu były barakaj miejskie. Przy  
czere cztero piętrowe po pięć osób pod same  
dach. Na końcu była kuchnia, ba=  
nako orkiestry i waszamu. Ta para=  
kawi był jeszere jeden plac nak któ=  
rym wydawano kobietom ruzę i jad.

(37)

Pamiętnik dwunastoletniej Janiny pisany w ukryciu w Krakowie, 1943  
Archiwum kibucu Lochamej ha-Getaot (The Ghetto Fighters' House Archives)



37

linie, Männer lager był oddzielony od  
frau lagru drutami. Druty dzieli D.H.W.  
i obóz z jednej strony od wagon, między  
którymi był niestrzeżony wał, ruwany  
wazorem siemra. Z drugiej dzielił  
od toru co kilka metrów stały na  
stopach badki, w których siedzieli aska-  
my z karabinami maszynowymi a  
w now, bez przerwy puszczali reflektory.  
W frau lagre było osiem baraków. Każdy  
barak był przedzielony dwoma ściankami.  
W każdej przecznicie spało 64 kobiet. Było  
32 przy jedno piętrowych po dwie osoby.  
Na każdy barak były dwie strażniczki,  
które w dzień sprzątały i przestrzegały  
ty porządku. W Männer lagre byli też

(38)

Na początku czerwca 1943 roku zaczyna się likwidacja lwowskiego getta. Tych, których nie zabijają na miejscu, Niemcy wywożą do Bełżca. Janka napisze o tym wiersz już po ucieczce z getta.

Jaki okropny to obraz  
Pełen ludzi wagon  
w kącie kilka trupów,  
wszyscy stoją nago.  
Jęk zagłusza kół turkot –  
Skazaniec tylko rozumie,  
Co koło do niego mówi:  
Na Bełzec! na Bełzec! na Bełzec!  
Na śmierć! na śmierć! na śmierć!

Do Bełzca, do Bełzca, do Bełzca!  
po śmierć, po śmierć, po śmierć!  
Jeśli chcesz żyć,  
to skacz, to leć, to pędź!

(*Bełzec*)<sup>9</sup>

Mogli przeżyć tylko ci, którzy nadawali się do pracy w położonym na obrzeżach Lwowa obozie janowskim, obozie ze straszną sławą, to tuż przy jego granicy mieściły się osławione Piaski<sup>[2]</sup>. Matka każe Jance wyjść z getta i ukryć się u ciotki Marysi W., Polki (w pamiętniku jest podane nazwisko, ale Janka nie umieściła go w wydaniach książkowych). Marysia W. jest żoną Mundka Heschelesa, brata ojca, który uciekł z Polski przez Rumunię zaraz po wkroczeniu Niemców, mają dwie córki w podobnym wieku co Janka.

Janka puka do drzwi, puka do okna, przez które widzi ciotkę i kuzynki, ale one udają, że jej nie widzą, nie słyszą. Wraca do getta. Matka mówi, że dla siebie ma już przygotowany cyjanek.

„Wybuchła płaczem: »Janulu, zaoszczędź mi tej ostatniej męki i idź. Co będzie z tobą, nie chcę już wiedzieć, bylebym ciebie koło siebie nie widziała! Idź, o ile mnie kochasz, idź do niej jeszcze raz. To poniżenie ja na siebie wezmę, bo ci każę iść«”.

„Czy chcesz przedłużyć mi, mamo, tę mękę? Czy nie będzie lepiej raz już skończyć razem w swoich objęciach?” – próbuje oponować Janka, ale matka ją przebłaguje i daje jej pieniądze dla ciotki<sup>10</sup>.

Janka tam wraca. Drzwi są otwarte, więc udaje się jej wejść bez zaproszenia, wręcza pieniądze. Następnego dnia ciotka pokazuje jej list: „Łaskawa pani! Gudłajka jest u pani. Proszę złożyć 20 tysięcy, inaczej z gudłajką na »piaski«”. Janka jest przekonana, że napisała go na prośbę ciotki jej przyjaciółka. I tak Marysia W. wyrzuca ją z domu, nie zwracając pieniędzy.



Janina z rodzicami

Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów

Jest już po likwidacji getta. Janka przedostaje się do obozu janowskiego. Tam dowiaduje się, że jej matka nie żyje. Była w grupie osób ze szpitala, które położyły się w kręgu i zażyły cyjanek.

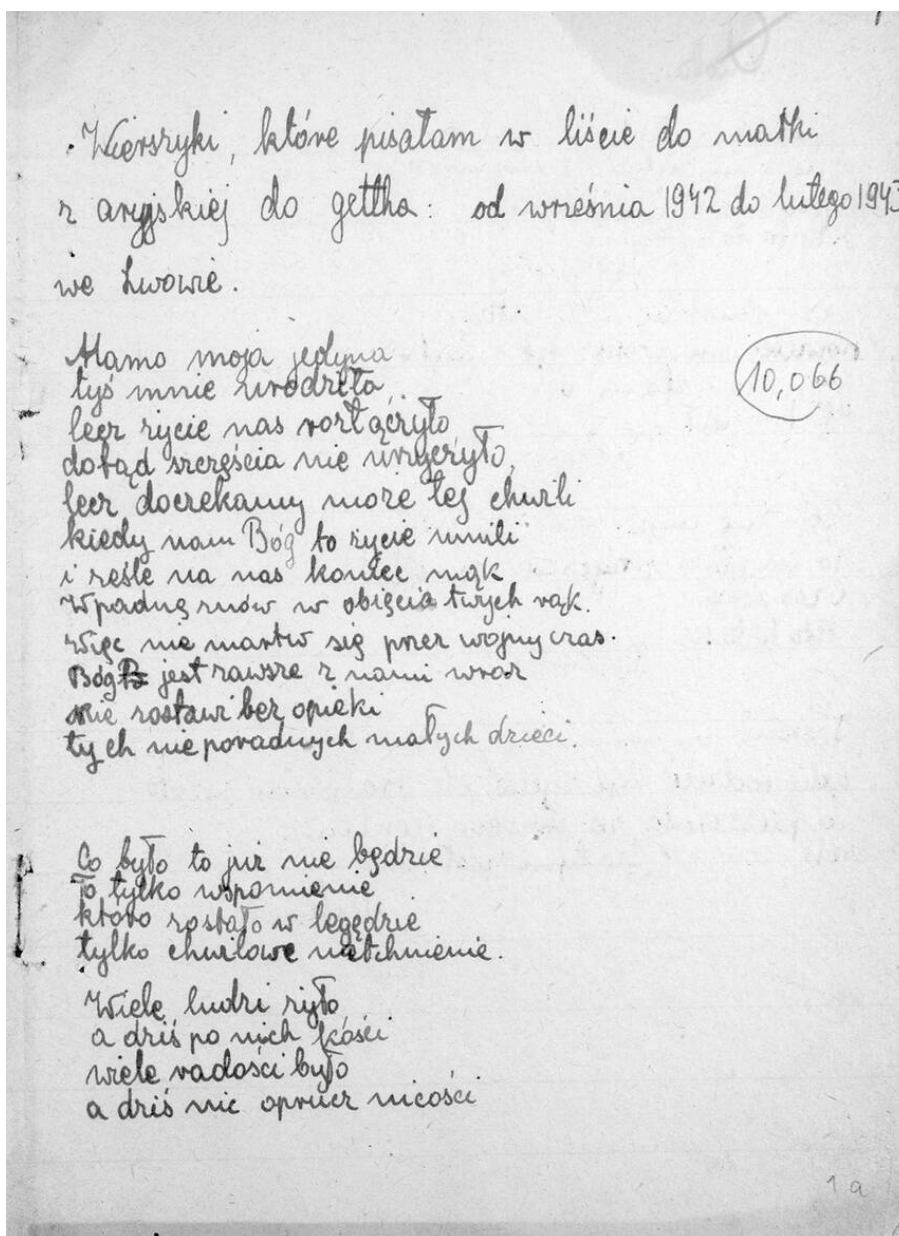
Ach, czemuś mnie tak skrzywdziła  
I samą zostawiła?  
Śród tylu obcych ludzi  
Mam się sama trudzić?  
Lecz chyba z nieba mnie widzisz  
I całkiem już nie skrzywdzisz  
I gdy noc będzie w obozie  
I cisza już wkoło  
Z nieba zejdziesz do mnie  
Siądziesz na moją pryczę  
I jak dawniej pocałujesz mnie w czoło.  
Godziny, minuty liczę  
Na takie cudowne spotkanie  
Radosne powitanie  
[...]  
Ach przyjdź, mammo, przyjdź  
Moje kochanie

(Do Mamusi)<sup>11</sup>

„Kilka wierszy, które napisałam, są mi o wiele bliższe niż ten pamiętnik – zwierzy się wiele lat później. – One mi również przypominają noce, w których nie mogłam zasnąć, dopóki nie ukończyłam zwrotki”<sup>12</sup>.

„Pierwszy miesiąc w obozie był fatalny, gdyż co dzień wracając z pracy, zastawałyśmy dzieci i dorosłych z »Julagu« i z bunkru, których przy nas koło klozetu strzelano. Musieli się do naga rozebrać i rzeczy równo na kupkę złożyć [...]. Trupy te leżały kilka dni, aż zgromadziło się ich więcej, to »brygada śmierci« ich zabierała i na »Piaskach« paliła”<sup>13</sup>.

Wiele osób w obozie rozpoznaje córkę Henryka Heschelesa. Starają się jej pomóc. Dobrze radzi sobie w świecie dorosłych, umie budować więzi, pewnie dzięki doświadczeniom wyniesionym z gościnnego domu<sup>14</sup>.



Zeszyt, w którym Janina spisywała swoje wojenne wiersze, 1945  
Archiwum kibucu Lochamej ha-Getaot (The Ghetto Fighters' House Archives)

W nocy, chociaż to oczywiście nielegalne, wychodzi z innymi kobietami przed barak. „Śpiewałyśmy i recytowały. W takie noce nieraz płątało mi się w głowie i układałam wierszyki bez rymu. Naprzeciw nas z »Piasków« buchały płomienie palących się trupów. Za mamusią tęskniłam, ale nie rozpaczłam, zazdrościłam jej tylko, że już skończyła. A ja patrzę na ten ogień, w którym ona się może teraz pali, i wiem, że też się spalę. Chwile takie, gdy tak myślałam, były już rzadkie. Chciałam wykorzystać ostatnie dni i uśmieć się, ale uśmiech nasz był sztuczny”<sup>15</sup>.

Ogląda egzekucję. Mężczyzna, który chwilę wcześniej sprzedawał mydło i ona kupiła od niego kawałek, rozbiera się, a Niemiec mu tłumaczy, jak ma sobie założyć pętlę. Janka spokojnie kieruje wzrok na skazańca, który „wisiał już, drgając”. Przypomina sobie, jak pierwszy raz była naocznym świadkiem mordy – szła do latryny i zobaczyła rozbierających się obok niej ludzi. „Bałam się zawrócić i bałam się pójść. Zamknęłam oczy, zatkałam uszy, wstrzymałam oddech, byleby nie widzieć, nie słyszeć, co tchu pobiegłam do latryny. [...] Dygotałam, dzwoniłam zębami i przez cały wieczór nie mogłam się opanować”. A teraz, oglądając powieszzonego, „nie bałam się już śmierci, czyjeś czy mojej, ale nie mogłam się w żaden sposób z nią pogodzić. Ogromnie chciałam żyć i czułam, jak coś we mnie woła: żyć! żyć!”<sup>16</sup>.

Postanawia znowu uciec. Znowu trafia do ciotki. Jest tam jej przyjaciółka, ta od szmalcowniczego listu. Wyzywają ją, wyrzucają za drzwi. Janka przedziera się z powrotem do obozu.

Jest koniec września 1943 roku, nadchodzi żydowski Nowy Rok. „Byłam już tak przygnębiona, że nie udzielał mi się popłoch i panika. Zrozumiałam wtedy, dlaczego wszyscy tak spokojnie poddawali się śmierci. Odechciało mi się żyć i poczułam obrzydzenie do życia. [...] to, co wołało we mnie: żyć – a po powrocie od ciotki przestało – to była dusza. A teraz nie miałam już duszy i zupełnie byłam pogodzona z losem, byłam żywym trupem”<sup>17</sup>.

Dwie osoby z podziemnej siatki w getcie, która otacza Jankę opieką, zapewniają, że wyjdzie na „aryjską stronę”, są plany, by wywieźć ją do Krakowa. „Nie wierzyłam im. [...] Nie mogłam zresztą wyobrazić sobie, by »ktoś« mógł się starać, ażebym żyła. Ludzie są przecież wielkimi egoistami i kto dla jakiejś tam Heschelówny, której przed wojną było dobrze, narażałby własne życie? I to za darmo?”<sup>18</sup>

„Dostrzegamy w tym krótkim zdaniu rozdierającą świadomość, jak nikła, jak bezpodstawna jest nadzieja ocalenia” – pisze Piotr Laskowski w posłowie do krytycznego wydania wspomnień Janki<sup>19</sup>.

I wtedy, w październiku 1943 roku, okazało się, że ktoś się jednak starał. Janka ma się stawić na rogu dwóch ulic już po „aryjskiej stronie” i podejść do pani w bordowym płaszczu.



„W obozie, kiedy na żaden ratunek już nie było co liczyć, dzięki wierszom recytowanym po nocach w baraku kobiet, poznałam Michała Borwicza, też więźnia, poetę i pisarza” – pisała po latach<sup>20</sup>. Opowiadała, że jedna z kobiet, która jej tam słuchała, powiedziała o niej Borwiczowi, i tak Janka została zaproszona na spotkanie wąskiej konspiracyjnej grupy złożonej z muzyków, pisarzy, poetów, którzy urządzali wieczorki literackie<sup>21</sup>.

Była pierwszą osobą, której Borwicz zorganizował ucieczkę, po tym jak sam wydostał się z obozu. On – w getcie członek konspiracji – opisał swoje spotkanie z Janką w kilku książkach, wydanych w Polsce i we Francji (dokąd po wojnie wyemigrował). Według niego było tak, że z różnych stron rekomendowano mu dziewczynkę, która pisze wiersze i recytuje je w barakach. Ociągał się, uważając, że nie jest dobrym pomysłem konspirować z dzieckiem. Aż Janka sama zmyliła strażniczkę ze swego baraku i dotarła do niego. Zamyślona, zasepiona, recytowała wiersze naturalnie, bez żadnej afektacji – tak ją zapamiętał. Zdobył dla niej tom Mickiewicza<sup>22</sup>.

Żeby wyciągnąć ją z obozu, uruchomił struktury krakowskiej Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Późną jesienią 1943 roku Józefa Rysińska pseudonim „Ziuta”, czyli pani w bordowym płaszczu, lat dwadzieścia jeden, która wcześniej przewiozła do Krakowa Borwicza, przyjechała do Lwowa i zabrała Jankę wraz z drugą dziewczyną.



Janina z Michałem Borwiczem tuż po wojnie, Kraków  
Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów

Borwicz opisał po latach, jak to się odbyło. Uzgodnił z krakowskimi przyjaciółmi z Żegoty sprowadzenie dziewiętnastoletniej Reny Eidem, która miała „tzw. świetne warunki, »dobry wygląd«, bezbłędną wymowę, zrównoważenie. Wystarczyły dla niej papiery i pokierowanie pierwszymi krokami”<sup>23</sup>. Gdy „Ziuta” po nią wyjeżdżała, „zdublował zlecenie”: „Nękała mnie myśl, że tam w obozie tkwi dwunastoletnia Janka Heschel, która



w zasięg podziemnej organizacji weszła przez swoje wierszyki. Moi krakowscy przyjaciele wyrazili byli zgodę na zajęcie się nią, lecz urządzenie dziecka trzeba było obmyśleć inaczej niż innych, słowem – powoli, po kolei... Mnie tymczasem gnębił lęk, że ta kolejność może przyjść... za późno. Toteż w ostatniej chwili, odprawiając Ziuę, zmieniłem już na własną rękę instrukcję”<sup>24</sup>.

Kilka dni później cała trójka dojechała szczęśliwie do Krakowa, ale nawaliła osoba, która miała odebrać je na dworcu. „Ziuta przybiega do mnie – opisywał Borwicz. – Bezradni, kręcimy się w czwórkę po ulicach, jest późna chłodna jesień. Uciekinierki zmęczone po sensacjach ucieczki i całonocnej podróży, zziębnięte, w lekkich bluzeczkach”<sup>25</sup>. Niedługo przed godziną policyjną zdecydowali się pójść do mieszkania Miriam Hochberg i Mordechaja Pelega (ukrywających się jako Maria Mariańska i Mieczysław Piotrowski).

„Jadąc pociągiem, nie wierzyłam jeszcze, że jadę do życia” – pisała Janka<sup>26</sup>. Czy wierzyła w to Rena Eidem? Zginęła wkrótce potem, zamordowana przez Niemców. Nie wiemy, w jakich okolicznościach, pewnie z tego samego powodu, co większość ukrywających się – z donosu. „Ziuta” wpadła krótko później, przy kolejnej wyprawie, trafiła do Auschwitz, przeżyła.

Janka figuruje w spisie stu pięćdziesięciu trzech osób, które korzystały z pomocy krakowskiej Żegoty<sup>27</sup>.

Parę pierwszych nocy spędza w mieszkaniu, do którego zaprowadził ją Borwicz. Hochberg, podpora krakowskiej Żegoty, będzie czuwać nad Janką do końca wojny i później. Następne miejsce jest na Podgórzu, u Wandy Janowskiej związanej z Władysławem Wójcickim, sekretarzem krakowskiej Żegoty. Janka zostaje tam zameldowana pod fałszywym nazwiskiem jako pomoc domowa<sup>28</sup>. W mieszkaniu mieści się gabinet kosmetyczny Wandy, który w nocy działa jako komórka legalizacyjna, gdzie produkuje się fałszywe dokumenty. Dziewczynka, po którą do Lwowa wysłano łączniczkę, jest zatem przechowywana u osób w pełnym wymiarze zaangażowanych w działania konspiracyjne. Z podobnym naruszeniem zasad bezpieczeństwa spotkałam się w opowieściach o działaniu warszawskiej Żegoty. Nie dawało się stosować wymogów konspiracji, bo – jak mówiła Irena Sendlerowa – znacznie łatwiej było w czasie wojny ukryć w czyimś salonie pod dywanem duży czołg, niż znaleźć miejsce dla jednego małego żydowskiego dziecka<sup>29</sup>.

Mariańska przynosi do mieszkania Wandy kajet i ołówki. To tam Janka pisze swój pamiętnik. Zdaniem Hochberg w tym jest jego moc – że był pisany

w trakcie ukrywania. „Pisząc, tkwiła jeszcze w tamtym obozowym świecie. Przy każdym z nami spotkaniu pytała o wieści »stamtąd«”<sup>30</sup>.

Mija kilka miesięcy i trzeba w pośpiechu ewakuować Jankę (a także komórkę legalizacyjną), bo w otoczeniu Wandy Janowskiej doszło do wpadki – aresztowano człowieka, który miał wyrobione „aryjskie” papiery z meldunkiem pod jej adresem<sup>31</sup>. Hochberg-Mariańska w świadectwie, które przekazała do archiwum kibucu Lochamej ha-Getaot, opisuje, że walczyli o to, „żeby dać jej przynajmniej minimum życia przy świetle dziennym”, czyli żeby nie skazywać Janki na jakąś kryjówkę za szafą<sup>32</sup>. Dzięki staraniom „Ziuty” znajduje się miejsce u jej krewnych, pań Kobylińskich (matka i dwie córki).

Sendlerowa pisała o początkach swojej działalności, że uzyskiwała pomoc dla żydowskich dzieci „jedynie pod pretekstem akcji patriotyczno-polskiej”, przedstawiając je jako „dzieci polskie po działaczach niepodległościowych”<sup>33</sup>. Janka zostaje przedstawiona jako pół-Żydówka, córka polskiego oficera, który przebywa w Anglii<sup>34</sup>. Nie wiem, dlaczego pół-Żydówka, może obawiano się, że ze swoim wyglądem nie da rady uchodzić za Polkę, w każdym razie polski oficer był konieczny na dokładkę.

Ale pewnego razu Janka zostawia na wierzchu list do Borwicza. Opiekunki czytają i już widzą, że Janka w obu połówkach jest Żydówką. Równa się to wyrzuceniu z domu. „Musiałam się tłumaczyć przed tymi bardzo wrażliwymi paniami z mojego kłamstwa” – pisze Hochberg-Mariańska<sup>35</sup>. Trzeba było szukać następnego mieszkania i następnego, i następnego...

„Nie była łatwa, nie umiała i nie chciała przystosować się do warunków pełnej konspiracji, stale proponowała nam, żeby ją zatrudnić w robocie podziemnej” – wspominała Hochberg-Mariańska<sup>36</sup>. Narzekała, że Janka pisze wiersze na kawałkach papieru i wtyka je jak zakładki do książek. To pewnie jeden z tych wierszy, datowany jest na 16 lipca 1944 roku.

A księżyc płynie po niebie  
nad wieśniaczki domkiem,  
nad hucznym zamkiem,  
nad frontem,  
nad cichym mądrym, falującym się morzem,  
nad nami  
czyli nad obozem  
i nad piaskami

(Noc)<sup>37</sup>

Po powstaniu warszawskim szukają jej kryjówek jako zagubionemu dziecku z powstania. W jednym z mieszkań Janka ukrywa w szufladzie z bielizną butelkę napełnioną benzyną. Nasłuchiwała się o dzieciach z powstania warszawskiego, które szły z takimi butelkami na czołgi<sup>38</sup>.

Aż Hochberg-Mariańska spotyka przypadkowo Jadwigę Strzałecką – przyszły o tej samej porze do skarbniczki Żegoty, Jadwiga też w sprawie pomocy dla żydowskich dzieci, które miała pod opieką.



Jadwiga Strzałecká z podopiecznymi, pierwsza od lewej Janina Heschel, dom dziecka w Poroninie, 1945

Michał Borwicz „Zygmunt”, *Spod szubienicy w teren*, Paryż 1980

Strzałecka, fantastyczna postać, prowadziła w swoim domu na warszawskiej Sadybie sierociniec pod auspicjami RGO. Przechowała tam dziesięcioro żydowskich dzieci (wychowanków było razem czterdzieścioro), dwie opiekunki były Żydówkami. Po upadku powstania warszawskiego Strzałecka przedostała się z dziećmi do Poronina. Tam dołączyła do nich Janka. Wspominała po latach, że otoczono ją dobrocią, miłością i troską, że zwrócono jej dzieciństwo, radość i entuzjizm do życia<sup>39</sup>. Jej wiersz *Z górki* ze stycznia 1945 roku opowiada o pierwszym w życiu zjeździe na nartach:

I usta się składają do cudnego wyrazu  
Warto, warto żyć, bo na świecie pięknie jest<sup>40</sup>.

### 3

Po wojnie Janka została w polskim sierocińcu, nawet gdy Strzałecka z niego odeszła. Dlaczego? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Borwicz czy Hochberg-Mariańska nie próbowali jej przenieść do jednej z żydowskich placówek, było ich wiele i były z reguły świetnie prowadzone. Sądząc po wpisach w pamiętniku, Janka była dziewczynką, która robiła to, co sama uznawała za słuszne, zakładam więc, że to ona wybrała polski sierociniec. Może jak wiele żydowskich dzieci po wojnie nie zamierzała więcej być Żydówką?

Te dokumenty znalazłam kompletnym przypadkiem. W książce Ewy Koźmińskiej-Frejłak o strategiach zadomawiania się ocalałych z Holocaustu w powojennej Polsce, spośród których jedną było przechodzenie na katolicyzm, przeczytałam wzmiankę, że najbardziej oryginalne i niesztampowe podanie z prośbą o chrzest napisała pewna kilkunastoletnia dziewczynka (nie zacytowano jego treści), a z przypisu wynikało, że ochrzczono ją w parafii w Poroninie. Już wiedziałam, że Janka była oryginalna i niesztampowa. Czy to możliwe, że w Poroninie tuż po wojnie były dwie ocalałe dziewczynki w tym samym wieku i podobnego usposobienia? (Nie mówiąc o tym, że Ewa Koźmińska-Frejłak opracowała krytyczne wydanie pamiętnika Heschel – to by było za dużo przypadków). Zapytałam ją, czy chodzi o Jankę, ale nie chciała odpowiedzieć. Nie podaje w swojej książce nazwisk ani nie cytuje osobistych świadectw, żeby nie naprowadzić na trop opisywanych postaci; przecież ich strategią i pragnieniem było ukrycie żydowskiej tożsamości, może ich dzieci czy wnuki nic o niej nie wiedzą? Złożyłam wniosek o udostępnienie materiałów

dotyczących konwersji dziewczynki z Poronina do Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Trafiłam! Chodziło o Jankę. A swoją drogą jest w tym coś niesamowitego, że historyczka Holocaustu odczuwa tak wielką empatię wobec tych, których losy bada, że uważa za oczywiste ukrywanie ich żydowskiej tożsamości osiemdziesiąt lat po wojnie.

W pierwszym dokumencie proboszcz parafii w Poroninie zgłasza kurii, że gotów jest ochrzcić Jankę, o ile kuria wyrazi zgodę. Píše, że dziewczynka „znajomość nauki Chrystusowej wykazuje w dostatecznym stopniu” i „czystość intencji, o ile potrafiłem się przekonać, ma”. Ksiądz zaznacza, że chociaż Janka nie ma rodziców i przebywa wśród katolickich dzieci, „trudność może powstać w przyszłości i taka: ma jednak opiekunkę Żydówkę zacieklą i ta wprawdzie tylko z tytułu religijnego i narodowościowego, ale nią się interesuje i ją jako zdolną Żydóweczkę z getta wyratowała”<sup>41</sup>.

„Opiekunka Żydówka zacieklą” to z pewnością Hochberg-Mariańska. Widać, że nie straciła Janki z oka.

Kuria odpowiada rozsądnie, żeby chrzest odłożyć do czasu, gdy Janka skończy dwadzieścia jeden lat, „celem dokładnego stwierdzenia *firmæ voluntatis*” (czyli silnej woli)<sup>42</sup>.

W kolejnym liście proboszcz z Poronina ujmuje się za Janką i przesyła jej prośbę o dopuszczenie do chrztu – dziewczynka najwyraźniej nie chce przyjąć do wiadomości odmowy<sup>43</sup>. Janka pisze:

Do Najwielebniejszej Książęco-Metropolitalnej Kurii w Krakowie

Zgłosiłam się do Wielebnego Księdza Proboszcza tutejszej parafii z prośbą udzielenia mi Chrztu św. Ksiądz Proboszcz przedstawił już Przewielebnej Kurii moją prośbę, ale otrzymał odpowiedź odmowną.

Mimo to ufając, wnoszę pokornie prośbę sama o łaskawe uwzględnienie i dopuszczenie mnie do sakramentu Chrztu św., bo chociaż wierzę, boję się sama bez tak silnego oparcia, jakie daje świadomość poczuwania się za własność Bożą, iść w życie.

Zostałam oddana do zakładu polskiego przez opiekunkę Żydówkę, która poczuwa się do opieki nade mną dlatego, że uratowała mi życie. Bliżej mną się wcale nie zajmuje. Jeżeliby się o mnie upomniała, zdecydowałam się już wystąpić przeciwko temu, ponieważ drogi moje są zupełnie przeciwne jej dążeniom.

Drogą moją już dziś jest Chrystus. Po tej drodze nie tylko wiara i rozum iść nakazują i dziwne poczucie bezradności i samotności, a głównie niedające się określić uczucie tęsknoty za Tym, Którego kocham i Który przez liczne łaski coraz bardziej mnie do Siebie pociąga. Świadomość, że nie posiadam Chrztu św., męczy

mnie bardzo, bo pragnę oddać się Chrystusowi, ale w tym stanie duszy nie śmiem. [...]

Jeszcze raz pokornie proszę o dopuszczenie mnie do łaski Chrztu św., który Jezus męką Swoją i dla mnie wysłużył<sup>44</sup>.

Przejmujące to pomieszanie frazeologii katolickiej, pobożne pisanie wielkimi literami wszystkich zaimków odnoszących się do Pana Jezusa z prostym wyznaniem o bezradności i samotności.

Kuria się ugięła<sup>45</sup>.

Ochrzczona Janka razem z całym sierocińcem przeniosła się do Sopotu<sup>[3]</sup>. W domu dziecka zrobiła maturę, po czym pojechała do Warszawy do przedwojennych przyjaciół rodziców. Odnalazła ją tam ciotka Mania Zypper, siostra ojca. Pisała, żeby przyjechała do niej do Izraela, „zapewniała, że jej dom będzie i moim”<sup>46</sup>. Tęsknota za rodziną, twierdziła Heschel, zdecydowała o tym, że postanowiła wyjechać. A co zrobiła w międzyczasie ze swoją wiarą, kiedy ją zagubiła, pomalutku czy nagle – nie wiemy.

Janka wyjechała legalnie, w 1950 roku otwarto znów (na krótko) granice dla emigracji żydowskiej<sup>47</sup>. Z obozu przejściowego dla imigrantów pojechała prosto do Jerozolimy do cioci Mani. Nikt nie otwierał. Sąsiadka powiedziała, że Maria jest chora na raka. Janka odnalazła ją w szpitalu, umierającą. Już więcej się nie zobaczyły<sup>48</sup>.

Do Najwielebniejszej  
Księżce Metropolitalnej  
Kurii w Krakowie.

Łączę się do Wielebnego Księdza Proboszcza tutejszej  
parafii z prośbą udzielenia mi Chrztu św. Ksiądz Proboszcz  
przedstawił już Brzewielebnej Kurii moją prośbę, ale otrzymał  
odpowiedź odmowną.

Mimo to ufając, wnoszę pokornie prośbę sama o Łaskawe  
uwzględnienie i dopuszczenie mnie do sakramentu Chrztu św.  
bo chociaż wierzę, boję się, sama bez tak silnego oparcia, jakie daje  
świadomość porzucenia się na własność Boga iść w życie.

Łączę się do rządu polskiego przez opiekunkę,  
Łydawkę, która porzuca się do opieki na demna, dlatego, że  
uratowała mi życie. Bliżej mnie, się wcale nie zajmuje.  
Jeżeli by się o mnie upomniała, zdecydowałabym się już wystąpić  
przeciwko temu, ponieważ drogi moje są zupełnie przeciwne  
jej dążeniom.

Droga moja, już dziś jest Chrystus. Po tej drodze nie tylko  
wiana i rozum iść nakazuje i drżące porzucie bezradności  
i samotności, a głównie niedające się określić uczucie tęsknoty  
za Tym, Którego Kocham i Który przez lierne Łaski coraz  
bardziej mnie do Siebie pociąga. Świadomość, że nie posia-

List Janiny do krakowskiej kurii z prośbą o zgodę na udzielenie jej chrztu,  
1945

Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie

dam Chrystu sw. męczy mnie bardzo, bo pragnę oddać się  
Chrystusowi, ale w tym stanie duszy nie śmiem.

W raktadnie pracowała Pani dr. Keller z pochodzenia  
Łydówka, ale głęboka katoliczka i Polka. Pani ta oswadczyła  
mi chęć zaopiekowania się mną z chwilą polepszenia swoich  
warunków materialnych, a jako Matka Chrystna już teraz  
była by mi pomocą i opiekunka duchowa.

Jeszcze raz pokornie proszę o dopuszczenie mnie  
do Taski Chrystu sw. który Jezuś męka swoją  
i dla mnie wytworzył.

Pomnin. 5. X. 1945? Janina Keszkeles

Dostała miejsce w Domu Pionierek w Hajfie. Studiowała chemię. Na studiach wyszła za mąż za Kalmana Altmana, asystenta na wydziale fizyki. Urodziło im się dwóch synów – Eitan i Zwi. Janka pracowała naukowo przez następne czterdzieści lat, na Technionie w Hajfie, w słynnym Instytucie Weizmanna w Rechowot, na uniwersytetach w Anglii i w Niemczech.

„Po przyjeździe do Izraela już nie pisałam wierszy – mówiła – Polska była dla mnie skończona, a po hebrajsku nie umiałam”<sup>49</sup>.



## 4

Kajet Janki wędrował własnymi ścieżkami, z dala od niej. W czasie wojny „przenoszony z miejsca na miejsce i tak jak jego autorka – chociaż nie razem z nią – troskliwie chroniony”<sup>50</sup>.

W 1946 roku pod tytułem *Oczyrna dwunastoletniej dziewczyny* ukazał się drukiem w serii wydawanej przez Centralną Żydowską Komisję Historyczną, wybitną instytucję, która tuż po zakończeniu wojny zajęła się gromadzeniem świadectw<sup>[4]</sup>.

„Pisząc ten swój pamiętnik, miała autorka lat dwanaście. Obecnie liczy piętnasty – pisze we wstępie kolegium redakcyjne. – Zaproszona do przeglądnięcia egzemplarza korektowego – pragnęła przeprowadzić szereg poprawek, głównie stylistycznych. Np. przyimki »iż« chciała koniecznie zmienić na »że«, poza tym usunąć cały szereg wyrażen (np. »rozrywaliśmy się« ukute od rzeczownika »rozrywka« itd.). Nie mogąc ze względów zasadniczych uwzględnić prośby autorki, zapewniliśmy ją tylko, że czytelnik przyjmie, iż obecnie, starsza o trzy lata, napisałaby dużo poprawniej”<sup>51</sup>.



Janina z mężem Kalmanem Altmanem, Hajfa, lata 50.

Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów

W skład kolegium redakcyjnego wchodzi Maria Hochberg-Mariańska i Michał Borwicz, wówczas przewodniczący komisji w Krakowie<sup>52</sup>. Nie napomykają, że to oni uratowali Jankę. Wzruszył mnie ten wstęp i wyjaśnienie – że ze względu na historyczną wartość świadectwa nie wprowadzili poprawek, ale zapewniają autorkę, że każdy zrozumie, iż trzy lata starsza dziewczynka napisałaby to lepiej. Tyle tylko, że nie jest to prawdą. Naniesiono sporo zmian, które pieczołowicie wyliczyła Ewa Koźmińska-Frejłak w wydaniu krytycznym<sup>53</sup>. Wiele z nich to poprawki ortograficzne – Janka miała za sobą dwie klasy szkoły podstawowej i trochę nauki na tajnych kompletach, są zmiany struktury tekstu, a także dziesiątki drobnych podmianek, czasem coś

wyjaśniają, czasem dopowiadają. Tylko część z tych stu kilkudziesięciu zmian wydaje się niezbędna dla zrozumienia tekstu, czasem szkoda, że nie zachowano pierwotnego. Jak zamiana „Żydowica ci mdleje” na „Żydówka ci mdleje” (gdy wskutek donosu po Jankę i jej matkę przychodzi do mieszkania policja) czy skrócenie „Mamusię obrzyd ogarnął i nie dała mi się położyć na ziemi” na „Mamusia nie dała mi się położyć na ziemi” (gdy są w więzieniu po tej wpadce).

Oryginał pamiętnika przechowywał Borwicz i na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku podarował go archiwum kibucu Lochamej ha-Getaot, razem z drugim kajetem, wierszami Janki, które spisała zaraz po wojnie. Był już XXI wiek, kiedy jej wspomnienia zyskały nowe życie, ukazując się w ośmiu językach. W Ukrainie w 2011 roku, w dwóch wersjach – po ukraińsku i po rosyjsku (Hescheles została też wtedy dwukrotnie zaproszona do Lwowa, pokazywano spektakl na motywach pamiętnika). W 2012 roku po katalońsku (tłumacz Guillem Calaforra czytał Czesława Miłosza, który przywoływał postać i dokonania Borwicza, więc sięgnął do Borwicza, a tam trafił na opowieść o Jance i ją odnalazł<sup>54</sup>). W Izraelu w 2016 roku, dokładnie siedemdziesiąt lat po pierwszym wydaniu, przez nią samą przetłumaczone.

Odkąd wspomnienia Janki znalazły się w archiwum Lochamej ha-Getaot, Hescheles zaczęła tam jeździć. Archiwista Noam Rachmilevitch spisywał na karteczkach, co mu opowiadała.

– Podkreślała, że nie przeżyłaby, gdyby nie pomoc starszych od niej kobiet, starszych to znaczy, że miały po dwadzieścia kilka lat. Wspominała Helenę Grin, żydowską intelektualistkę i poetkę, która oddała jej swoje jajko. Pytałem, czy trudno było uciec. „Nie, to nie było zbyt trudne”, mówiła. „Problemem było, co dalej”.

Anat Bratman-Elhalel, dyrektorka archiwum:

– Przyjeżdżała do nas transportem publicznym, dwa autobusy, a potem pół kilometra pieszo, trochę pod górę, czasem szła w upale. Ostatni raz przyjechała na wózku, z opiekunką. Powiedziała: „Chciałabym się pożegnać z moimi zapiskami”. Przynieśliśmy jej kartonowe pudło, w którym są przechowywane, i zostawiliśmy ją samą.

W archiwum Yad Vashem znajdują się listy, które Janka Heschel, już wtedy Altman, przez trzydzieści lat pisała do Michała Borwicza (pierwszy z 1957, ostatni z 1987). Nie jest to gęsta korespondencja, ale widać, że Janka uważała za właściwe donieść Borwiczowi o każdej ważnej zmianie w swoim życiu.

Piszę ten list jako nowo piecząca się mężatka, piszę „piecząca”, a nie „upieczona” gdyż prócz *ktuwy*<sup>[5]</sup> nie otrzymaliśmy jeszcze żadnego oficjalnego zaświadczenia czy świadectwa ślubu. (8 września 1957)<sup>55</sup>

Za pięć miesięcy zrobię z Ciebie wuja, jestem w ciąży. (List niedatowany)

Wróciłam właśnie ze szpitala. Urodził się nam także synek. Poród miałam lekki, zresztą po przeżyciu wojny bóle porodowe to nie bóle. [...] Przyznam się, że bardziej niż porodu obawiam się egzaminów [chodziło o egzaminy do pracy doktorskiej, które miała zdawać trzy tygodnie po porodzie]. (3 lutego 1959)

Michał, czy mogłabym Ci pomóc w wydaniu którejś z Twoich książek? Otrzymałam z Niemiec odszkodowania i 1/3 część trzymam w obcej walucie. Tą część, która stanowi dosyć pokaźną sumę, mogę Ci przez Kalmana przesłać – 45000 marek. (29 maja 1962)

Dobrze jest po egzaminie, aczkolwiek kontynuuję pracę i kontynuuję naukę, ale już bez napięcia i w zamian potrafię się cieszyć z dzieci, z tych różnych drobiazgów i czynności, które uprzednio były jako ciężar i niemiły obowiązek (karmienie dzieci, układanie do snu itp.). Zaczynam czytać trochę literaturę. Dzieci są zdrowe, ślicznie się rozwijają. Jednym słowem, Michale, nigdy tak dobrze nam nie było, jak jest teraz. (List niedatowany)

Jak, Michał, Twoje książki? Trochę Ci zazdroszczę. W duszy pragnę ciągle, aby pisać. I pocę się godzinami, zanim kilka zdań napiszę. (List niedatowany)

Książkę, którą teraz napisałam, częściowo na tle obozu janowskiego, na tle autentycznych wypadków, częściowo z ludźmi, którzy są autentyczni, a częściowo z wyobraźni, za wszelką cenę wydam. Tym razem łask niczyich nie będę szukała. Jeśli nie znajdę szybko wydawcy, sama ją wydam. [...] Pierwsza książka po hebrajsku musiała być na temat okupacji. Po niej czuję się wolna [...]. Jeżeli zobaczę tę moją pierwszą książkę w okładce, zadecyduję może wówczas przerwać na jakiś czas chemię. (List niedatowany)

Martwi się o jednego z synów, który źle daje sobie radę po rozstaniu z dziewczyną:

Chciałabym, by wyszedł z kryzysu, bo jednak torować drogę w życiu to walka i nie wolno folgować z tempem. Niepokoi mnie on bardzo. Eitan już kilkakrotnie zmieniał dziewczyny i nigdy to nie było związane z jakimś głębszym kryzysem.



Janina z synami Eitanem i Zwim, Hajfa 1959

Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów

W tym samym liście prosi Borwicza, żeby nie poddawał się chorobom:

A jednak życie jest ciekawe i trzeba z każdego dnia się cieszyć. (List niedatowany, z zapisem: w odpowiedzi na list z 15 grudnia 1986)

Nie porzuciła pracy naukowej na rzecz literatury, ale gdy tylko przeszła na emeryturę, zabrała się do pisania. Zbieranie dokumentacji o niemieckim ruchu antyhitlerowskiego oporu i napisanie trzypięciotomowej *Białej Róży* zajęło jej dziesięć lat<sup>56</sup>. Wydała cztery książki. Jeśli nie mogła znaleźć wydawcy, publikowała je własnym sumptem.

Pracując, czy to w laboratorium chemicznym, czy pisząc, była też aktywistką.

To nie był oczywisty wybór – wyjechać ze stalinowskiej Polski, by zapisać się w Izraelu do partii komunistycznej. Należeli do niej obydwój z mężem, poznali się na zebraniu uczelnianej komórki (nie była to partia popularna w Izraelu, zdobywała zaledwie trzy, cztery miejsca w studwudziestoosobowym parlamencie). Borwiczowi, przedwojnemu działaczowi PPS-u, któremu do komunistów było jak najdalej, nie pisała o swoim zaangażowaniu politycznym. To był między nimi temat tabu, mówiła mi Judith Lyon-Caen, która badała działalność i losy Borwicza (i tak skontaktowała się z Janką, a później była współautorką krytycznego wydania jej wspomnień po francusku).

Janka zajmowała się przede wszystkim walką o prawa Palestyńczyków.

Oglądam ją we francuskim filmie dokumentalnym nakręconym w 2017 roku. Zaczyna się jej spacerem w morzu dzikich kwiatów w pięknym i smutnym krajobrazie żółto-kamiennych budynków z pustymi oczodołami okien. „Często chodzę po tej dzielnicy, Wadi Salib, skąd Palestyńczycy zostali wyrzuceni – mówi. – Boli mnie, że nie znaleźliśmy sposobu, żeby żyć razem”<sup>57</sup>.

Słucham, jak opowiada: „Powracam w wyobraźni do Lwowa, miasta mojego urodzenia, miasta mojego dzieciństwa. Ale mój Lwów jest dzisiaj wszędzie tam, gdzie życie ulega destabilizacji, gdzie ludzie są zmuszeni opuszczać swoją rodzinną wieś czy miasto, gdzie w okrutnych okolicznościach tracą rodziny. Odnajduję mój Lwów także w Hajfie, w zamurowanych oknach i wejściach opuszczonych domów Wadi Salib. Odnajduję mój Lwów w ruinach Dżaninu i Gazy, pośród gajów oliwnych ściętych i wyrwanych z korzeniami. Oburza mnie wykorzystywanie Zagłady do uzasadniania kolonizacji ziemi palestyńskiej. Nie zapewnimy sobie lepszej przyszłości, krzywdząc innych”<sup>58</sup>.





Janina, Hajfa

Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów

To samo pisze w epilogu do polskiego wydania pamiętnika z 2015 roku: „Bombardowania Gazy w lipcu 2014 r. przypomniły mi lwowskie i warszawskie getto i moją przeszłość”<sup>59</sup>. I do francuskiego: „Nasza tragiczna przeszłość nie daje nam prawa, by w Izraelu zabierać ziemię, niszczyć domy, wrywać z ziemi gaje oliwne”<sup>60</sup>. I w epilogach do wszystkich innych wydań.

To był warunek, który stawiała kolejnym wydawnictwom: albo dopowie do swoich wspomnień to, co dzisiaj chce powiedzieć, albo nie zgadza się na publikację.

David Gottesman, jej izraelski wydawca: „Epilog, w którym Janka porównała swoje dzieciństwo we Lwowie do sytuacji w Hajfie, został źle przyjęty. Sugerowano mi, żebym go zmienił. Niełatwo słuchać w Izraelu tego, co mówi Janka”<sup>61</sup>.

Noam Rachmilevitch:

– Izraelska reżyserka i aktorka Bilha Mass Asherov napisała monodram oparty na jej historii. Tuż przed premierą Janka powiedziała: „Chcę dopisać coś



o terytoriach okupowanych, jeżeli nie, zapomnij, że to robiłaś”. Bilha nie mogła spać po nocach, w końcu poszły na kompromis: obie będą na scenie opowiadać o życiu Janki w getcie i gdy skończy się monodram, Janina przeczyta jeszcze to, co chce dopowiedzieć. Przedstawienie grano sześć razy, nie więcej, nikt tu nie chciał słuchać politycznych przekazów Janiny<sup>62</sup>.

Zwi Altman, syn Janiny:

– Epilog do wspomnień był jej politycznym testamentem. Mama była uparta, nie odpuszczała. Pamiętam, jak naciskano na nią, żeby zmieniła jakieś zdanie. „Nie spałam całą noc”, mówiła mi.

Oglądam ją (na filmie) na skrzyżowaniu ruchliwych ulic w Hajfie, wokół jeszcze kilka kobiet, widać, jak niewielka to manifestacja. Ktoś woła, żeby sobie połamały ręce. Janka w jednej trzyma transparent po hebrajsku, w drugiej – po angielsku: „STOP THE OCCUPATION”<sup>63</sup>.

To hasło Kobiet w Czerni, pokojowego ruchu Żydówek i Arabek, który powstał pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, w czasie pierwszej intifady, i Janka od początku do niego dołączyła. Uczestniczki ruchu co tydzień spotykają się na manifestacjach. Odwiedzam w Hajfie jej współtowarzyszkę z protestów (znałam ją wcześniej i zobaczyłam na filmie).

Stella Zilbersztajn (która ukrywała się w czasie wojny na polskiej wsi, po wojnie została zakonnicą, a następnie wyjechała do Izraela i zrzuciła habit):

– Spotykałyśmy się na protestach, co tydzień w piątek, między pierwszą a drugą. Czasem było nas kilka, a czasem kilkanaście, nie więcej niż dwadzieścia. Kto poza nami? Nikt nie pytał, która skąd jest, no ale pewnie większość to były kobiety z Libanu, przeważnie komunistki. Dla nich było ważne, że przychodzimy tam także my, ocalałe z Holokaustu. Na początku stawałyśmy w centrum miasta, ale tam oblewali nas z góry wodą, więc zmieniłyśmy miejsce. Janka przychodziła do ostatniego dnia, dopóki mogła jeszcze wychodzić, to była trasa na dwa autobusy. Ostatnim razem przyjechała taksówką, była na wózku, z opiekunką. Janka pomagała wszystkim, zawsze miała przy sobie pięćdziesiąt szekli, a nuż ktoś będzie potrzebował? Spaliło mi się kiedyś mieszkanie. Od razu się zgłosiła. Przydzwigowała krzesło, żebym miała na czym siedzieć, słoik konfitur i tysiąc szekli na remont. Przychodziła tylko, gdy czegoś się od niej potrzebowało, jak nie, to nie miała dla ciebie czasu.



Janina na demonstracji Kobiet w Czerni, Hajfa  
Archiwum Eitana i Zwiego Altmanów

Noam Rachmilevitch:

– Uważała, że wszyscy ludzie są równi i powinni mieć po równo. A nie była osobą do negocjacji. Na jej pogrzebie przemawiał Issam Makhoul, znana postać, komunista z lewicowej partii żydowsko-arabskiej. Spotkałem tam też dwie osoby z buddyjskiej sanghi, której jestem członkiem. Zdziwiłem się, skąd znali Janinę. Wiedziałem, że jeżdżą na Zachodni Brzeg i zabierają stamtąd wyroby, które sprzedają potem w Izraelu, żeby pomóc tamtejszym Palestyńczykom zarobić na życie. Kupowałem od nich butelki z oliwą, nie mając pojęcia, że przeszły przez ręce dobrze mi znanej osoby. Tę oliwę w baniakach przez lata zawozili do Janiny, a ona przelewała ją do butelek.

## 6

Na nagraniu z debaty w paryskim Mémorial de la Shoah z okazji francuskiego wydania książki nie wygląda na rewolucjonistkę, raczej typ dobrej uczennicy.

Drobna, delikatna, szare eleganckie spodnie, niebieski sweter, spod którego wystaje biały kołnierzyk, upięte siwe włosy. Już trochę trzęsą się jej ręce, początek parkinsona<sup>64</sup>.

Właściwie to uczennica wzorowa. Na potrzeby rozmowy z Judith Lyon-Caen o Borwiczu sama przetłumaczyła na francuski wiersz Borwicza (zupełnie dobrze). Judith pyta ją, czy pisanie wspomnień było dla niej trudne, czy jej pomagało. „Tego nie pamiętam” – odpowiada. We wszystkich nagraniach, których odsłuchałam, uderza jej konkretność. Niczego nie naddaje – także żadnego sentymentalizmu.

Judith Lyon-Caen:

– Malutka, twarda jak kamień, łatwa nie była. Stawiała warunki.

Ewa Koźmińska-Frejlak:

– Silna, niespójna, rozedrgana, niesłuchanie trudna, o stalowej woli, wymagająca, bardzo ciepła. To był olbrzymi kontrast między tym, jak krucho wyglądała i jak się zachowywała. Pracowaliśmy nad wydaniem krytycznym jej pamiętnika, bardzo się niepokoiła, że tak powoli to idzie, mówiła, że się wycofa, a prace trwały normalnie, dwa lata. Przeżywała renesans w związku z licznymi wydaniem jej pamiętnika, tłumacze i redaktorzy mieszkali u niej, kiedy nad nim pracowali, mnie też zaprosiła na tydzień, zaprzyjaźniłyśmy się. Kiedyś wspomniałam mimochodem, że zawsze marznę, to przy następnym spotkaniu dostałam podkoszulek z wielbłądziej wełny. Sądzę, że ten cały mit stworzony wokół niej: że należało ją wyciągnąć z getta, bo pisała piękne wiersze, był dla niej trudny do udźwignięcia. Borwicz w wielu tekstach używa sformułowania, że była taka zdolna. A dzieci, które nie pisały wierszy, nie zasługiwały na życie?

Zadzwoiłam do Janiny Heschels wiosną 2022 roku. Długo trwała cisza w słuchawce, aż usłyszałam słabiutki szept z oddali:

– Proszę przyjechać.

Przyjechałam, ale nie była w stanie rozmawiać. Parkinson zawładnął jej ciałem. To był przypadek, a raczej jej olbrzymi wysiłek, że wyszeptała mi te dwa słowa przez telefon. Miałam poczucie, że słyszy, co do niej mówię, i że oczyma wyraża zgodę na podarowanie mi egzemplarzy swoich książek, gdy o to poprosiłam. Zmarła w lipcu 2022 roku.

Wybrała chemię, ale to nie była jej życiowa pasja – po prostu za słabo znała hebrajski, by studiować literaturę. Koniec jej życia był naznaczony postępującą

chorobą. Na wczesnego parkinsona, siejącego wielkie spustoszenia, zachorował też jej syn Eitan. Funkcjonuje dzięki rozrusznikowi wszczepionemu do mózgu.

Zwi Altman, brat Eitana:

– Wykonali im obojgu badania genetyczne. Parkinson mamy nie był dziedziczny. Używała w pracy odczynników, o których dzisiaj wiadomo, że mogą prowadzić do rozwoju choroby. Także będąc w ciąży z Eitanem.

Bracia mieszkają we Francji i są nietypowymi dziećmi pary aktywistów. Często ci synowie i córki mają żal, że rodzice woleli zbawiać świat, niż się nimi zajmować, ale Zwi i Eitan są pełni zachwytu dla postawy matki, Eitan także jest też działaczem francuskiego ruchu przeciw okupacji Palestyny<sup>65</sup>.

– Mama nigdy nie powiedziała do nas ani słowa po polsku – mówi. – Nic nie opowiadała o tym, co przeżyła, ani nam, ani publicznie, dopóki jakieś dziesięć lat przed śmiercią nie odrzuciła swojej polityki milczenia. W Izraelu wykorzystywano Holokaust do delegitymizowania dążeń Palestyńczyków, więc ona postanowiła zabrać głos jako osoba, która Holokaust przeżyła i chce się temu przeciwstawić. Po przyjeździe do Izraela została wcielona do wojska w jednostce, w której żołnierze jednocześnie odbywali służbę wojskową i uczyli się hebrajskiego, mieszkała w kibucu koło granicy z Libanem. Zobaczyła, jak wojsko wykonuje wyroki na Arabach. Za co? Za nic, żeby inni nie zbliżali się do granicy. Żeby się bali. Żaden żołnierz z jej grupy nie chciał strzelać, za spust pociągnął komendant.

Zwi Altman:

– Jak wielu Izraelczyków nie kupowaliśmy niczego, co niemieckie, gdy dostaliśmy jakąś zabawkę i mama znalazła napis „*Made in Germany*”, musieliśmy ją zwrócić. Po czym zgłosiła się na stypendium uniwersytetu w Monachium, to była końcówka lat siedemdziesiątych, wtedy Izraelczycy nie jeździli do Niemiec ot tak, jak dziś. Tam usłyszała o Białej Róży, bo Sophie Scholl studiowała na tym samym uniwersytecie. W niemieckim ruchu oporu fascynowały ją walka i sprzeciw od wewnątrz. Uważała, że nigdy nie jest dobrze we własnym państwie czuć się komfortowo.

Pytałam, jaka była w domowym życiu.

– Byli wspaniałą parą z moim ojcem. Rzadko widziałem w związku tyle miłości, podziwu, żyli dla siebie nawzajem. A jako nasza matka nie była łatwa. Nigdy nam nie powiedziała, że miała pretensje do swojej matki za to, że ta ją zostawiła, ale może z tego wynikała jej surowość wobec dzieci. Traciła cierpliwość, to ona krzyczała na nas, karała nas, nie ojciec.

Mówiłam Zwiemu i Eitanowi, że z listów ich matki do Borwicza wyłania mi się jej obraz jako zadowolonej z życia, silnej osoby. Opowiedzenie traumy zaraz po jej przeżyciu daje większą szansę poradzenia sobie z PTSD, zespołem stresu pourazowego. Czy to może być przypadek Janiny? Może dzięki wierszom i pamiętnikowi jej życie nie było życiem w ciągłej traumie?

Zwi pokazuje mi zdjęcie, na którym są jego matka i jego córka, pogodna, ładna dziewczynka z okrągłą buzią. Może mieć dwanaście lat, tyle, ile miała jej babcia w obozie janowskim.

– Czuła się mocno związana z babcią. Mając dwadzieścia lat, zachorowała na schizofrenię, jest w zakładzie, odmawia kontaktów ze mną i żoną. Zna pani takie badania nad dziedziczeniem epigenetycznym u myszy, że nabyty stres jest dziedziczony w następnych pokoleniach?

## 4 Dorka

### 1

Dorka miała wtedy osiem lat. A kiedy to opisała – jedenaście, może dwanaście: „Nad ranem ukazała się duża grupa chłopów w lesie [...]. Chłopi strzelali za nami. Za czwartym strzałem siostra się obudziła i krzyknęła: »mamo«. Mamusia wróciła się po nią i obie zastrzelono.

Z całej naszej grupy zostało sześcioro dzieci z Jerzykiem, a z dorosłych tylko mój tatuś. Myśmy z siostrą bardzo rozpaczały, ale nie mogłyśmy płakać, chociaż czułyśmy, że płacz by nam ulżył. Nazajutrz tatuś odszukał zwłoki mamusi, zaglądnął jej do ust i zobaczył, że wyrwali jej złote zęby [...]”<sup>1</sup>.

To zeznanie tuż po wojnie złożyła przed Żydowską Komisją Historyczną w Krakowie. O koszmarze, z którego ledwo wyszła żywa, Dora opowiada spokojnie i rzeczowo, nie okazując emocji. Gdy czyta się jej relację, spisaną na pięciu stronach maszynopisu, można sobie wyobrazić, jaką była dziewczynką: rezolutną, inteligentną i w najwyższym stopniu dzielną. Nie sposób sobie tylko wyobrazić, jak dziecko mogło coś takiego przeżyć<sup>2</sup>.

Relacja była niewyraźnie podpisana i dopiero po jakimś czasie skojarzyłam, że znam jej autorkę. Dorę Zoberman. Śliczna, filigranowa paryżanka przedstawiona mi kiedyś przez Marcela Łozińskiego. To ona była tą paroletnią dziewczynką, która od jesieni 1942 roku żyła w ukryciu w lasach wokół Strzegomia, niewielkiej wsi na Sandomierszczyźnie.

– Dorka była świadkiem, jak matkę zamordowali Polacy. Nigdy nie chciała o tym mówić – wyjaśnił mi Marcel, który przyjaźnił się z Dorą już dobre pięćdziesiąt lat. – Ale koniecznie spróbuj.

Dora była zdumiona, że istnieje jej powojenne świadectwo, nie pamiętała, że je składała.

– To, co tam powiedziałam – stwierdziła po jego przeczytaniu – wygląda, jakby nasze ukrywanie się było zabawą. Nic nie umiałam oddać z mojego cierpienia.

Próbowałam ją przekonać, że relacja jest niesamowicie przejmująca, ale ją to tylko złościło. Może miała rację i każda opowieść z czasu Zagłady jest tylko cieniem tego, co było, i czego zrozumieć i opisać nie sposób?

– Nie ma tak wiele rzeczy do opowiadania – tłumaczyła mi niecierpliwie, gdy w końcu, z dużymi oporami, po roku czy więcej, zgodziła się na rozmowę. – Ciągłe było tak samo: strach, głód, strach, ktoś umierał, ktoś nie wracał. Nic się nie zmieniało, tylko było coraz mniej ludzi i mniej nadziei.

Przeprowadziłam z nią dwie rozmowy.

– Zastanawiałam się, jak będziemy rozmawiać – powiedziała na przywitanie. – Myślałam, że opowiem to po francusku, bo wtedy mam większy dystans, a po polsku to jest nie do zniesienia.

Ale dalej mówiła po polsku.

Pierwszy raz spotkałyśmy się w jej mieszkaniu, drugi – w kawiarni przy pobliskiej stacji metra Gambetta, bo po tej pierwszej rozmowie Dora nie czuła się dobrze w mieszkaniu, które zaludniło się wspomnieniami. Widywałyśmy się potem wiele razy, odwiedzałam ją, gdy byłam w Paryżu, a ona mnie, kiedy przyjeżdżała do Polski. Kusiło mnie, żeby o coś dopytać, ale rozumiałam, że byłoby to przekroczenie granicy.

## 2

Z relacji Dory:

„Przed wojną miałam rodziców i rodzeństwo, dwie siostry i dwóch braci. Najmłodszy braciszek miał jedenaście miesięcy. Gdy wojna wybuchła, z początku było spokojnie. I dość dobrze nam się powodziło, tatuś handlował, sprzedawał i kupował, co się dało. Wtedy spotkało nas wielkie nieszczęście, nagle zmarł mój najstarszy brat. Po jakimś czasie kazano wszystkim Żydom zamieszkać w Połańcu. Tam skupiło się dużo Żydów z okolicy. W Połańcu mieliśmy dużą rodzinę i znajomych i było mi przyjemnie, tylko Niemcy zaczęli sobie za dużo pozwalać, na ulicy bili Żydów i mówiono, że mają wszystkich Żydów wywieźć do Staszowa. Wtedy tatuś postanowił ukryć się z nami w lesie. Tatuś dobrze znał lasy kieleckie, wychodził na kilka dni z Połańca i budował dla nas kryjówkę.

Pamiętam, że była sobota. Nazajutrz mieli wywieźć Żydów do Staszowa. Wyszliśmy z miasta, za nami poszło dużo Żydów, szliśmy w dzień, polem. Nie można było wyjść w nocy, bo nocą Niemcy bardzo pilnowali. W naszej kryjówce zastaliśmy już kilka rodzin. W lesie było kilka ziemianek, ukrywało się w nich dużo ludzi, przeszło tysiąc.



Było to jesienią. Tatuś urządził nam bardzo wygodny schron, sporządził prycze, postawił piec. Na drugi dzień po naszym przybyciu do lasu umarł mój najmłodszy braciszek. Położył się spać jak zwykle, nic mu nie było i rano, gdyśmy się obudzili, dziecko nie żyło. Mamusia bardzo płakała, ale później mówiła, że lepiej, że tak umarło, niż gdyby Niemcy mieli go męczyć”.

Opowieść jedenastoletniej Dory była spójna, miała chronologię. Po latach udało mi się uzyskać tylko strzępki wspomnień.

– Nie umiem sprecyzować, ile było napadów, dużo. Mniej w lecie, może dlatego, że mieli żniwa. Pamiętam jeden, było po deszczu, szmaty, które służyły nam za ubrania, schły rozwieszane na gałęziach. Strzelali z daleka do szmat i to nas uratowało. Najgorsze były polany. Przebiec polanę to było jak z polowania na zające. Zimą był koszmar. Trzeba było absolutnie wyjść, żeby kupić cokolwiek do zjedzenia, więc ktoś w końcu wychodził i już nie wracał. Uwielbiałam babcię, była moją ostoją. Raz wyszła z kryjówki, chłopci ją złapali i zbili tak potwornie, że wkrótce umarła. Jedliśmy z jednej menażki. Trzeba było bardzo uważać, było wyliczone, ile grochu, ile ziemniaków przypada na każdego w zupie. Nie wolno nam było rozmawiać. Miała być kompletna cisza. Bolał mnie ząb i dostałam lanie od ojca za to, że płaczę. Niemowlę się urodziło w lesie i jego mama położyła na nim poduszkę. Nie miałam wyobraźni, że to się może kiedyś skończyć, że może być jakieś inne życie. Nikt mi tego nie powiedział. Przeżycia można zamazać. A potem jadę na Mazury, idę na spacer do lasu i łapię się na tym, że sprawdzam, jakie jest podszycie, jak gęsto rosną drzewa, ile jest odkrytej przestrzeni. Przed każdym napadem, gdy się zbliżali, ptactwo odfrowało i już wiedzieliśmy, że trzeba uciekać. Moja siostra do dziś nie jest w stanie znieść krakania odlatujących wron.

### 3

„Zostało sześcioro dzieci z Jerzykiem” – mówi Dora w swojej relacji. Chciałam porozmawiać z jej dziecięcymi towarzyszami ukrywania. Nie żyli już bracia Mosze i Fiszel Kaufmanowie, którzy mieli czternaście i szesnaście lat, gdy wojna się skończyła. Paulina, bliźniaczka Dory, wielka nieobecna w tej historii, była wściekła na Dorę, że zgodziła się ze mną rozmawiać. Spotkałam się z mieszkającym w Izraelu rodzeństwem Milsztajnow, Polą i Natanem,

kuzynostwem Dorki, odbyłam kilka rozmów z Jerzykiem, teraz Joe, Betelem z Kanady.

Przed wojną w Strzegomiu żyły cztery żydowskie rodziny, trzy zajmowały się rolnictwem, a Josek Milsztajn był krawcem.

– Pamiętam sprzed wojny ojca wiecznie pochylonego nad maszyną, przy nim naftowa lampa, i mamę przyszywającą guziki – mówił mi jego syn Natan.

We wszystkich domach mówiło się w jidysz, z dziećmi też trochę po polsku. Nie było oddzielnej żydowskiej szkoły. Okoliczni Żydzi byli za biedni, żeby taką stworzyć, więc dzieci uczyły się z Polakami. Do koszernego rzeźnika trzeba było chodzić do Połańca. Pola Feldt z domu Milsztajn pamiętała, jak rodzice posyłali ją przed szabatem z kurą do zarżnięcia i jak to było daleko.

Pola:

– Przed wojną żyło się bardzo dobrze z Polakami, daleko od nich, ale bez problemów. Chodziłam z nimi do szkoły i czasami się tylko słyszało: „Parszywa Żydówka”, „Brudna Żydówka”. Wszyscy się znali ze szkoły.

Natan:

– Skończyłem siedem klas w Strzegomiu, to była okręgowa szkoła dla wszystkich wsi. Przed wojną miałem dużo polskich kolegów. Wszyscy ci, co nas mordowali, to byli przed wojną moi koledzy.

Gdy wybuchła wojna, mieszkali dalej u siebie, jak wielu Żydów na wsi, aż do lata 1942 roku, kiedy wszystkim nakazano się przenieść do getta w najbliższym miasteczku, czyli do Połańca. Stamtąd w październiku 1942 roku deportowano Żydów do getta w Staszowie, a dalej 8 listopada 1942 roku do Treblinki. Milsztajnowie nie poszli do getta, od razu ukryli się w lesie. Zoberman, szwagier Joska Milsztajna, budował z nimi bunkier. Ziemia była piaszczysta, wykopali dół, ścianę i podłogę zrobili z desek, całość przykryli ziemią, pniami drzew, liśćmi. Było jedno pomieszczenie, jakieś siedem metrów na sześć.

Kiedy Fiszel Zoberman dotarł tam z rodziną – matką, żoną i piątką dzieci, oprócz Milsztajnów była tam już rozległa rodzina Kaufmanów, w tym bracia Mosze i Wolf, każdy z żoną i dziećmi. Rodzina Betelów, Bela i Pinchas z trójką dzieci, przyszła ostatnia. Przed wojną mieszkali w Łodzi i uciekli do Połańca, skąd pochodził Pinchas. Joe Betel, dawny Jerzyk, zapamiętał, że zostali przyjęci niechętnie, dopiero po przekazaniu Zobermanowi znacznej sumy pieniędzy. Nie wiadomo, na ile osób zaplanowana była ziemianka, z pewnością nie na ponad trzydzieści – pięć rodzin z dziećmi – które w niej zamieszkały.

## 4

Z relacji Dory:

„Wszyscy chłopcy w okolicy wiedzieli, że w lesie są Żydzi. Tatuś przekupywał chłopów jak mógł, gajowemu dał srebrną papierośnicę i dużo rzeczy.

Przyjechał do nas, do lasu, kuzyn, syn cioci, u której [przed wojną] mieszkałam w Krakowie. On był bardzo nieostrożny, mówił, że się nie boi nikogo, i chodził sobie po lesie. Raz spotkali go bandyci, kazali pokazać kryjówkę i niespodziewanie wpadli do ziemianki, kazali wszystkim wyjść i ustawić się rzędem. Potem kazali dzieciom wrócić do kryjówki, a starszym pozostać. Zeszliśmy do kryjówki i bardzośmy płakali, bo co byśmy poczęli sami bez dorosłych. Bandyci zażądali kosztowności, mamusia dała im kolczyki i złoto, ale od tego czasu nie mieliśmy już spokoju. Wpadali co kilka dni.

Wreszcie skończyły się pieniądze i nie mieliśmy za co kupić żywności. Tak trwało dłuższy czas. Pamiętam, że raz nie jedliśmy cztery dni. Dzieci były głodne, ale nikt nie powiedział słowa, dzieci wytrzymały głód tak jak dorośli. Ale ja już miałam dość głodowania i postanowiłam iść na wieś, do moich koleżanek. Prosiłam siostrę, żeby ze mną poszła, ona się bała, ale ja miałam silną wolę i postanowiłam pójść sama. Poszłam do znajomej dziewczynki, z którą bawiłam się czasem, gdy jeszcze byłam na wolności. Ucieszyła się na mój widok, dobrze mnie przyjęła, dała mi jeść, a jej matka tymczasem przygotowała dla mnie woreczek z żywnością. Wtem wszedł jeden chłop, który tropił Żydów. Złęklam się i pobladłam. Koleżanka mnie uspokoiła, natychmiast się opanowałam, wyjęła zabawki i lalkę i bawiłyśmy się, jak gdyby nigdy nic, a ja nie dałam nic poznać po sobie. Ale jak się bałam, to chyba tylko sam Bóg wiedział. Wreszcie poszedł i ja od razu wybrałam się w drogę. Szłam polami, żyto było wysokie. Myślałam sobie, że świat jest taki piękny, a ja jestem osaczona jak zwierz. Bezpiecznie zeszłam do ziemianki”.

Pola:

– Spaliśmy jak sardynki w puszcze, to jeden grzał drugiego. Gdy raz w stronę bunkra rzucali granaty, uciekłam z mamą i zobaczyłyśmy na drodze zabitego Żyda. Młody, rudy, Fiszel go znał, był ze Staszowa. Jeszcze był ciepły. Mama mu zdjęła buty, założyła i poszłyśmy dalej.

Natan:

– W czasie jednego z napadów na bunkier wszyscy uciekliśmy, tylko bliźniaczki Dora i Paulina zostały. Pierwszy wróciłem i zobaczyłem, że one zemdłały z głodu. Poszedłem na wieś, zakradłem się do obory, wydołem krowę i przyniosłem im mleko. Dora lepiej sobie radziła niż Paulina.

Zapytałem, czy dzieci tworzyły społeczność, która sobie nawzajem pomagała.

– O nie, to raz tak się tylko zdarzyło. Nie pomagaliśmy sobie, nie dzieliliśmy się niczym, tylko kłócili. Bo byliśmy strasznie głodni. Nie mogłem o niczym innym myśleć, tylko jak siebie uratować. Najgorszy był głód, a potem strach.

Natana odwiedziłem w jego domu w Petach Tikwie. Był po wylewie, mówił z trudem. Rozmawiał ze mną przez tłumacza, po hebrajsku, wtrącając polskie słowa.

*blądzić:* – Raz jak uciekaliśmy, to *blądziłem* przez trzy dni, zanim kogoś znalazłem, jadłem tylko jagody.

*skurwysyny:* – Przy którymś z napadów na bunkier, jak strzelały te *skurwysyny*, to uciekłem na drzewo. Widziałem jednego, który strzelał, a on mnie nie zobaczył. Pamiętam, jak zastrzelili Haneczkę, siostrę Jerzyka.

*łubin:* – Zawsze chciałem wykreślić tamten czas, więc dużo nie pamiętam. Jak słyszeliśmy strzały, to chowaliśmy się w *łubinie* i dusiliśmy od jego zapachu.

*koszyki:* – Nie bawiliśmy się nigdy, tylko pletliśmy *koszyki*. Fiszel i mój brat wrywali cienkie korzenie i z tego robiliśmy ładne, zgrabne koszyki na zakupy. Mama je nosiła do Polki, Bąkowej, co pędziła wódkę, i ona dawała nam za to kaszę, mąkę. Ze śniegiem mieszałem mąkę i była smaczna zupa.

*uciekaj szybko do lasu:* – Był dobry Polak, Filip Rogala. Matka kupowała u niego chleb, kaszę jaglaną, ser, masło. Gdy przychodziłem, dawał mi nasze zakupy, kawałek chleba do ręki i mówił: „*Uciekaj szybko do lasu*”. A ja się tego lasu tak bałem.

## 5

Z relacji Dory:

„Przyszła zima. Bandyci wciąż na nas napadali i tatuś bał się, żebyśmy pozostawali w ziemiance, bo gdyby nas okrążono, toby wystrzelali wszystkich i nikt by się nie uratował. Całą zimę spaliśmy pod gołym niebem. Tatuś palił

wielkie ognisko, a gdy się drzewo wypalało, wysypywał ciepły jeszcze popiół, który służył nam jako podściółka, a przykrywałyśmy się kurtką tatusia. Wszyscy byli zawszeni, ale żadni rodzice nie utrzymywali dzieci tak czysto jak tatuś. Po niektórych dzieciach łąziła nieskończona ilość wszy, cały dzień kucwały przed ogniem. Nam tatuś nie pozwalał siedzieć bezczynnie, cały dzień byliśmy w ruchu, pomagałyśmy ścinać gałęzie, pracowałyśmy, byłyśmy b. zahartowane, tak że dziś jeszcze jestem bardzo wytrzymała.

W tym lesie byli partyzanci żydowscy i rosyjscy i myśmy często z nimi się spotykali. W lesie były ciągle obławy. Raz tatuś gotował zupę w wiadrze, nagle strzał, kula przestrzeliła wiadro, ale tatusiowi nic się nie stało. Raz bandyci okrążyli las. Rozbiegli się wszyscy, każdy uciekał w inną stronę. Wtedy kilku Żydów zginęło.

Z głodu, wyczerpania prawie wszyscy mieli kurzą ślepotę, z wyjątkiem mnie. Ja się najlepiej trzymałam, dziś dziwię się, skąd się brało we mnie tyle sił. Ja jedna nie miałam kurzej ślepoty i co noc prowadziłam naszych ludzi na bezpieczne miejsce. Mnie posyłano po prowiant, wszędzie na wsi byłam znana. Polacy dawali mi żywność, ale bali się zatrzymywać mnie u siebie. Co noc chodziliśmy spać na inne miejsce. Z nami ukrywała się matka z 8-letnią dziewczynką. Dziewczynka zachorowała, męczyła się cały tydzień i umarła. Pochowaliśmy ją w lesie. Często chodziłam na jej grób”.

Pytałam o tę dziewczynkę pochowaną w lesie.

– Nie pamiętam, jak miała na imię. Gdy ktoś chorował, kładło się go najbliżej ogniska, i ona też tak leżała. Ktoś powiedział: „Umarła”, a ona się wtedy podniosła, popatrzyła na nas wszystkich i dopiero umarła naprawdę.

Pytałam, czy to była jej najbliższa przyjaciółka.

– Nie było żadnych przyjacieli i żadnych zabaw z innymi dziećmi.

## 6

Z relacji Dory:

„W lesie niespodziewanie napadli na nas polscy policjanci. Stało się to tak niespodziewanie, że mamusia nie zdążyła zabrać najmłodszej siostrzyczki i okropnie rozpaczała, a tymczasem nasza mała była bardzo mądra, miała dopiero 4 lata, ukryła się w krzakach, a gdy się uspokoiło, odszukała nas.

Przyszła zima, głodowaliśmy bardzo. Byłyśmy małe, nie rosłyśmy.

Kilku silniejszych mężczyzn z tatusiem chciało się wybrać na wieś do kupców po kartofle. Mama miała złe przeczucie i błagała ich, by nie szli. Tamtych mężczyzn nie zdołała powstrzymać, ale tatusiowi stanowczo nie pozwoliła. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że ich rozstrzelali polscy bandyci.

Tej zimy spadł wcześniej śnieg. Nie mieliśmy co jeść i ja z chłopcem nieco starszym ode mnie, z Zelikiem, wybraliśmy się na wieś do znajomych chłopów. Bali się nas wpuścić, ale dali dwa worki prowiantu. Zapadł już wieczór, spadł duży śnieg. Uszliśmy kilka metrów i Zelik nie mógł iść dalej, usiadł na śniegu i powiedział, że niech się dzieje, co chce, a on dalej nie pójdzie. Wzięłam drugi worek na plecy, Zelika pod ramię i wlokłam go przez las. Przyszliśmy na skraj lasu. Ściemniło się całkiem i Zelik oświadczył, że dalej nie pójdzie. Usiedliśmy na workach i usnęliśmy. Obudziliśmy się rano. Śnieg był do kostek. Co tu robić? Zelik ledwo powłóczył nogami, muszę dźwigać oba worki, jego trzymam za rękę, nie mogłam utrzymać w drugiej ręce gałęzi, żeby zatrzeć ślady, więc robiłam zygzaki, wracałam kilka razy na to samo miejsce, uszłam duży kawał za naszą ziemiankę, żeby zatrzeć ślady. Przyszliśmy wreszcie na miejsce. Mama rozpacziała, bo była przekonana, że mnie więcej nie zobaczy.

Po jakimś czasie znowu Zelik poszedł ze swoją 12-letnią siostrą na wieś. Czekaliśmy godzinę, dwie, a ich nie widać, nazajutrz nie wrócili. Dowiedzieliśmy się później, że ich zastrzelił jakiś bandyta na skraju lasu. Z ich rodziny pozostała tylko matka z małą córeczką Bliną (ojca zastrzelono w wyprawie po ziemniaki). Po kilku dniach ona wybrała się na wieś i nie wróciła.

Z grupy kilkudziesięciu ludzi pozostało nas tylko dziewięć osób. I tak w ciągłym strachu i głodni przeżyliśmy do zniw. W lecie umarła moja babcia z głodu i wycieńczenia. Straciła mowę i przez sześć dni bardzo się męczyła. Niedługo później umarł mój wuj [Josek Milsztajn] nagle w nocy, położył się spać i więcej nie wstał. Poszła na wieś ciocia Bajla [jego żona], siostra tatusia, i więcej nie wróciła”.

Pola:

– Tatę pobili Niemcy w getcie, krzyczeli „*Jude, gdzie masz złoto?*”, odbili mu płuca. Kaszłał, pluł krwią, aż jednego dnia zmarł. To było już po tym, jak opuściliśmy bunkier i żyliśmy w lesie.

Dora:

– Pamiętam, gdy umarł jej ojciec, mój wujek Josek. Leżał przy ognisku, pilnowaliśmy przez noc, żeby zwierzęta go nie rozszarpały, a następnego dnia

zakopaliśmy.

Pola:

– Jak mama nie wróciła, brat poszedł jej szukać i znalazł. Kopaliśmy rękoma ziemię, nie dało się wykopać głębszego dołu. Brat położył na wierzch gałęzie. Ale po dwóch dniach, jak wróciliśmy, nie było nic. Moją mamę zjadły lisy.

Dora po wojnie utrzymywała kontakt z Polą, widywały się za każdym razem, gdy Dora przyjeżdżała do Izraela.

Dora:

– Pola miała osiemnaście lat, jak się skończyła wojna, a ja dziewięć. Wiele lat później przyjechałyśmy z siostrą do Izraela na wesele jej wnuczki, chciałyśmy, żeby nam coś opowiedziała, musiała pamiętać więcej niż my, ale ona nie chciała. Tylko lubiła żartować. Opowiadała, że wróżka jej wywróżyła, że przez najbliższe dwa lata będzie miała złe życie. A po tych dwóch latach? A po tych dwóch latach to się przyzwyczaisz.

Odwiedziłam kilka razy Polę w domu opieki w Ra'ananie niedaleko Tel Awiwu. Więcej mi opowiedziała niż Dorze i Paulinie. Pewnie chciała je oszczędzić.

Pola:

– Po kolejnym napadzie na bunkier rozdzieliliśmy się. Nocowaliśmy odtąd w lesie, liście były naszym materacem, prześcieradłem i kołdrą. Mama nam powtarzała: „Do jedzenia jest śnieg, a Pan Bóg jest stary, głuchy i was nie słyszy”. Kradliśmy kartofle na polu i chowaliśmy je do przygotowanego dołu. Kiedy napadał śnieg, Polacy poszli po naszych bosych śladach i włąli do tego dołu karbol. Już nie mieliśmy się czym zimą żywić. Najlepiej było kraść w Boże Narodzenie, można było iść do obory i wypić mleko prosto z cycka krowy. Przez te dwa lata nie pamiętam, żebyśmy w ogóle mówili po polsku. Potem z mężem przez całe życie rozmawiałam po żydowsku. Gdy były obławy w lesie, biegłam się schować na cmentarz, tam żywych nie szukali. Każda rodzina była tylko dla siebie i każdy w rodzinie był tylko dla siebie. Kiedyś wzięłam kartofla z ogniska, to brat mnie zbił, że wzięłam większego. Natan też mi kilka razy ukradł chleb. Pod koniec wojny nic nie widziałam, to była ślepotą z niedożywienia, ale nikt się nie martwił, gdzie ja jestem i czy dokądś trafię. A raz Fiszel Zoberman spał na bochenku chleba, który zdobył dla swoich dzieci. Czulałam jego zapach i tak wyciągałam po kawałku spod jego głowy, aż zjadłam cały. Gdy się obudził rano, powiedział: „Jak będą do nas strzelać, niech zabijają tych, co zabrali chleb moich dzieci”. Fiszel Paulinę zostawił kiedyś pod



kościółem, miała aryjski wygląd, pewnie daliby ją do klasztoru, ale ona tak płakała i krzyczała, że nie wytrzymał i po nią wrócił. On trzymał swoje dziewczynki jak kwoka kurczęta, pod jedną i pod drugą pachą.

Dora sprostowała, że jej ojciec tak chronił pozostałe dwie siostry, ona dawała sobie sama radę.

## 7

Z relacji Dory:

„Coraz częściej przelatywały nad lasem samoloty sowieckie i to nas podtrzymywało na duchu. Raz sprowadził leśniczy Niemców na inną grupę Żydów, która się ukrywała po tamtej stronie rzeczki. Prawie wszystkich z tej grupy wystrzelano z wyjątkiem 13-letniego chłopca, Jerzyka, z nim uciekał [inny] mały chłopczyk i byłby się uratował, ale krzyknął »mamo« i to go zdradziło”.

Ta grupa to była rodzina Betelów, którzy odłączyli się od reszty po opuszczeniu bunkra. Jerzyk-Joe Betel złożył obszerną relację do Fundacji Shoah: „Dwa tygodnie padało, nie mieliśmy schronienia i wreszcie był ładny dzień, słoneczny, rozwiesiliśmy ubrania, żeby wyschły. Przyszedł ten gajowy, którego nazwiska nie pamiętam. Wszystkich znał. Powiedział: »Jesteście tu bezpieczni«, przyjacielsko spędził z nami dziesięć, piętnaście minut, poszedł. Dlaczego przyszedł do nas? On już miał u siebie niemieckich żandarmów, chciał się upewnić, gdzie jesteśmy. Usłyszeliśmy z jednej strony strzały (płacz). Biegłem i biegłem, w odwrotną stronę niż strzały. Jak ucichły, usiadłem i tak siedziałem koło godziny. I doszedł ojciec, poczekaliśmy, aż ściemnieje, żeby wrócić. Dlaczego wrócić? (znów słyhać jego płacz). Zobaczyłem mamę i siostrę, nieżywe, i inne osoby nieżywe. Myślę wciąż, że ich nie pochowaliśmy, baliśmy się”<sup>3</sup>.

Z rodziny Betelów, ojca, matki, trójki dzieci, ocalał tylko Jerzyk, z którym spotkałam się w Toronto. Opowiadał mi, jak wyglądał bunkier i jak jego rodzinę wydał gajowy.

– Tak bym chciał sobie przypomnieć nazwisko gajowego – mówił.

Okazało się, że pamięta je Pola. Betelów wydał Marian Durmo. Zadzwoiłam do Joe Betela. Potwierdził, że to właśnie jest nazwisko, którego nie mógł sobie przypomnieć.

– Ilu z nas mogło przeżyć! Nie trzeba było, żeby Polacy nam pomagali, tylko żeby nas nie zabijali.

Natan:

– Były dziki w lesie, ale myśmy nie bali się zwierząt. Myśmy się bali AK-owców. Byliśmy dla nich jak zwierzęta.

Pola:

– Byłam warta kilo cukru i butelkę wódki. Jako Polka bym nie pomogła, bobym się bała, ale bym nie zabijała. Gdy weszli Rosjanie, przyszedł jakiś żołnierz, który mówił po żydowsku, i nam powiedział: „Jeżeli macie się na kogoś skarżyć, to się poskarżcie”. Ale kto wtedy myślał o skarżeniu? Już nie wierzyłam nikomu, żeby się skarżyć. Raz rosyjscy żołnierze prowadzili jeńców niemieckich i ja im kupiłam bułki. Miałam wyrzuty sumienia, że to zrobiłam, ale zobaczyłam w nich siebie samą.

## 8

Z relacji Dory:

„Było to 25 kwietnia 1944 r. w niedzielę. Nad ranem ukazała się duża grupa chłopów w lesie, zdziwiliśmy się, że co oni tu robią tak wcześnie, przecież w niedzielę nie przyszli do lasu po drzewo. Rzuciliśmy się do ucieczki. Mamusia nie spostrzegła, że moja siostra śpi, i uciekała z nami. Chłopi strzelali za nami. Za czwartym strzałem siostra się obudziła i krzyknęła: »mamo«. Mamusia wróciła się po nią i obie zastrzelono.

Z całej naszej grupy zostało sześcioro dzieci z Jerzykiem, a z dorosłych tylko mój tatuś. Myśmy z siostrą bardzo rozpaczały, ale nie mogłyśmy płakać, chociaż czułyśmy, że płacz by nam ulżył.

Nazajutrz tatuś odszukał zwłoki mamusi, zaglądnął jej do ust i zobaczył, że wyrwali jej złote zęby i połamali dwa palce u rąk, z których ściągnęli pierścionki”.

Dora była pewna, że to się stało w niedzielę, w takim razie był to 23, nie 25 kwietnia<sup>4</sup>. Wczesny ranek. Mordercy pewnie zdążyli wrócić na mszę.

Dora:

– Mama, Roza Greber, była z Klimontowa z bardzo religijnej rodziny, jej językiem był żydowski, ale mówiła z nami czasem po polsku, tylko źle. Nie

pamiętam jej twarzy, tylko sylwetkę i spódnicę, taką podobną do tych ludowych na Mazowszu.

## 9

Z relacji Dory:



Siostry Dora i Paulina Zoberman w żydowskim domu dziecka w Krakowie, 1945  
Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego im. E. Ringelbluma

„9 maja 1944 przyszli Sowieci. Poszliśmy za wojskiem 10 km do Staszowa. Tu było silne bombardowanie, Niemcy ostrzeliwali z powietrza miasteczko. Wszystko płonęło dokoła. Uciekaliśmy wszyscy do boru. Tam zgubiłyśmy się z tatusiem.

Gdy się uspokoiło, ja z siostrą zgodziłyśmy się do służby do bogatego chłopca Rogali i opowiadałyśmy wszystkim, że się ochrzcimy, bo tak nam radził tatuś przed rozstaniem, byśmy w sercu pozostały Żydówkami, ale dla bezpieczeństwa mówiły, że przyjmujemy chrzest, bo choć już byli Rosjanie, tatuś nie dowierzał naszym chłopcom.

Tak przeszedł rok. Mieli nas już ochrzcić, tymczasem przyjechała do tej wsi ciocia, która wróciła z obozu w Mauthausen, dowiedziała się, że żyjemy, i zabrała nas do Krakowa do domu dziecka. O ojcu nic nie wiedziałyśmy. Ja ciężko chorowałam przez pół roku, tata nas odszukał. Ja z moją siostrą bliźniaczką mieszkamy nadal w Domu Dziecka, jesteśmy uczennicami trzeciej klasy”.

Według spisu wychowanków żydowskiego domu dziecka w Krakowie Dora i Paulina znalazły się tam 26 października 1945 roku. W spisie z lutego 1946 roku figurują jako sieroty (czyli wciąż nie wiedzą, że ich ojciec żyje), uczą się w pierwszej klasie szkoły podstawowej<sup>5</sup>.

W archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego zachowała się też opowieść o ich ukrywaniu się, po polsku i po angielsku, przygotowana przez Joint w ramach akcji zbierania pieniędzy na rzecz dzieci w żydowskich domach dziecka w Polsce<sup>6</sup>. Podano tam także, że dziewczynki urodziły się 25 sierpnia 1936 roku. Jedna z nich, nie wiadomo która, opowiada: „Bandyci czaili się na naszą mamusię, bo miała ładne, złote zęby”<sup>7[6]</sup>.

Nie wiem, dlaczego Fiszel Zoberman nie szukał córek od razu po wojnie. Może był przekonany, że nie przeżyły? Pracował jako woźnica na placu Wolnica na krakowskim Kazimierzu, rozwoził węgiel.

Dora:

– Ojciec miał czterdzieści dwa lata, a Felunia, którą poznał przez ciocię, bo one były razem w Auschwitz, dwadzieścia siedem. Ojciec nas zapytał, czy może się żenić. Ja, że tak, siostra, że nie. W 1948 roku urodziła im się córeczka Hanka. Ojciec mieszkał w Krakowie w burżujskim mieszkaniu, tyle że tam zakwaterowano trzy rodziny, a oni mieli z Felą i Hanką jeden pokój. W latach sześćdziesiątych wyjechali do Stanów. Z Hanką jestem w ciągłym kontakcie.

Gdy skończyła się wojna, dziewięcioletnie Dora i Paulina nie umiały czytać ani pisać. Jak sporo żydowskich dzieci, którym ocalał jeden rodzic, wychowywały się w domu dziecka, także po odnalezieniu ojca.

– Przez pierwsze pół roku miałam zapalenie stawów, nie byłam w stanie chodzić. Nie miałam prawa leżeć, musiałam być cały czas na siedząco, na noc przychodziła pielęgniarka mnie pilnować, recytowała mi *Pana Tadeusza*. Jak już mogłam pójść do szkoły, to niedługo potem zostałam przewodniczącą kółka sportowego reprezentacji Krakowa. Zdobyłam pierwsze miejsce na olimpiadzie w strzelaniu w trzech kategoriach: na leżąco, na stojąco i na klęcząco. Nam niczego w domu dziecka nie brakowało. Statki nam przywoziły jedzenie, ubrania, nosiłam mundurek, plisowaną sukienkę z marynarskim kołnierzykiem. Zostałam wybrana przewodniczącą ZMP.

Jej chłopak był w tym samym domu dziecka. Adam Daniel Rotfeld, późniejszy polski minister spraw zagranicznych i wybitny specjalista od Rosji.

– Dom był pełen rozbrykanych, radosnych dzieci – wspomina. – Skończyło się piekło. Po wojnie świat zewnętrzny nie był nam życzliwy, co umacniało naszą wspólnotę. To, co przeżyliśmy, pochowało się w zakamarkach, tak że nasz dzień codzienny nie byłznaczony przez pamięć. Nie stało się tak może tylko w przypadku najwrażliwszych. Danusia Joselewicz z naszego domu, piękna dziewczynka, popełniła samobójstwo. Z pewnością Zagłada nie była tematem. Ani Dora, ani jej siostra Paulina nic nie opowiadały.

Dzieci nie opowiadały, dorośli nie dopytywali<sup>8</sup>.

Daniel:

– Dorka rządziła w domu dziecka, świecąc przykładem. Była przewodniczącą rady dziecięcej, a ja byłem wiceprzewodniczącym. Była najlepsza w szkole, piątka z każdego przedmiotu, najlepsza w sporcie, brała udział w mistrzostwach, należała do drużyn juniorów. Gdy zaczęła ćwiczyć szermierkę, zajęła trzecie miejsce w Polsce w kategorii młodzieżowej. Będąc osobą o filigranowej budowie, szczupłą i niedużą, zajmowała się sportami męskimi: łucznictwo, floret, jazda na motocyklu. Świetnie tańczyła, ładnie się poruszała.

Raz jeden Dora wróciła do tamtego czasu. W liceum zadano wypracowanie: *Wydarzenie, którego nigdy nie zapomnę*.

– Opisałam ostatni napad, jak tata złapał siostrę na ręce, a ja biegłam obok i dookoła strzelali. Starsze dzieci uciekały przed nami. W pewnym momencie ojciec chyba miał dosyć i się zatrzymał. Przed nami była polana, strzelali ze

wszystkich stron, może pomyślał, że przez polanę i tak się nie da przebiec, może nie chciał już żyć. Spojrzałam, skąd do nas strzelali, i zobaczyłam jednego, który stał niedaleko, a drugiego młodszego, który oparł karabin o gałęzie. Wydawało mi się, że widzę jego niebieskie oczy. Myśmy zaczęły bardzo płakać i wtedy ojciec pobiegł dalej, a ja za nim.

Nauczycielka oddała wypracowania i kazała wszystkim po kolei czytać, tylko nie Dorce.

– Czekałam, dzwonek, wszyscy poszli. „Pani profesorko, nie dostałam zeszytu”, a ona przycisnęła mnie do piersi, łzy jej leciały, „Dziecko, z czego ty wyszłaś”, powiedziała. Po maturze zawołała mnie, miałam bardzo dobre świadectwo: „Dziecko, ty powinnaś zmienić nazwisko”. Odpowiedziałam: „Moja mama zginęła, bo się nazywała Zoberman”.

## 10

Karta żółtkłego papieru, postrzępiona, naderwana, ale wszystko da się odczytać. 15 maja 1949 roku Fiszel Zoberman złożył doniesienie do organów władzy.

le tajne.

Odpis.

Kraków dnia 13.VI.1949r. <sup>14</sup>

Fischel Zoberman  
ków.ul.Stanisława 10.m.20.

Doniesienie oficjalne

z dnia 15.V.1949r.

Niżej podpisany oświadcza, że za okupacji niemieckiej przebywałem w lesie sandomierskim. Naocznym świadkiem byłem jak banda napadła nas w lesie i zamordowała w bestialski sposób moją żonę i dwoje dzieci. Ta sama banda przyprowadziła dziewięciu Żydów /kobiety i mężczyźni/ skrupowane mieli ręce drutem i po skatowaniu zostali zastrzeleni.

Nazwa tych bandytów brzmi:

1/. Brzysc Franciszek

2/. Brzysc Wacław X

3/. Brzysc Edward Y

4/. Brzysc Augeniusz

5 /. Janowski Stanisław

6 /. Janowski Władysław

7/. Cienich Leon zamieszkały we wsi

Szczegółowo gmina Osiek pow.Sandomierz. Natomiast Pawełko Jan, Sławiacz Władysław wyłudził od pewnego Żyda weksle, raz mu dał chleb a następnie przyszedł z dwoma Żydami jeszcze raz po chleb, wówczas zaciągali ich do lasu i tam zostali zamordowani. 1/ Kazimierski Franciszek przyjął czterech Żydów do przechowywania przed Niemcami, trzymał ich przez trzy dni czwartego dnia wyprowadził ich do lasu i tam ich zamordował a następnie ich tam pochował. 1/. Sikora Stefan 2/. Bak Stefan moją siostrę, która przyszła prosić o kawałek chleba wywlekli ją do lasu i tam ją zamordowali. Syn mojej siostry z Krakowa przyjechał do mnie do lasu aby się ukryć przed Niemcami, przebywał u Maciarz (Agnieszki) i tam został zamordowany. Sikora i Bak są też we wsi Szczegółowo pow.Sandomierz.

Za zgodne z prawdą :

Fischel Zoberman.

zam. Kraków ul.Stanisława 10.A.20.

Za zgodność z oryginałem.

Naczelnik Wdziału «A»  
WUBP KRAKÓW

Doniesienie Fiszela Zobermana z 15 maja 1949

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

„Niżej podpisany oświadcza, że za okupacji niemieckiej przebywałem w lesie sandomierskim. Naocznym świadkiem byłem, jak banda napadła nas w lesie i zamordowała w bestialski sposób moją żonę i dwoje dzieci. Ta sama banda przyprowadziła dziewięciu Żydów (kobiety i mężczyźni), skrupowane mieli ręce drutem i po skatowaniu zostali zastrzeleni. Nazwa tych bandytów brzmi:



1. Brzyszczy Franciszek, 2. Brzyszczy Wacław, 3. Brzyszczy Edward, 4. Brzyszczy Eugeniusz, 5. Janowski Stanisław, 6. Janowski Władysław, 7. Cieniek Leon, zamieszkali we wsi Strzegom, gmina Osiek, pow. Sandomierz. [...]

1. Sikora Stefan, 2. Bąk Stefan – moją siostrę, która przyszła prosić o kawałek chleba, wywlekli ją do lasu i tam ją zamordowali. [...] są też we wsi Strzegom”<sup>9</sup>.

Po tym doniesieniu wszczęto sprawę karną<sup>10</sup>. W czasie przesłuchania Fiszel mówił: „Zostałem tylko ja i dwoje moich dzieci, które wówczas liczyły 7–8 lat, wobec czego zająć tych nie pamiętają”<sup>11</sup>. Musiał tak uważać do końca życia. Nie znał świadectwa Dory, nigdy w żadnej rozmowie z nią nie wrócił do czasu wojny.

Czytając relacje, dzienniki, wspomnienia z czasu Zagłady, wciąż natykam się na pustkę, czarną dziurę: ktoś był, a zaraz go nie ma – ale gdzie, kiedy zginął i jak? Tu wszystkie historie opowiedziane przez małą dziewczynkę znajdują potwierdzenie i uzupełnienie w materiałach procesowych. Jakby każda jej opowieść została inną ręką dopisana do końca. (Trudno było tylko ustalić chronologię zdarzeń, inna jest kolejność w opowieści Dory, inna w doniesieniu jej ojca, a zeznający w tej sprawie mówili jeszcze co innego).

*Dora: ...kazali pokazać kryjówkę i niespodziewanie wpadli do ziemianki, kazali wszystkim wyjść i ustawić się rzędem. Potem kazali dzieciom wrócić do kryjówki, a starszym pozostać. Zeszliśmy do kryjówki i bardzośmy płakali, bo co byśmy poczęli sami bez dorosłych. Bandyci zażądali kosztowności, mamusia dała im kolczyki i złoto...*

Akta procesowe:

Fiszel Zoberman podaje datę – lato 1943 roku. Rabujący byli zamaskowani, mieli sztuczne brody i wąsy. Zginęła wtedy jedna osoba, dwie zostały ranne.

Strzegomscy Żydzi zdążyli się przygotować i sprzedać część majątku. W ukryciu wyrabiali koszyki z korzeni drzew i sprzedawali je przez zaufanych ludzi. Mieli kilka zaprzyjaźnionych osób we wsi, które ich wspierały. Fiszel Zoberman oddał pola i gospodarstwo Janowi Pisuli, którego dobrze znał jeszcze sprzed wojny, w zamian za część zbiorów z tych pól. Pisula dotrzymał umowy. Wybudował w stodole podwójne przepierzenie i tam zostawiał żywność.

Pewnie starczyłoby im środków na opłacanie jedzenia i doraźnej pomocy do końca wojny – Niemcy nie zapuszczali się do okolicznych lasów – gdyby miejscowi nie zorganizowali się w partyzantkę i nie zabrali do tropienia, wydawania i mordowania ukrywających się Żydów.

Chodzenie po żywność do stodoły stawało się coraz niebezpieczniejsze: partyzanci wiedzieli, że Pisula uprawia żydowskie pola, podejrzewali go więc o kontakty z ukrywającymi się. Nic mu nie zrobili, ale kilkakrotnie ostrzegali, że mają go na oku – doprowadzali schwytanych Żydów, zabijali, a ciała zakopywali na jego polu.

Coraz dramatyczniej było z jedzeniem. Powtarzał się schemat znany z wielu historii o ukrywaniu się Żydów na wsi. Obrabowani ze wszystkiego, co udało im się ocalić, nie mieli już za co kupować żywności, mogli tylko coś podkraść na polu.

Zobermanom pomagała też sąsiadka, Agnieszka Macias („Maciosko, nie widzieliście, gdzie mój kur poszedł?” – Pola Feldt zapamiętała, że tak zwracała się do sąsiadki przed wojną Rojza, żona Fiszela, która kiepsko mówiła po polsku). To u niej Zoberman ukrył Icka Zeklera, syna swojej siostry Broni, który przyjechał do nich z Krakowa.

„Przyszło do mnie czterech mężczyzn, zapytali się mnie, kto [to] jest, na co ja im odrzekłam, że znajomy – zeznawała Agnieszka Macias w śledztwie przeciwko mordercom ze Strzegomia. – Gdy oni sprawdzili, że jest narodowości żydowskiej, więc mnie poczęli bić gumą, a następnie poczęli bić moją córkę. Jego zabrali w kalesonach i boso i potem natychmiast jego rzeczy drugi osobnik zabrał”<sup>12</sup>.

Nie chciała podać, kim byli, mówiła, że ich nie rozpoznała. Fiszel Zoberman twierdził, że po wojnie widział sweter Icka na Stefanie Sikorze<sup>13</sup>.

Jesienią 1943 roku zginęły dzieci Sury i Joska Kaufmanów. Zoberman zeznał, że poszły się przespać w stogu siana, tam znaleźli ich Franciszek Brzyszczyk, Wiesław Brzyszczyk, Stefan Sikora i Franciszek Kazimierski, zabrali ze sobą i rozstrzelali<sup>14[7]</sup>.

*Dora: Kilku silniejszych mężczyzn z tatusiem chciało się wybrać na wieś do kupców po kartofle. Mama [...] tatusiowi stanowczo nie pozwoliła. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że ich rozstrzelali polscy bandyci.*

Akta sądowe:

Zamordowani to Mosze Kaufman, Wolf Kaufman i Pinchas Betel. Zginęli, gdy nocą poszli kupić jedzenie do Jana Pawełka, który prowadził sklep w Strzegomiu i mieszkał z żoną w izbie na zapleczu.

Jan Pawełek w czasie konfrontacji z Władysławem Janowskim zeznał, że na przełomie stycznia i lutego 1944 roku pojawili się w jego sklepie Edward

Brzyszc, Waław Brzyszc, Daniel Stawiarz i sam Janowski. „Wygasili światło i czekali u mnie na przyjsie Żydów. Około godziny 1.00 w nocy przyszli do mojego mieszkania trzech Żydów. W tym czasie zaraz zastawił im drzwi Brzyszc Edward, po czym zapalili światło, związali tym Żydom ręce sznurkiem i wszystkich związali do siebie i poszli”<sup>15</sup>.

Wyprawdzili ich za wieś i zastrzelili. Jeden z morderców, Władysław Janowski, chwalił się potem, że w nocy zabrali od Pawełka „trzech moszków, których każdy swego rąbnął”<sup>16</sup>.

Fiszal Zoberman mówił: „Spodnie, buty i kurtki były z nich zabrane”<sup>17</sup>.

*Dora: Poszła na wieś ciocia Bajla, siostra tatusia, i więcej nie wróciła.*

Akta sądowe:

Był luty 1944 roku. Bajla Milsztajn i Sura Kaufman zeszyły do piwnicy domu, z której miały zabrać kartofle. Zauważył je Waław Brzyszc, patrolujący wieś w poszukiwaniu Żydów. Poszedł po posiłki pod miejscowy sklep, „skąd przemocą zabrał Stefana Kwiatkowskiego i Stefana Wojtychę”<sup>18</sup>, mówiąc im, że mają razem pójść po Żydówkę (ten drugi, mimo pogrózek, że zostanie pobity, uciekł). Chociaż musiało być mroźnie i ciemno, wnet zgromadzili się miejscowi mordercy: Stefan Bąk, Edward Brzyszc, Waław Brzyszc, Stefan Tałaj.

Sura Kaufman zdążyła się ukryć w beczce. Bajlę szóstka mężczyzn zaprowadziła za olszyny obok wsi. Gdy ją wlekli, dołączył kolejny partyzant, Władysław Konat. Bajla próbowała uciekać („Idąc na wieś w stronę lasu w odległości około 500 metrów od wsi, Żydówka poczęła się szarpać z Bąkiem Stefanem, on ją puścił i ona upadła na śnieg”<sup>19</sup>), a potem prosiła o darowanie życia („Żydówka ta nie chciała iść, mówiąc po imieniu do Kwiatkowskiego Stefana, aby ją puścił”<sup>20</sup>). Po pierwszym strzale ranna jeszcze raz próbowała uciec, ale padł drugi strzał i trzeci. „Po czym wypiliśmy trochę wódki i rozeszliśmy się do domu” – relacjonował Waław Brzyszc<sup>21</sup>.

„Znaleźliśmy tą Żydówkę leżącą na śniegu – zeznawał świadek Jan Sojka, który ją zakopywał – i widać było, że kula weszła z głowy jednej strony, a wyszła z drugiej, prócz tego miała przy sobie i trzymała ręką dwa kawałki chleba i trochę kaszy jęczmiennej, i była w ubraniu”<sup>22[8]</sup>. „Była strzelana w twarz, ponieważ miała wyrwaną połowę z prawej strony twarzy i zauważyłem, że była nędznie ubrana i strasznie wychudzona” – zeznawał

świadek Leon Adamczyk, który razem z Sojką zakopywał zamordowaną kobietę<sup>23</sup>.

Zatem kolejność musiała być taka: najpierw zakopały ją dzieci, ale bardzo płytko – był luty, zamarznięta ziemia – po czym skierowano do zakopania dwóch miejscowych. To by znaczyło, że ciała Bajli Milsztajn nie zjadły lisy, co dręczyło jej córkę Polę. Nie miałam możliwości jej tego powiedzieć, już nie żyła, kiedy zdałam sobie z tego sprawę.

Sura Kaufman zginęła parę miesięcy później, gdy poszła na wieś po żywność.

*Dora: ...Zelik poszedł ze swoją 12-letnią siostrą na wieś. Czekaliśmy godzinę, dwie, a ich nie widać, nazajutrz nie wrócili. Dowiedzieliśmy się później, że ich zastrzelił jakiś bandyta na skraju lasu.*

To ten chłopiec, którego poprzedniej zimy Dora dociągnęła do obozu, gdy zabrakło mu sił, i jego siostra Pela.

Akta sądowe:

Leon Reczko, świadek: „Przyszło do mojego domu dwoje dzieci narodowości żydowskiej, mnie było ich żal. Kazałem im się bawić z moimi dziećmi, chciałem ich przenocować, ponieważ były biedne, jedna dziewczynka miała około 7 lat i jeden chłopczyk około 6 lat<sup>[9]</sup>. Po pewnej chwili przyszedł do mojego domu Janowski Władysław i zapytał mnie, co te Żydy tu robią, i krzyknął na nich, żeby wyszli na dwór, więc te dwoje dzieci wyszło, a Władysław Janowski wyszedł za nimi, a na drugi dzień rano dowiedziałem się, że te dzieci były zastrzelone na polu Pisuli Jana”<sup>24</sup>.

Stefan Bąk, oskarżony: „Przyszedł on [Władysław Janowski] do mnie, zawołał mnie i poprosił, abym ja dał mu karabin, nie mówiąc mi, w jakim celu. Ja dałem mu karabin, którego miałem z organizacji AK, i zawołał mnie, abym szedł z nim. Ja poszedłem z nim. Po odejściu od wsi około 200 metrów kazał tym dzieciom stanąć sobie naprzeciw siebie, jednak one kręciły się, więc jedno położył na ziemi, drugie położył na nim i strzelił w głowy obydwu, na skutek którego strzału oboje dzieci zostały zabite”<sup>25</sup>.





Szczątki Zelika i Peli. Zdjęcie z wizji lokalnej „po wykopaniu zwłok dwoje małoletnich dzieci narodowości żydowskiej w lesie obok wsi Strzegom”, 28 maja 1950

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Jan Pisula, świadek: „Wiosną 1944 zostały zabite dzieci na moim polu, dzieci ob. Moszka. Oświadczam, że nie dokonali tego Niemcy ani też policja granatowa, tylko dokonała tego partyzantka”<sup>26</sup>.

Czesław Gawłowicz, świadek: „Jechałem do lasu i zauważyłem dwoje dzieci narodowości żydowskiej. Dzieci te były strzelane w głowę, aż mózgi miały na wierzchu, był to chłopiec i dziewczyna”<sup>27</sup>[10].

*Dora: ...tatuś odszukał zwłoki mamusi, zaglądnął jej do ust i zobaczył, że wyrwali jej złote zęby...*

Akta sądowe:

Fiszel Zoberman, świadek: „Nasza grupa została zaatakowana rano przez kilkunastu uzbrojonych osobników. Za mną biegł Cieniek Leon i Dzieciuch Eugeniusz, wobec czego ich dokładnie rozpoznałem. Wówczas została zastrzelona moja żona, której wyrwano zęby, na których były złote korony, oraz zastrzelono dwoje dzieci. Kto z wymienionych rozstrzelał, stwierdzić nie mogę, gdyż uciekłem i naocznie nie widziałem”<sup>28[11]</sup>.

Stefan Bąk, świadek: „Ob. Cieniek Leon powyrywał po śmierci zęby złote obywatelce żonie Fiszela Zobermana, o tym nie tylko ja stwierdzam, ale może stwierdzić cała wioska Strzegom, gdyż Cieniek Leon publicznie zęby te sprzedał Kamósowi Franciszkowi”<sup>29</sup>.

## 11

Zamordowanie Żydów, z którymi ukrywała się Dora, to niejedyne zbrodnie dokonane w Strzegomiu przez ten sam krąg kolegów partyzantów.

Akta sądowe:

Zabili też rodzinę Kolektorów z Połańca, cztery osoby. „Osoby te leżały twarzami do ziemi, były całkiem porozbierani i między nimi były dwie kobiety i dwóch mężczyzn” – zeznawała Waleria Jonca, którą razem z Adamem Dudkiem sołtys wyznaczył do pochowania zamordowanych<sup>30</sup>.

To się powtarza przy każdym morderstwie – zbrodniarze zostawiają ciała, a sołtys zarządza, żeby jacyś mieszkańcy wsi je zakopali, jakby chciano upublicznić to, co się stało.

Z protokołu oględzin miejsca pochówku i ekshumowanych zwłok: „Przed zamordowaniem osoby te miały powiązane ręce kablem, ponieważ kości z rąk były powiązane. Prócz tego jedna z czaszek była bez kości z prawej strony twarzy. Następnie znaleziono szczątki butów z drewnianymi podeszwami oraz pęk włosów splecionych w warkocz koloru jasnego”<sup>31</sup>.

Zamordowali Rywkę Fajnkuhen, siedemnastoletnią dziewczynę, którą ukrywał u siebie – i gwałcił – Daniel Stawiarz. Była w ciąży, kiedy ją zabił.

Sabina Stawiarz, siostra Daniela, świadek: „Rywka Fajnkuhen była naszą sąsiadką od małego, gdyż mieszkała obok nas”<sup>32[12]</sup>.

Do pierwszego napadu na bunkier strzegomskich Żydów doszło latem 1943 roku. Sowieci weszli na te tereny 9 maja 1944 roku. Wszystkie te morderstwa popełniono więc w ciągu niespełna roku. W 1944, kiedy stało się jasne, że Niemcy niedługo przegrają wojnę, polowania na Żydów się nasiliły, tak było wszędzie. Dzieci – Zelik, jego siostra Pela, a chwilę później druga siostra Blina – zostały zamordowane w ostatnim miesiącu, dwóch przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Mamie Dorki i jej czteroletniej siostrzyczce Helence, która była tak mądra, że uniknęła raz śmierci, chowając się w krzakach, zabrakło do przeżycia dwóch tygodni.

Żadnych przypadkowych zdarzeń. Z wyjątkiem pięciu osób, które zginęły, gdy gajowy wskazał Niemcom kryjówkę w lesie, za każdym razem powtarza się ten sam schemat: polowanie na Żydów urządzone przez miejscowych partyzantów.

Trzon grupy morderców stanowili: Edward Brzyszczy, Waław Brzyszczy, Daniel Stawiarz, Władysław Janowski. Pseudonimy: „Czajka”, „Świerk”, „Sęp”, „Rączka”.

Przed rozprawą wpłynęło do sądu oświadczenie podpisane przez kilkudziesięciu mieszkańców: „My, żołnierze Armii Podziemnej Batalionów Chłopskich, placówki gromady Strzegom, gminy Osiek powiatu sandomierskiego, stajemy w obronie naszych niewinnych wspólnych towarzyszy broni”. I wymieniają: „Janowski Władysław, z-ca komendanta Placówki BCh, Brzyszczy Edward, Brzyszczy Waław, Taław Stefan, Konat Władysław, Bąk Stefan”<sup>33</sup>.

Wśród podpisanych są nawet Jan Pisula, który długo starał się pomagać Zobermanom i w procesie wyraźnie stwierdził, że Zelika i Pełę zabili partyzanci, oraz Leon Reczko, który rodzeństwo przygarnął i zeznał, kto je zabrał na rozstrzelanie.

Po wojnie lokalne społeczności broniły tych, co mordowali Żydów. Nie tylko w Strzegomiu.

Część morderców należała do Armii Krajowej, część do Batalionów Chłopskich, część najpierw do AK, a potem do BCh<sup>34</sup>. W 1943 roku na jednym z zebrań placówki AK w Strzegomiu doszło do rozłamu i ci, którzy przeszli do BCh – sądząc po Władysławie Janowskim – zachowali dawne pseudonimy. Do oddalonego od świata i ludzi Strzegomia Niemcy zaglądali rzadko, czego najlepszym dowodem jest to rozłamowe zebranie, w którym uczestniczyło kilkudziesięciu mężczyzn, a które odbyło się w budynku szkoły!<sup>35</sup>



Na procesie oskarżeni mówili, że ich zeznania zostały wymuszone biciem i że nie słyszeli o żadnych morderstwach Żydów<sup>36</sup>. Bardzo możliwe, że rzeczywiście bito ich w czasie śledztwa, łatwo też zobaczyć, co najprawdopodobniej zostało wymuszone: podkreślanie, że wszystko to robili z rozkazu AK. Ale są też relacje świadków i wizje lokalne – odkopano kości i czaszki zamordowanych. Choć świadkowie także odwoływali to, co powiedzieli. Tak było w bardzo wielu procesach o morderstwa Żydów – presja otoczenia i strach przed oprawcami kazały zmieniać lub wycofywać zeznania. Mówili więc, że Żydów zabijali Niemcy, a jeden ze świadków stworzył nawet kategorię „niemieckich spolszczonych kolonizatorów”<sup>37</sup>.

Fiszel Zoberman powiedział, że i jego oskarżeni próbowali skłonić do zmiany zeznań: „Brzyszczeni Antoni z żoną i kuzyn Bąka przyjeżdżali do mnie teraz i proponowali mi, że zapłacą, ile będę chciał, żeby tylko bronić oskarżonych”<sup>38</sup>.

Sąd nie dał wiary mordercom. Siedmiu z nich: Stefan Bąk, Edward Brzyszczeni, Wacław Brzyszczeni, Władysław Janowski, Daniel Stawiarz, Stefan Tałaj, Władysław Konat, dostało wyroki śmierci<sup>[13]</sup>.

Rodzice Wacława Brzyszczeni pisali do prezydenta Bolesława Bieruta: „Tylko deprawacja okupacyjna, jad nienawiści rasowej, wsączony w nas, Polaków, przez hitlerowców oraz ujemne wpływy środowiska młodzieżowego, w którym syn nasz się obracał, mogły pchnąć go do udziału w straszliwych zbrodniach przeciwko Żydom”<sup>39</sup>. W 1952 roku Bierut skorzystał z przysługującego mu prawa łaski i zmienił kary śmierci na kary więzienia od dziesięciu lat do dożywocia<sup>[14]</sup>.

## 12

Dom w Krakowie pozostał żydowskim domem dziecka do 1949 roku, kiedy wszystkie żydowskie sierocińce zlikwidowano.

Dora:

– Gdy byłam w liceum, nasz dom znacjonalizowano, a statki z darami Jointu zawrócono.

Odtąd żydowscy wychowankowie mieszkali razem z polskimi, no i już nie dostawali paczek z Jointu, którego oddział w Polsce zamknięto. W 1956 roku żydowskie dzieci, które były wtedy lub wcześniej w krakowskim domu dziecka,

zorganizowały spotkanie i podjęły decyzję, że wspólnie wyjadą do Izraela; pojawiła się właśnie możliwość legalnej emigracji.

Dora i Daniel mieszkali już wtedy w Warszawie. Studiowali na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym Szkoły Głównej Służby Zagranicznej.

Daniel:

– W 1956 roku, wraz z odwilżą, otworzyła się przestrzeń dla antysemityzmu, to się bardzo czuło. Ale nasze życie było już tutaj.

Dora pojechała do Radomia, gdzie w ramach procesów rehabilitacyjnych AK-owców po 1956 roku miała się odbyć rewizja nadzwyczajna wyroków w sprawie morderców ze Strzegomia. Jednak proces został tego dnia odwołany<sup>40</sup>.

Dora wymazała to z pamięci, ale jej wyjazd zapamiętał Rotfeld, ponieważ po powrocie Dora opowiedziała mu trochę o swoim ukrywaniu się, czego przedtem nie robiła.

– Ci zbrodniarze zwrócili się o rehabilitację jako oddział AK. Dora czekała na korytarzu. Jeden ze skazanych, przechodząc obok, zagroził, że jeżeli będzie zeznawać, to może źle się dla niej skończyć.

– Główny oskarżony Brzyszc – przypomniała sobie w końcu Dora – podszedł do mnie: „Ty jesteś córką Zobermana, przez twojego ojca moja córka nie dostała się na studia, a ty na pewno studiujesz”. Odpowiedziałam mu: „Ale twoja córka miała ojca i matkę, a ty moją matkę zabiłeś, ja byłam sama”.

W 1957 roku wszyscy skazani byli już na wolności.

Dora i Daniel zostali parą jeszcze długie lata, aż każde poszło swoją drogą.

– Często się zastanawiałem, dlaczego nasz związek nie przetrwał. Przeszkadzało mi, że ona, która odnosiła same sukcesy, potrzebowała ciągłego potwierdzania się, w tym ciągłej adoracji mężczyzn. Jak pracowała w ministerstwie kultury, to minister ją adorował i adorował ją też jego kierowca, czekał pod jej oknami. W czasie wojny życie Żyda było nic niewarte, normą było, że Żyda można zabić. Musiała to być rekompensata za to, co przeżyła, i mogę to zrozumieć, ale w jakimś momencie zaczęło mnie to wszystko bardzo męczyć.

Po skończeniu w 1960 roku Wydziału Dyplomatyczno-Konsularnego Dorka zajmowała się w ministerstwie kultury współpracą z zagranicą<sup>41</sup>.

W tym czasie wyjechała z Polski cała rodzina Zobermanów. Najpierw, w 1962 roku, jej bliźniaczka Paulina, która wyszła za mąż za Belga (wcześniej starała się o emigrację do Izraela, ale nie dostała zgody<sup>42</sup>). W 1963 ich ojciec

Fiszel z żoną i przyrodnią siostrą Dorki i Pauliny, wówczas dwunastoletnią Hanią. Wyemigrowali do Stanów, zamieszkali w Cleveland. Dorka odwiedziła siostrę w Belgii w 1964 roku i już nie wróciła. Ale nie chciała utracić więzi z Polską i starała się zachować polski paszport. W czasach komunistycznych paszportu nie trzymało się w domu, tylko dostawało ten cenny dokument na konkretną podróż, po czym należało go niezwłocznie zwrócić. Istniały też trudne do zdobycia paszporty konsularne, pozwalające na wielokrotny wjazd i wyjazd. O taki paszport wystąpiła w 1965 roku Dorka, pisząc w podaniu, że studiuje w Belgii<sup>43</sup>. Dostała odmowę, odwołała się: „Mój pobyt za granicą jest powodowany względami czysto osobistymi i nie posiada żadnego przecież ogólnego znaczenia”<sup>44</sup>.

Absurdalnie pokierowała swoim życiem – mówili mi zgodnie Marcel Łoziński i Vera Lechtman, którzy przyjaźnili się z nią od lat pięćdziesiątych.











Zdjęcia Dory Zoberman z kwestionariuszy paszportowych z lat 60.

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Zamieszkawszy w Belgii, rozpoczęła pracę w kancelarii adwokackiej. Jej właściciel, starszy pan, chciał, żeby Dora przejęła kancelarię po jego śmierci. Ale ona na wakacjach z biura podróży Club Méditerranée poznała swojego przyszłego męża. Namówił ją, by zamieszkali w Villefranche-sur-Mer, małym kurorcie na południu Francji. Otworzyli tam sklep. On dalej jeździł podrywać śliczne dziewczyny w hotelach Club Méditerranée, ona dźwigała paki



z towarem, skrzynie ryb i cały dzień spędzała przy kasie. Dobrze, że w którymś momencie przenieśli się do Paryża. Tam też otworzyli sklepik, w którym parzyli kawę sprowadzaną z Brazylii, i sprzedawali słodycze. A potem się rozwiedli. Dora została w Paryżu, pod koniec życia przeniosła się do Brukseli, do Pauliny, ostatnie lata spędziła w tamtejszym domu opieki.

– Nie umiałam wytyczyć sobie drogi. Cały czas tylko myślałam, jak uciec, i uciekałam.

Raz pojechała do Strzegomia, z kuzynami z Izraela, to był 1987 rok.

– Spotkaliśmy starą Pisulową i jej córkę, tę Helę, co mnie Pisulowa pchnęła z nią do pokoju, żebyśmy się bawiły, kiedy przyszłam po jedzenie i wszedł bandyta. Nie powiedziałam im, kim jestem, tylko że znam rodzinę Zobermanów, którzy tu kiedyś mieszkali. W pewnym momencie stara Pisulowa pokazała mi dom pod lasem i sad, to były nasze dawne pola, teraz tam mieszkał jej syn. Jestem przekonana, że mnie rozpoznała. „Ale proszę mi powiedzieć – zapytała mnie – oni nie wrócą, nie zabiorą tego?” „Niech się pani nie martwi, oni nie wrócą”, powiedziałam. „Z Fiszlem to chodziłam razem aż do czwartej klasy – powiedziała stara Pisulowa i łaza jej pociekła po policzku. – O Pani, żeby nie tutejsi ludzie...” Ale nie skończyła zdania. Miała piękną twarz, pooraną zmarszczkami, a trochę dalej stał facet z kosą. Ostrzył spokojnie tę kosę i wpatrywał się we mnie uważnie.

## 13

Odwiedziłam Strzegom w 2013 roku. Wieś oddalona od świata i ludzi rozciągnięta wzdłuż granicy lasu. Przypomniały mi się moje wyjazdy do Jedwabnego i Radziłowa. Tamtejszy płaski krajobraz dawał nikłe nadzieje na znalezienie ukrycia. Strzegom, otoczony kilometrami lasu, przeciwnie – mógł być idealnym schronieniem.

Pukałam od drzwi do drzwi.

W pierwszym domu, do którego trafiłam, mieszkała Mieczysława Gawłowicz. Zapytałam, czy jest krewną Czesława Gawłowicza, który zeznawał na procesie z lat pięćdziesiątych. Tak, to był jej teść. Przeczytałam jej jego zeznanie o zamordowaniu Zelika i jego siostry Peli. „Dzieci te były strzelane w głowę, aż mózgi miały na wierzchu, był to chłopiec i dziewczyna”.

– Dwoje dzieci – powiedziała. – Takie fajne i takie głodne, mówiła teściowa. Stały ziemniaki dla świń i dla kur, przyszły dzieci z lasu i je łapały rączkami. U nas było siedmioro dzieci, bieda, to poza ziemniakami niewiele było. Teściowa powiedziała, że im ugotuje naszych ziemniaków, bo nasze to nie były w łupinkach, ale bały się poczekać. – Płacze.

Szukałam śladów Jana Pisuli. Skierowano mnie do szkoły w Strzegomiu, gdzie dyrektorką była synowa córki Pisuli. Dostałam od niej wskazówki, jak trafić. Dom stał, zabudowania stały, mieszkała tam starsza pani, jedna z córek Jana, Klara. Pokazała mi, jak można było wejść do stodoły od strony lasu.

– Mój ojciec opowiadał, że wracał z leśniczówki i ktoś strzelał do Żydów, w biały dzień. Kto strzelał, może wiedział, ale bał się powiedzieć. Zdarzało się, że zimą któreś z dzieci nocowało na górze, na słomie. Raz zabite dzieci to leżały przy lesie, zostawione na naszym polu. Jak mama mi opowiedziała, że ich zabili, płakałam i później wiele razy nad nimi płakałam, że nie miały nikogo, ich rodzice byli już zabici i jeszcze ktoś czyhał, żeby im zabrać ich nędzne życie.

Starsi mieszkańcy wymieniali imiona zakolegowanych Żydów: Fiszel, Josek, Pela, Nuta. Z morderców nikt nie żyje – usłyszałam w wielu domach. Znak, że każdy dobrze wiedział, kto był kim. Ale jeżeli już podawali nazwiska, to z wahaniem i prosząc, żeby tego nie ujawniać.

– Były takie, co nie miały innego zajęcia, tylko o tym myślały, żeby zabić. Nazwisk nie powiem.

– Słyszałam legendę o siedmiu strzałach do dwójki dzieci, bo nie mogli ich dobić. Władysław Janowski nie miał dzieci. On komuś życie odebrał, to Bóg się nie zgodził, by on życie dawał. Ale proszę nie mówić, że to ja, bo jak by się wydało, oni by mi krzywdę zrobili.

Kobieta mieszkająca samotnie na skraju wsi, która rozmawiała ze mną przed domem na ławeczce osłoniętej od drogi drzewami, wyszeptala mi do ucha na odchodnym:

– To były Brzyszczeni, Bąk Stefan, Janowski Władysław. Tylko niech pani nie powie, że ja, boby mi ktoś głowę ukręcił.

– Jak zobaczyłam, że Tałaj jest jednym z bohaterów święta runa leśnego zorganizowanego przez wójta, to myślałam, że nie wytrzymam – powiedziała inna.

Tylko jedna osoba z najbliższej rodziny skazanych mieszkała dalej w Strzegomiu – Stefania Bąk, rocznik 1925, wdowa po Stefanie.

– Za co on siedział, to ja nie wiem. Jeździłam do niego do więzienia – mruknęła nieprzyjaźnie.

Dodała, że Daniel Stawiarz, który też siedział, to był bardzo dobry człowiek. Obecna przy rozmowie wnuczka wtrąciła, że jej dziadek został skazany za mordowanie Żydów, co było nieprawdą, bo w jej rodzinie prababcia to „wręcz pomagała”.

We wsi pamiętano też ofiary mordów.

– To byli sąsiedzi z pola. Jak przychodzili, to im ojciec dawał jeść i buty im dał. Oni mieli spanie tam, gdzie są brzozy. Oglądałyśmy z mamą ich rozwłóczone kości i płakałyśmy.

Usłyszałam o jeszcze jednej zbrodni w Strzegomiu, która nie ujrzała światła dziennego w czasie rozprawy sądowej.

– Trzymali u nas ubrania, jak chcieli się przebrać, to przychodzili. Prawie już było wyzwolenie i Siaja miał taką ładną marynarkę, i wziął ją od mamy. A mama mówiła: „Siaja, nie bierz jej jeszcze, jeszcze cię za tę marynarkę zabiją”. Bo taka bieda tu była. No i go zabili.

## 14

W wolnej Polsce Władysław Janowski wystąpił o czterdzieści tysięcy złotych zadośćuczynienia za doznaną krzywdę, powołując się na ustawę z 1991 roku „o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego”. Janowski to ten, który jednym strzałem zabił Zelika i jego siostrę Pełę i chwalił się Janowi Pawełkowi, że razem z kolegami „każdy swego moszka rąbnął”. Po wojnie zapisał się do partii i pracował w kieleckim Urzędzie Bezpieczeństwa. Jego żona w 1951 roku w podaniu do Bieruta z prośbą o zmianę wyroku śmierci na łagodniejszy wymiar kary pisała, że mąż pracował jako kierownik sekcji walki z bandytyzmem i „niejednokrotnie narażał swoje życie w walce z reakcyjnym podziemiem”<sup>45</sup>.

Sąd Najwyższy – dostał te same dokumenty, które tu cytuję – przychylił się do jego prośby i w 1997 roku przyznał mu odszkodowanie. „Dowody wskazują, że wyrok sądu apelacyjnego w Kielcach z dnia 20 grudnia 1950 r. wydano z powodu działalności niepodległościowej Władysława Janowskiego” – napisano w uzasadnieniu<sup>46</sup>.

Dora przez całe życie zmagala się z tym, o czym próbowała zapomnieć. Bywały długie okresy, kiedy się poddawała, długie miesiące, kiedy nie wychodziła z domu i z depresji.

– Zepsuło mi się łóżko, ale żeby ktoś mi je naprawił, to muszę zejść do dozorczy, a nie chciałabym mu zawracać głowy – skarżyła mi się.

– Ty, ta niewyobrażalnie odważna dziewczynka, obawiasz się pójść do dozorczy?

– To ja byłam kiedyś odważna?

## 5 Małka

### 1

„Dokąd idzie, wiedziała. Ale skąd idzie – to musi dopiero wymyślić. Musi wymyślić całe swoje życie i tak, aby każdy uwierzył”<sup>1</sup>.

Tak zaczyna się *Ścieżka*, opowiadanie, czy raczej minipowieść, Bogdana Wojdowskiego o ukrywaniu się na polskiej wsi, literatura drogi czasu Zagłady.

Czy istniał pierwowzór Alki, piętnasto-, może szesnastoletniej dziewczyny – wyglądała na mniej – która w czasie powstania wydostała się z getta warszawskiego i błąkała po wsiach i lasach? Jeżeli tak, czy da się ją odnaleźć?

Wcześniej szukała jej historyczka literatury Alina Molisak, autorka książki o Wojdowskim. Ustaliła nazwisko, adres, napisała list, ale nikt nie odpowiedział<sup>2</sup>.

### 2

„Dokąd idzie, wiedziała. Ale skąd idzie – to musi dopiero wymyślić. Musi wymyślić całe swoje życie i tak, aby każdy uwierzył. Wysoki mur zasłania tę stronę od tamtej strony. A zasłonić może świat. W stróżówce pytali Alkę, jak przeszła. Dziewczyna nie słomka, nie przefrunie z wiatrem.

Powiedziała, że nie wie”.

Getto już się dopalało po powstaniu, gdy Alce udało się uciec z dachu kamienicy.

„Ci z wyższych pięter nie mogli inaczej uciec i skakali w powietrze. A dlaczego ona nie skoczyła? Przypadek; widziała, jak to robił tamten, jak mu tam. Lał wodę na prześcieradło i tym prześcieradłem owinął się cały. Blaszane wiadro na głowę i jazda klatką schodową w dół! Znalazła w kącie gałgan, garnek i dusząc się dymem, poszła za nim. Było tak gorąco, że mokra szmata parowała, zanim weszła w ogień”.

Pokonała cztery piętra w dół. Doszła piwnicami do muru. „[...] podsadził ją na ramionach tamten, jak mu tam było. A potem sam upadł”. Wspięła się, na szczycie położyła sweterek na potłuczone szkło. „Nie miała niczego innego.

A nie chciała rozbierać trupa. I tak pocięła ręce i nogi klęcząc na wierzchu muru”. Gdy była już po drugiej stronie, dostała się do niedalekiej stróżówki, gdzie stróż i jego żona ją przenocowali. Wyruszyła w drogę, kiedy tylko skończyła się godzina policyjna.

„Stała na ulicy ze złożonymi rękami, głucha i ślepa, otoczona tłumem żywych, a martwi wołali ją do siebie wielkim głosem”.

Uszła ledwie kilka przecznic, gdy usłyszała: „»Ty, Żydówka, gdzie tak idziesz?« Banda szczeniaków biegła za nią od Młynarskiej, szarpiąc, wołając, gwizdząc. Próbowwała wyrwać się i uciec. Znow wyrastali przed nią spod ziemi. Z pochyloną głową biegła na oślep. Upadła, znow otoczona. Jakiś wyrostek wmieszał się, rozepchnął innych, mocno zdzielił ją po karku i wyrwał z całego zamieszania. Coś jeszcze krzyczał, prowadził ją prosto przed siebie”. Po chwili dopiero dotarło do niej, co wołał: „Spokój, szczeniaki, już ją dostarczę, gdzie trzeba”, i dokąd ją prowadzi – na komisariat. Gdy odeszli kawałek, powiedział: „Idź. A to, że... nie mogłem inaczej” i znikł<sup>3</sup>.

Ten ostatni fragment, o bandzie młodocianych szmalcowników, cytuję za żydowskim tygodnikiem „Fołks-Sztyme”, gdzie w dwunastu odcinkach ukazał się (po polsku) pierwowzór opowiadania zatytułowany *Alka*. Cenzura wycięła ten fragment – i kilka innych – gdy Wojdowski włączył to opowiadanie, zmieniając tytuł na *Ścieżka*, do wydanego w 1975 tomie *Mały człowieczek, nieme ptaszę, klatka i świat*<sup>4</sup>.

### 3

Szukałam bohaterki opowiadania Wojdowskiego, idąc tropami wyznaczonymi przez Alinę Molisak. Najpierw wzmianki w korespondencji, do której dotarła.

Wojdowski pisał do poety Jerzego Ficowskiego, że bohaterka *Ścieżki* przyszła do niego z prośbą, żeby jej przepisał na maszynie jakieś podanie. „Kręciła się w stronach, które sam pamiętam z roku 43 i 44. Wydawało mi się, że z braku kogoś lepszego mogę być protokolantem tej historii. Mało dodawałem od siebie, dużo zniekształciłem”<sup>5</sup>. W liście z tego samego roku do Zdzisława Libery, zaprzyjaźnionego z nim historyka literatury – który, tak jak Wojdowski i jak bohaterka opowiadania, miał za sobą doświadczenie warszawskiego getta – podał jej nazwisko. Pisał: „Postanowiłem nie odbiegać zbyt daleko w literaturę od jej opowiadania, tym bardziej że wszystkie

krajobrazy miałem w pamięci. Czy dasz wiarę? Żadna z istotnych sytuacji, żadna z kluczowych perypetii tego opowiadania nie została przez mnie wymyślona”<sup>6[15]</sup>.

W zachowanym notesie telefonicznym Wojdowskiego był jej radomski adres i telefon. Napisałam, dzwoniłam. Aż jednego dnia znalazłam to nazwisko w internecie – podpis pod zdjęciem ze spotkania promocyjnego zorganizowanego w Muzeum Polin z okazji wydania tomu wspomnień Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu”. Był 2014 rok. Dotarłam do Aliny Ł. przez stowarzyszenie. Nie mieszkała już w Radomiu, tylko u córki w Kielcach. Jej wspomnienie zamieszczone w piątym tomie *Dzieci Holocaustu mówią...* było podpisane „Alina”. Gdy zadzwoniłam, przestraszyła się, że jej nazwisko można gdzieś wyczytać. Trzeba było wielu miesięcy i rozmów, nim zgodziła się na moje odwiedziny. Prosiła, bym nie podawała, jak się nazywa.

– „Dokąd idzie, wiedziała. Ale skąd idzie – to musi dopiero wymyślić”, pisał Wojdowski o Alce. To o pani?

– To dokładnie o mnie, bo potem to tak tylko czasami.

– A ucieczka z getta warszawskiego w czasie powstania?

– Uciekłam najpierw z ciotką. Ona już przeszła na drugą stronę, miałam jej podać dziecko przez mur. Ciotka je złapała, a ja skoczyłam za nimi. W jakąś kałużę. Tak mi się zdawało. Nie mogłam iść dalej, bo nie dawało się z niej wyciągnąć buta. Aż wyjęłam nogę bez buta i wtedy zobaczyłam, że ten mój but został w brzuchu człowieka, nie wiem, czy to była kobieta, czy mężczyzna. Oparłam się o ścianę, wymiotowałam. Słyszałam, jak ciocia krzyczy: „Majeczko, Majeczko, gdzie jesteś?”. Mały płakał: „Maja, Maja, Maja!”. Miałam szalone wymioty, nie mogłam słowa wykrztusić. Trzymałam się muru, żeby nie upaść. Jak już było mi trochę lepiej, poszłam w ich stronę, ale już nie słyszałam wołania. Było całkowicie czarno, dusiłam się od jakiegoś gazu, kule koło mnie przelatowały, nie mogłam tak dalej iść. Zobaczyłam dziurę w murze, to w nią weszłam. Przed samym powstaniem w każdym mieszkaniu były dziury porobione, przejścia na ulicę, do sąsiadów, wszędzie, taki był rozkaz i kto zdążył, to się przygotował. Tak szłam, aż trafiłam z powrotem, widocznie wróciłam tą samą drogą, którą myśmy wyszli. Wchodzę do domu, moja babcia leży nieruchoma na łóżku. Babcia była Gołda Gotlib. Tata był Menasze albo też Marian Jasiński, mama Dina. Była nas trójka dzieci, ja byłam najstarsza. Gdy się zaczęła wojna, Szmulek, dwa lata młodszy, miał dziewięć lat, a Jakub, najmłodszy, pięć. Babcia się nami zajmowała, nie mieliśmy mamy, umarła przy

porodzie braciszka. Tata był przed wojną urzędnikiem, nie było go cały dzień w domu. Jak tylko wkroczyli Niemcy, to go zabili. Siedział na dachu z sąsiadem, mówił: „Nalot! Odwołuję nalot! Skryć się!”. Zabrali tatę i sąsiada. Przeprowadziliśmy się z Kruczej, gdzie mieszkaliśmy, do domu na Lesznie, gdzie miało być getto. A gdy już ono powstało, babcia wynajęła ten dom na Lesznie zamożnym Żydom z Gdańska, a my się przeprowadziliśmy do małego mieszkania na Nowolipiu, tuż przy murze, na facjatkę. Babcia pracowała w gminie, rozdawała obiady biednym. Małego brata ulokowała u Janusza Korczaka, chodziłam często do niego, bardzo go kochałam, a większego na wsi. Płakałam, pytałam: „Gdzie jest Szmulek?”, a babcia mówiła: „Ty musisz zrozumieć, że źle jest z nami. Ciebie też ulokuję, mam dobre miejsce”. Ulokowała mnie u jednej pani, która przychodziła do getta jako pomoc dla babci, okna myła. Mówiłam na nią „mamusia”, bo ona miała dwie córki bliźniaczki, jedna zmarła i ja byłam tą córką. Alinka miała na imię, to ja też. Ale uciekłam od niej, bo tęskniłam za babcią. Babcia płakała: „Po coś ty przyszła?”, bo już była akcja i wyciągali ludzi z domów. No to jestem z powrotem na naszej facjatce, przytulam się do babci ręki, a ta ręka zimna. Babcia nie żyła. Patrzę, ta ręka była czysta, a teraz jest skrwawiona. Szybko do łazienki się przejrzyć. Od góry do dołu jestem brudna od błota i krwi. Jak mi przytrzymało buta, to ja trochę wpadłam w tę osobę. Patrzę, z kranu leci woda, jaka byłam szczęśliwa! Nalałam wannę wody, zimna to zimna, wykapałam się, wymyłam włosy, założyłam szlafroczek, bo tam wisiały szlafroczyki, u mojej babci wszystko było tak jak trzeba. Idę do mojej szafki, a tam wszystko leży równiutko ułożone, włożyłam czystą bieliznę, sukieneczkę, płaszczyk ze znaczkiem szkolnym. Wkładam ubranka do walizeczki i płaczę nad babcią. Mówię: „Babuniu, przepraszam cię bardzo, ja muszę iść, bo jak tu zostanę sama?”. Przykrywam ją, żeby jej było ciepło, a może ożyje. Wychodzę i dopiero zauważam, że nie ma schodów, spalone, nie wiem sama, jak weszłam. Została sama poręcz. Zjeżdżałam często na tej poręczy, to nie problem, tylko że była brudna. Wróciłam się do mieszkania, wzięłam dwa ręczniki, jeden pod brodę na wypadek, jakbym spadła i się uderzyła, a drugi tak, żeby się nie zbrudzić, i zjechałam. Dalej to poręcz był spalona, a schody zostały. Niedaleko naszej bramy było wyjście z getta przez kamień. Nieraz tak wychodziłam, tak że do tego byłam przygotowana. To był wielki, ciężki kamień. Handlarze nadchodzili, nagle ktoś kamień odwalał, oni wjeżdżali wózkiem, ludzie czekali, ulica pusta i nagle targ, i szybko, szybko kupują jedni od drugich. Za pierścionek, za



kolczyki kupowało się jajka, taki był ten targ. Ja ciągle siedziałam w oknie i wypatrywałam, czy kamień będzie odrzucony i jak ludzie handlują, cała moja rozrywka była przy tym oknie. Widziałam też przez okno, jak Niemcy wyprowadzali moją drugą ciotkę, z mężem, córką i jej małym dzieckiem. Przez tę dziurę wcześniej wychodziłam z sąsiadką i jeździłam z nią na wieś, Teresin, Krystynów, Legionowo. Przywoziłyśmy mleko, ser. To jeszcze było wtedy, jak życie w getcie było normalne. Rano widziałam, jak wozili trupów na wózku, nogi im zwisały, ale po południu było już czysto i gwarno. Nagle widzę: kamień wrzucony po stronie getta, to ja z tą walizeczką buch w dziurę, ktoś z tyłu mnie szarpnął, uderzył, nie chcieli mnie przepuścić, ale ja już byłam po drugiej stronie muru. Tam była zaraz brama. Zjeżdżając z poręczy, ryczałam, drżałam cała, a teraz idę prosto, żadnego płaczu. Schowałam się w bramie, czekając, aż minie godzina policyjna. Nad ranem stróż mnie zobaczył i zaprosił do siebie. Ja go wcześniej znałam, jak chodziłam ze szmuglem. Płaciliśmy mu za to, żeby nas tam ukrył na chwilę, sam obserwował, kiedy się dziura otworzy, żeby móc z powrotem wejść do getta, i dawał sygnał: „Już”. Dobry człowiek, pomagał, ale za pieniądze, jak najwięcej tych pieniędzy. Powiedział: „Ślicznie wyglądasz, jak panienka, jak byłaś ostatni raz u mnie to byłaś dzieckiem. Możesz się u mnie zatrzymać”. On był świntuch, rozumiałam, czego on chce ode mnie, jak mówił: „Wezmę cię do mojego mieszkania. Będę cię trzymał, tak że nikt nie będzie wiedział, tylko ty i ja”. Drżałam, jak mi robił herbatę, tak się go bałam. Grzecznie odpowiedziałam: „Załatwię jedną sprawę i do pana przyjdę”. A on: „Tylko nie idź gdzie indziej”. Gdy tylko minęła godzina policyjna, wyszłam na ulicę. Przeglądałam się w wystawach, lustrach i śmiało szłam. Płaszczyk granatowy prościutki, biała patka z tyłu i mały kołnierzyk, tarcza przypięta, na breciku lilijka harcerska, którą babcia mi przyszyła; przez to, że byłam taką elegancką dziewczynką, udało mi się przejść przez Warszawę i nikt mnie nie zatrzymał. Wszystko mi sprzyjało, żeby żyć, po prostu szczęście miałam. Doszłam do tej znajomej babci, adresu nie pamiętam. Niezbyt przyjemnie mnie przywitała: „To ty, Majka, uciekłaś ode mnie, a teraz wróciłaś?! A gdzie babcia?”. Nie powiedziałam, że babcia nie żyje, czułam, że tego nie mogę powiedzieć i że będę musiała kryć się ze swoją żałobą. „Prosiła powiedzieć, że do pani przyjdzie”. Tam były jakieś sprawy finansowe, babcia zdążyła jej przepisać mieszkanie, ale były jeszcze jakieś formalności do załatwienia, a może z inną własnością. „Dobrze, że przyszłaś w płaszczyku – powiedziała – babcia mi o nim mówiła”. Zaczęła go pruć i wyjmować, co tam babcia wszyła.

– Wojdowski pisze o Alce: „Miała parę złotych schowane. Trochę w bucie, a trochę w woreczku na szyi”.

– Trochę w bucie też miałam i na szyi też. Ona to wszystko wzięła. Już tam zostałam. Michasia, moja bliźniaczka, chorowała na cukrzycę, jej siostra Alinka na nią zmarła. Michasia była wątła, nie bardzo była w stanie nauczyć się literek. Kochałam ją, a ona mnie. Wybuchło powstanie warszawskie i poszliśmy do schronu. Ten mój nowy tatuś on mnie tak samo kochał jak swoją córkę. Ta pani też była dobrą mamusią, tylko więcej nerwowa i więcej materialistka, ją najbardziej interesowało, co moja babcia jej przepisze. W schronie było jedno wyrko na rodzinę. Oni we trójkę by się zmieścili, ale ja czwarta to już się nie dawało. Tatuś klęczał i tylko opierał głowę, ona grymasiła: „Połóż się koło mnie, niech trochę dzieci pokłęczą”. Aż znajomy przyszedł: „Zygmuś, jest wyrko wolne po drugiej stronie”, i tatuś tam poszedł. Ta druga strona się zawaliła i tatuś zginął. Mamusia zrobiła się taka nieprzyjemna dla mnie, że to przeze mnie to nieszczęście, bo gdyby nie ja, toby im starczyło miejsca. Wołała do mnie „Ty Żydówo” i dalej bicia, przekleństwa. Niemcy nas wygonili z bunkra, pędzili nas grzecznie pieszo do Pruszkowa, nie bili. Koło mnie szła pani z dwójką malutkich dzieci, nie miała już siły i ja od niej wzięłam na ręce starsze dziecko. W Pruszkowie spaliśmy wszyscy na klepisku, trochę słomy nam rzucili. Moja mamusia coraz więcej wariowała, coraz więcej mnie wyzywała od Żydów. Z wściekłością rozcinała mój płaszczyk, szukając, co tam jeszcze może być. Ta pani, której dziecko niosłam, powiedziała, że ja tu nie mogę zostać, ona słyszy, co wokół mówią. Ma rodzinę na wsi, starają się ją stąd wydobyć i ona mnie ze sobą weźmie. Zostałam dopisana do jej przepustki. Wyszłam z nią z obozu, czekała furmanka, ale mnie nie chcieli zabrać. Rozpłakałam się. Ona powiedziała: „Dziecko, musisz sobie radzić. Jesteś tu bezpieczniejsza niż tam”.

W relacji złożonej dla Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu” Alina opowiadała: „Błagałam, żeby mnie nie zostawiała. To był najgorszy moment w moim życiu, to, co przeżyłam w getcie, było niczym. Zostałam sama na świecie. Bez niczego, bez pomocy, bez opieki. Nie wiedziałam, co mam robić, dokąd pójść”<sup>7</sup>.

„A czy Alka ma mówić prawdę? – pytał w opowiadaniu Wojdowski. – I co komu do tego? Prawda jest inna i straszna. Pali się żywcem i lepiej jej nie dotykać gołymi palcami”.

Historia opowiedziana przez Alinę Ł. w relacji dla stowarzyszenia odbiega czasem od tego, co przekazała mi kilka lat później. W tamtej wersji Alka – przed wojną Małka, na którą mówiono Majka – ucieka z powrotem do babci w czerwcu lub na początku lipca 1942 roku, tuż przed wielką akcją. Wkrótce zamieszkuje z nimi – braci Alki już wtedy z nimi nie ma – jej ciotka z maleńkim dzieckiem. „Rozpoczęła się likwidacja getta, zaczęły się wywózki. Niemcy wyganiali ludzi z domów, w każdej chwili mogli przyjść po nas. Babcia strasznie się o nas bała, codziennie zamykała nas w schowku pod oknem, zastawiała go stołem, siadała na krześle i... czekała. Dwa razy cudem się uratowała – niemiecki żołnierz wszedł do mieszkania, rozejrzał się i widząc starą kobietę, wyszedł. Cuda jednak nie zdarzają się co dzień – kolejny przeszukujący domy żołnierz strzelił do niej. Ciężko ranna zdołała jeszcze doczołgać się do okna i wypuścić nas (ciocię z dzieckiem i mnie) ze schowka. Ciocia próbowała zatrzymać krwotok, ale jej starania nic nie dały. Po kilku godzinach babcia umarła z upływu krwi”<sup>8</sup>.

Jak zatem było? Czy Gołda Gotlib została postrzelona i zginęła w czasie wielkiej akcji latem 1942 roku, a Małka jeszcze przez dziewięć miesięcy przebywała w getcie, czy też Gołda Gotlib zmarła w czasie powstania w kwietniu 1943 roku, Małka przed ucieczką włożyła przyszykowane dla niej przez babcię ubrania, a potem starannie przykryła ją kocem?

Wydawać by się mogło, że rozmowa z Aliną Ł. pozwoli mi ustalić, co w opowieści Wojdowskiego jest prawdą, a co fikcją. Ale co jeżeli literackie przetworzenie Wojdowskiego jest bliższe tużpowojennej opowieści bohaterki, niż to, co zadomowiło się po latach w jej pamięci?

## 5

Alka ze *Ścieżki* ułożyła sobie, jeszcze za murem, że pojedzie pociągiem do Łowicza. Miała tam rodzinę. Pewnie dawno już nie żyli, ale nie chciała o tym myśleć. „Na myślenie przyjdzie czas. Na myślenie zawsze jest za wcześnie albo za późno. Nigdy w porę”.

wie...

- I wszędzie goła lata?

- A jak.

- Jezu.

- Jak z dołu wyszła, bez gałgana żadnego. W lesie śpi, to liś-  
ćmi się przykrywa. Nagarnie liści i się w tą kupę zagrzebuje. W zbo-  
żu śpi, to słomy narwie i się tą słomą okryje. Jak ją pastusi kamie-  
niami przegnają, to precz ucieka. ~~Jak świnia dzika~~. W błocie utyła-  
na, że pyska nie widać.

- Ucieka?

- A ucieka, gdzie może.

- Jezu, namarnowali narodu!

- A jak. Nie można powiedzieć. Ale krowy gubią mleko.

- Nie może być.

- Oubią. W Babicach, w Lipkowie, w Zielonkach...

- No, jak już zmore chodzi koło wsi.

- Nie zmore, Żydówica. Goła po polu lata, to się i krowy zale-  
kły.

- Nie może być!

- A znów Migoł, Władków syn, jechał wczoraj po liście do lasku.  
Tutaj, za kolonią niedaleko. Ledwo wyjechał za Oltarzew. Kupił liści  
zgarbia na wóz, jedną, drugą. Patrzy, a tam trochę dalej coś leży  
w kupie liści zagrzebane. I się trzęsie z zimna.

- Pod liściem, mówisz.

- A jak. Podnosi widłami te liście i przygląda się, co to też  
takiego może być.

- Ona?

- A jak. Ręce składa, klęka i na kolanach modli się do niego:  
"Gospodarzu, nie wydaj ty mnie. Zlituj się nade mną." I tak precz,  
dalej to samo.

- Nie wyda?!

- Co tam miał wydać. Splunął tylko i pognał gołe babsko batem

*Brosz.  
(Brosz.)  
nie, kullu sp  
nie, cosko moja!  
(Liz)  
Brosz. nie k. Brosz.  
na fute!*

Fragment maszynopisu opowiadania *Ścieżka* Bogdana Wojdowskiego  
z odręcznymi poprawkami autora

Biblioteka Narodowa

Getto w Łowiczu było już zlikwidowane, kręciła się po okolicy. „Słyszała w ciszy głosy dawno niesłyszane. Widziała twarze dawno niewidziane. Cisnęły się razem do niej. »Oszukałaś cały świat i żyjesz!« Kto krzyknął z głębi odrętwiającego snu? Kiedy ocknęła się, nie mogła sobie przypomnieć. A przed chwilą byli tutaj z nią, wszyscy. Powtórzyła: »Oszukałam cały świat i żyję«. I odtąd powtarzała to stale, prawdę odkrytą przez nią we śnie”.

„Szła ciągle nocami. Szukała ostatnich na polu stogów i w nich przesypiała dnie”. Zagrzebana w stercie siana podsłucha rozmowę chłopów. „Zmora chodzi koło wsi” – mówił jeden. „Nie zmora, Żydowica” – mówił drugi. Uciekła.

Jednej nocy „usłyszała za sobą jakieś chodzenie. Tłum! Cały tłum ludzi wyrósł spod ziemi [...]. Tłum słał się już ze zmęczenia. Dźwigając tobołki, walizki i dzieci, posuwał się otoczony luźnym konwojem i grzął w tym piachu. Nie padł ani jeden strzał, a oni szli bez zatrzymania i tylko przekładali z ręki do ręki ciężary, i tylko podawali sobie nawzajem dzieci. [...] Szli zgarbieni, patrząc pod nogi, i żadne spojrzenie nie zwróciło się w bok. [...] Wszyscy z opaskami na rękawie. [...] Ciągnęli i ciągnęli, a jej się zdawało, że to się nigdy nie skończy. Żywi, a cisi jak cienie”. Ktoś osłabiony osunął się na ziemię. Żandarm strzelił. Żydzi poszli dalej. Na drodze został trup i porzucone tobołki. Gdy już się rozwidniło, znalazła zostawiane bagaże, wybrała koszulę, kieckę, gruby sweter, chustkę, pod którą ukryła włosy, i „butelkę z rozcieńczoną kawą zabieloną mlekiem, którą chciwie wypija. Butelka była nagrzana, a lura ciepława. Ci, którzy ją porzucali, już dawno wystygli”.

Zauważyła kręcącą się w tej samej okolicy dwójkę Żydów, ktoś zostawił im pod lasem jedzenie. Krążyła wokół nich z oddali, marzyła, żeby do nich dołączyć. Po dwóch dniach zdecydowała się podejść do kobiety, ale ta zaczęła uciekać. Alka krzyczała za nią: „Nie bój się mnie! Ja jestem z getta!”, ale to tylko przyśpieszyło ucieczkę.

Innym razem był mróz, szła głodna, odrętwiała, gdy zobaczyła na pustym podwórzu parujące koryto z pomyjami. „Zanurza ręce w gęstej bryi, wyławia parowane kartofle z otrębami i krztusząc się, połyka gorącą karmę. Kiedy unosi oblaną twarz, widzi nad sobą tę kobietę z wiadrem mleka.

– Poczekaj – mówi i wylewa zawartość kubła do koryta. Miesza siekaczem raz i drugi, a potem usuwa się na bok. – Masz, jedz”. Gospodyni wyniosła jeszcze kawałek chleba.

Była zima, trawiła ją gorączka, szła i idąc, zapadała w sen, gdzie „nie była sama. Szli, szli obok. Jedni żywi, drudzy dawno temu martwi. Nie mogła ich odróżnić”. Jednego razu zgarnął ją przejeżdżający furą chłop. Ocucił, nacierając jej twarz śniegiem, załadował na wóz, ukrył w swoim gospodarstwie, w szopie. Ostrzegł, że ma się pilnować: „U mnie cicho. Nikt tu nie zachodzi. Ale kobita... suka!”. Nie minęło kilka dni, gdy Alka usłyszała gwałtowne szarpnięcie drzwiami, zobaczyła w nich młodą kobietę i usłyszała jej krzyk: „Tu jest!

Ta cholera czarna! Bierzcie ją!” Dwóch żandarmów zabrało Alkę i chłopca na posterunek. Chłopka „wlokła się za nimi z jękiem.

– A cóżem zrobiła! Mnie przyrzekli, że ciebie nie wezmą, Pietrek. Obiecali, tylko tę przybędę... Oj Pietrek, Pietrek!”. Żandarmi wrzucili Alkę do piwnicy na kartofle, gdzie na rozstrzelanie czekała już para starych ludzi i młody chłopak, Szulim, z rękoma związanymi drutem kolczastym. Rozwiązała mu ręce, razem przez dzień i noc ryli zamrażającą ziemię, aż wydrążyli tunel na zewnątrz.

Szli „dalej przed siebie swoją własną żydowską, dziadowską ścieżką”. Wynajmowali się do pracy po wsiach, słuchali opowieści o mordowaniu Żydów. Jeden chłopak opowiedział im, gdzie w lesie Żydzi mają swoje bunkry. Szulim chciał, by do nich dołączyli. „Trzeba wrócić do swoich” – mówił. „Musimy uciekać od swoich” – tłumaczyła mu Alka. Więc się rozstali. Alka wynajmowała się dalej do pracy u gospodarzy, a jak zaczynali w okolicy dopytywać, co to za jedna, zmieniała miejsce. Jeszcze raz zobaczyli się z Szulimem, na krótko, gdy jemu udało się uciec z obławy na bunkry. Była znów sama, kiedy złapał ją volksdeutsch.

Spotkanie z volksdeutschem w wydaniu książkowym zostało mocno okrojone przez cenzurę, oto wycięty fragment z „Folks-Sztyme”:

„Po co to wszystko? Zwolniła; twarda pięść wylądowała natychmiast na jej twarzy.

– No, zarazo. – Przed nimi rozciągało się pole żyta, kołysane ledwie wiatrem, białe w słońcu, drżące od blasku i syku owadów. Alka, nie odwracając się, szła dalej.

– Dlaczego pan nie strzela? Po co się wlec taki kawał drogi w taki upał, panie folksdojcz?”.

Doszli do miejsca na rozstaju, gdzie stała figurka Żyda frasośliwego.

„– Stój. – Ułamał pręt leszczynowy, świsnął nim w powietrzu. – A coście z Jezusem, Żydzi, zrobili. Widzisz? [...]

– Nie strzelam, bo w Łowiczu płacą za każdego Żyda. Wiesz już? – Smagnął ją giętym prętem po karku. – Dobrze mi zapłacą. [...] A wiesz, co robią z Żydami, kiedy złapią?

– Nie wiem, panie.

– Mało wiesz. Żyda złapią, dół każą mu wykopać i wejść do tego dołu. Na gołego. Zastrzelą i zasypią. A jak więcę łebków, to ich trzeba zasypać,

a potem dobrze zdeptać. Zdeptać i łopatą przyklepać. Wiesz po co? Ty ciemnoto?

– Nie wiem, panie.

– Żeby gadzina z dołu nie wypęzła. Trzeba zabić i rozdeptać. O – machnął raptem prętem po karku.

– Nie bij, panie.

– Patrzcie ją, jaka. [...] W Łowiczu, w Łowiczu duszę z ciebie wytłukę. Ma Żyd duszę?

– Nie wiem, panie, nie bij.

– A widzisz, nie ma.

– Nie ma, panie.

– Tak by i zobaczyć, czy z flakami czegoś jeszcze nie da się wypuścić. Może tam coś osobliwego w Żydzie siedzi.

– Nic nie ma, panie.

– Nie kłam. Jak by nic nie było, to co by do piekła szło? A Żyd po śmierci do piekła idzie, bo niechrzczony. Ty mi nie mów. Jaką tam czarną żydowską duszę musi mieć. To właśnie w nim najgorsze.

Kopał i bił prętem, w szale.

– Nie bij, panie.

– Żydzi umęczyli Chrystusa, mów.

– Tak, panie.

– Biczowali go, mów.

– Tak, panie”<sup>9</sup>.

Ta scena zamęczania Alki ciągnie się jeszcze długo, uprzytomniając nam, jak mogły wyglądać ostatnie chwile schwytanych Żydów, ile jeszcze czekało ich udręki przed samą śmiercią.

Z rąk volksdeutscha ratuje ją partyzant Władek. Daje jej list do swojej matki, pisze, żeby kobieta przyjęła dziewczynę w gospodarstwie, bo jest „ważną dla sprawy osobą”. Tam Alka doczeka końca wojny.

## 6

Alina Ł.:

– Wiedziałam, że mam wujka w partyzantce za Kielcami, niedaleko Świętego Krzyża, tę nazwę zapamiętałam. Wsiadłam w pociąg. Wsiadłam na

małej stacyjce. Akurat była łapanka na roboty, wpadli Niemcy. Miałam ze sobą ten pocięty płaszczyk, że pocięty, to od razu wskazywało, ale szkoda mi było go zostawić, bo tylko to miałam ciepłego. Tam były dwa pomieszczenia na stacji, jedno tylko dla Niemców. Ze strachu zgłupiałam i weszłam właśnie tam. Stoję, bo jak siądę, to tym bardziej śmierć będzie mi się należeć. Doszedł do mnie Niemiec, mówił po polsku, prosił, żebym usiadła. Dużo się śmialiśmy, a jak podjechał pierwszy pociąg, to mnie do niego doprowadził. Wsiadłam pod Kielcami, nazwa stacji była podobna do tej, co wujek napisał. Chodziłam tak ze trzy tygodnie, poniewierałam się po ludziach, nie przyznawałam się, ale było widać. Bardzo się poniewierałam, bardzo było mi ciężko, w stogach spałam i czekałam, że pójdę do tego lasu, gdzie wujek. A już dalej co było... odchodzi ode mnie pamięć.

– W *Ścieżce* Alka spotyka dwójkę Żydów, zaczepia kobietę, która od niej ucieka.

– Zobaczyłam rodzinę w środku lasu, dwoje dorosłych, dwoje dzieci, nawet nie mieli wykopanego dołka, tylko legowisko rozrzucone w lesie. „My jesteśmy Cyganie”, powiedzieli mi. Mówiłam: „Mnie nie obchodzi, kogo udajecie, nie bójcie się, dajcie mi chociaż jedną noc z wami zostać”. A oni, że nie, że jak sobie nie pójdę, to oni pójdą ze mną do Niemców. Bałam się sama w lesie, więc poszłam na wieś, schowałam się w stogu. Trzeba było wydrążyć w stogu dziurę, całe ręce miałam pokrwawione, owijałam je chusteczką, ale przebijało. Wydłubywałam snopek, wyciągałam go i już miałam dziurkę. Wchodziłam w nią i pomалу nogami ryłam sobie takie legowisko, a tym snopkiem zamykałam dziurę.

– A człowiek się tam nie dusił?

– Nie. W stogu świetnie pani śpi, ma pani dużo powietrza. Jak wychodziłam, wkładałam z powrotem snopek, żeby nic nie było widać. Taka sprytna byłam. Bo przecież chłopci by zabili za zniszczenie stogu, dogoniliby mnie i zabili. To ja patrzyłam, żeby nie zrobić szkody.

– W *Ścieżce* chłopci gadają. Jedni, że zmosfera chodzi, drudzy, że Żydówka po polach biega. Alka przysłuchuje się im z ukrycia i ucieka.

– Słyszałam rozmowę dwóch kobiet. To było raz, jak zobaczyłam otwarte wrota, stajnia, fajny konik, chciał mnie z początku ugryźć, ale potem nie, jak go pogłaskałam. Zasypiam w żłobie i słyszę głosy, że się tu kręci jakaś Żydówka czy Żyd, oberwaniec jakiś. Przecież ja byłam oberwana. Nad ranem wymknęłam się z powrotem do stogu. Raz zobaczyłam budę i się w niej



skryłam, a tam były jabłka. Jadłam je całą noc i powtarzałam: „Boże, daruj mi”. Czułam się poniżona, nic niewarta, złodziejka. A innego razu przybłąkał się pies. Wzięłam trochę słomy, zrobiłam legowisko, pies się koło mnie położył. Całowałam go, przytulałam, mówiłam: „Nie odchodź ode mnie”, i tak zasnęłam. Rano się obudziłam, pies przy mnie. Nogi miałam całkiem oszronione, gdyby nie pies, pewnie bym tej nocy zmarzła. Pogrzeb szedł i ja marzyłam, żebym to ja była w tej trumnie i nie czuła więcej mokrych nóg.

– A te gorące kartofle, które Alka je z koryta dla świń?

– Stóg, gdzie spałam, był niedaleko gospodarstwa. Gospodyni wysypała ciepłe ziemniaki, para do mnie doszła. Byłam taka głodna, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie ukraść. Poparzyłam sobie ręce, jak chowałam bryły ziemniaczane do kieszeni. Znowu poszłam do lasu szukać wujka. Szłam, aż natrafiłam na wieś. Na progu jednego domu siedział młody chłopak z karabinem i do mnie: „Kto ty jesteś, szpieg niemiecki?”. Tak mnie przestraszył, że odpowiedziałam: „Jestem Żydówką”. A on: „Może jesteś głodna?”. Przedstawił się, że ma na imię Jan, a ja się przedstawiłam według nowego dowodu, Alina. Nakarmił mnie. Był w grupie partyzantów, która się schroniła w opuszczonej wsi. Któryś z nich miał przewieźć furę z bronią i on się zgłosił na ochotnika, chciał mnie zabrać w bezpieczne miejsce, do swojej rodziny. Jechaliśmy wozem. Zobaczył Niemców i mówi: „Całuj”. Nie wiedziałam, że pode mną jest broń. Całowałam go z przyjemnością. Zostawił mnie u swojego brata, wieś Lipienice, gmina Jastrząb. Bardzo dobrzy wszyscy byli dla mnie, tylko że w kółko było o Żydach. A ja myślałam: „Czy oni tak mówią, bo coś wyczuwają?”. Miałam wrażenie, że jego brat wtedy na mnie spogląda.

– A co mówili?

– No na przykład jak dzisiaj gonili Żyda, jaką obławę zrobili, jak wykryli kryjówkę z Żydami. Nie było jednego dnia bez mówienia o Żydach. Przeżyłam tam do końca wojny.

## 7

O Wojdowskim:

– Spotkaliśmy się po latach przypadkiem. Byłam zaproszona na obiad, okazało się, że do jego ciotki. Zaniemówił, łzy mu pociekły z oczu. Siedziałam

koło męża, a przyrzekaliśmy sobie z Bogdanem, że zawsze będziemy dla siebie. Jeszcze wojny nie było, jak się poznaliśmy. Przychodził na moje podwórko. Babcia dawała mu obiad. Byłam raz na obiedzie w jego domu. Dopiero długo po wojnie się dowiedziałam, że jest dwa lata ode mnie młodszy. Byłam w pierwszej klasie, on mnie odwiedzał z tornistrem, musiał od kogoś pożyczać, żeby przede mną udawać.

Bogdan, wtedy Dawid, Wojdowski, mieszkał na rogu Towarowej i Srebrnej, tuż przy torach kolejowych. Kawalek drogi do Małki na Kruczą, kilka przystanków tramwajem, a jeszcze trzeba dojść. Skąd wziął się na Kruczej, tego nie wiedziała, pojawił się jednego dnia wśród podwórkowych dzieci.

– On był łobuziak, ja to samo. Cała Warszawa była nasza. Kiedyś dostałam w skórę, że byłam z nim nad Wisłą. Biliśmy się, przepraszaliśmy. Od babci dostawałam bure: „Łobuzica, tak chłopaka drapać?!”. W domu to był śmiech, jak go przyprowadzałam, że narzeczony przyszedł. Obok nas był park i duża piaskownica. Bawiliśmy się w ślub w tej piaskownicy. Bogdan rysował zamek na piasku i mnie do tego zamku wnosił, wiedział skądś, że się wnosi narzeczoną. Ksiądz nam dawał ślub. Nie, nie rabin. Był kościół blisko naszego domu, chodziliśmy oglądać śluby, dlatego byłam jego narzeczoną. Kazał mi śpiewać „gorzko, gorzko!”. W getcie mieszkaliśmy niedaleko i byliśmy ze sobą bardzo blisko. Przedtem nie miałam tyle czasu, chodziłam na zajęcia muzyczne, babcia mi kazała odrabiać lekcje. W getcie mieliśmy dużo wolności, dorosłym inne rzeczy były w głowie. Prowadziliśmy się za rączkę. Raz mocno zachorowałam i babcia załatwiła mi wyjazd na wieś. Było lato, opaliłam się przy pasaniu krów. I on się wtedy naprawdę we mnie zakochał, w tych opalonych nogach. Powiedział: „Ty jesteś moją narzeczoną”, tak jakby to miało być na wieki. Miałam już wtedy dwanaście czy trzynaście lat, a siedem, jak się poznaliśmy. Nie, nie szukałam go po wojnie, nie wpadło mi do głowy, że żyje. A on gdzie miał mnie szukać? Miałam kontakt z kuzynką w Izraelu. Pisałyśmy do siebie. Raz dostałam od niej list, że w Warszawie mieszka ciotka jej męża, Ida Bark, i ona czeka na mnie jak na swoją rodzinę<sup>[16]</sup>. Odwiedzaliśmy ją z mężem. Nie wiedziałam, że jest ciotką Bogdana. Jednego dnia przyszedł tam na obiad. Ja go wcale nie poznałam, a i on mnie nie od razu, dopiero po śmiechu. Podszedł: „Majka?”. To ja: „Majka. A jedna Majka jest na świecie?”. A on: „Majka-Małka?”. Chwyciliśmy się w objęcia. Kiedy go spotkałam, to był 1952 rok, miałam męża i dwójkę małych dzieci. Błagał, żebym z nim została, wyjedziemy razem do Izraela, mówił, on zaadoptuje dzieci. Uwielbia dzieci

i nie może mieć własnych. To było po najściu szmalcowników, Jadzia zdecydowała, że trzeba go zoperować. Sięgnęli mu za głęboko i wprowadzili infekcję. Był mężczyzną, ale dzieci nie mógł mieć.

Jadzia to Jadwiga Koszutska, w której warszawskim mieszkaniu przez jakiś czas ukrywał się Wojdowski. Pokój z kuchnią w osiedlu robotniczym przy Obozowej 92, w którym mieszkały razem dwie komunistki Jadwiga Koszutska i Jadwiga Bilwin, służył jako punkt konspiracyjny i przerzutowy. Stąd kierowano Żydów do partyzantki, a lekarze przeprowadzali operacje „aryzacji” nosów i napełków<sup>10</sup>. „Tam przeżyłem małą operację plastyczną – pisał Wojdowski – którą wykonał chirurg Wilczer, Żyd ze Lwowa, ukrywający się w tym samym mieszkaniu. Sam chodziłem po lekarstwa i nici chirurgiczne do wskazanych mi składów aptecznych, bo tych operacji było więcej”<sup>11</sup>.

Alina Ł.:

– Bogdan był bardzo zdolny, szybko po wojnie zdał maturę. Namawiał mnie, żebym się uczyła, ale dzieci były wtedy małe. Niektóre historie kazał mi opowiadać od początku i znowu. Najbardziej lubił słuchać, jak gorące ziemniaki przeznaczone dla świń jadłam rękoma i mnie parzyły, wtedy się śmiał. Mówił: „Nie ma książki, żebym o tobie nie napisał”. Ja tego nie widzę, no, może jakieś wycięte zdania rzucone tu czy tam. Zawsze po swojemu pisał, nie lubię jego książek. Mało czytałam tego, co napisał, bo nie mogę, to są trudne sprawy do przeżywania. A on się do tego pisania rwał, ja mu odradzałam. Uważam, że to było dla niego niedobre. Wracał do tego, co trzeba zapamiętać.

## 8

Wojdowski twierdził, że istotne sytuacje i kluczowe perypetie ze *Ścieżki* wydarzyły się naprawdę, że – jak napisał – dużo zniekształcał, ale mało dodawał. Do kogo zatem należą opowieści, które nie są opowieścią Małki? Jej zdaniem połączył jej losy z losami swojej znajomej, z którą zdawał maturę i którą szczegółowo wypytywał o ukrywanie się, zanim wyjechała do Australii czy Kanady. Ale z kolei Ficowskiemu mówił o jakiejś kobiecie, która przysłała do niego przepisać podanie, Liberze podał prawdziwe nazwisko Aliny. Dlaczego kluczył?

Sam nigdzie nie opisał swojego ukrywania się po wsiach, jego po części autobiograficzna powieść *Chleb rzucony umarłym* zamyka się w czasie, kiedy

był w getcie warszawskim<sup>12</sup>. A może jednak opisał swoje dzieje? Może własną wiejską wędrówkę zrekonstruował właśnie w *Ścieżce*?

Wtedy też fragmenty wcześniejsze, z getta i opis wydostania się w Warszawy, mogłyby być jego opowieścią.

W *Ścieżce* Wojdowski pisał o rodzicach bohaterki: „Rodzina poszła na Stawki [na Umschlagplatz] dawno temu, jakieś trzy miesiące temu. Starzy szli i trzymali się za ręce. Walizeczka, plecak, jedzenie i trochę bielizny, jak na letnisko”. Ale rodzice Małki już przecież wtedy nie żyli. O swoich rodzicach Wojdowski zanotował: „Po nieudanej próbie ukrycia się ojciec poszedł z matką do transportu i zginęli oboje prawdopodobnie w Treblince”<sup>13</sup>. Może widział, jak szli?

Po wyjściu z getta schludnie ubrana Małka przeszła bezpiecznie przez miasto, tak mi przynajmniej opowiedziała. Alka ze *Ścieżki*, osmalona dymem, ze spalonymi rzęsami i brwiami, w podartym, brudnym ubraniu, staje się łatwym łupem dla gangu młodocianych szmalcowników. To wygląda na opowieść o Dawidzie Wojdowskim. Kilkakrotnie miał do czynienia ze szmalcownikami, w tramwaju i na ulicy. Napisał o tym opowiadanie, które wydaje się autobiograficzne, jego bohater ma tak jak on trzynaście lat, a prześladowający go „najmniejszy szmalcownik” – dziesięć, a może nawet mniej<sup>14</sup>.

Jacek Leociak w eseju *Ścieżka losu* pisze: „Każde miejsce, które mija na swej drodze bohaterka opowiadania Wojdowskiego, da się odnaleźć w terenie. Żadna nazwa osady, wioski, rzeczki nie jest przypadkowa, nie jest zmyślona, lecz ma swój konkretny odpowiednik zarówno na mapie, jak i w realnej topografii. Nawet cokolwiek dziwnie brzmiąca Pysia Gągolina jest nazwą rzeczki przepływającej obok Żyrardowa i Mszczonowa, którą Alka przekracza, kierując się z Radziejowic w stronę Puszczy Mariańskiej. Można bez trudu wykreślić na odpowiednio szczegółowej mapie trasę jej wędrówki”<sup>15</sup>.

Alina Ł.:

– Te wszystkie miejscowości to są jego, nie moje.

Ukrywała się gdzie indziej, w świętokrzyskim. A też ukrywała się krótko, trzy, cztery miesiące, od połowy września 1944 roku do początków stycznia 1945, kiedy znalazła się na terenach wyzwolonych przez Rosjan. U Wojdowskiego jej czas ukrywania jest znacznie dłuższy: od kwietnia 1943 roku do końca wojny.

To Wojdowski ukrywał się na wsi od kwietnia 1943 roku do końca wojny (z przerwą na powrót do Warszawy). Krótko o tym tu i ówdzie wspomina, we wstępie do *Chleba rzuconego umarłym*, w życiorysach, które pozostały w jego papierach, to wszystko śladowe informacje. Nie opowiadał o tym Alinie, nie opowiadał żonie Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej – obie o to pytałam.

Pisał, że dostał kontakt do warszawskiego szmuglera i jako jego pomocnik na trasie Warszawa–Ostrołęka w jedną stronę woził rąbankę, w drugą zamki od rusznikarza. To z nim trafił do wsi Leszczydół pod Wyszkowem – wsi, której nazwa kilka razy przewija się w *Ścieżce* – gdzie wynajął się do pasania bydła. Spotykał tam grupę młodych Żydów partyzantów, którym przynosił wiadomości i żywność. Potem był znów w Warszawie, a w czasie powstania uciekł pod Ożarów<sup>16</sup>. Znowu okolice ze *Ścieżki*.

Małka nie mogła widzieć kolumny Żydów z dziećmi pędzonej na śmierć. Kiedy uciekła na wieś, po powstaniu warszawskim, getta już dawno zlikwidowano, nie było kogo prowadzić. Czy taką kolumnę mógł widzieć Wojdowski, gdy pasł bydło w Leszczydole? Mogłaby to być kolumna Żydów z jednego z obozów pracy, ale wtedy nie byłoby w niej dzieci. Mogła to być wytropiona grupa Żydów ukrywających się w bunkrach, ale wtedy nie mieliby opasek z gwiazdą Dawida na rękawach.

Wojdowski jest też obecny w *Ścieżce* jako oddzielna postać, żydowski chłopak, młodszy od Alki, którego dziewczyna spotyka – już po wyzwoleniu – niedługo po przejściu frontu.

„Przy drodze siedział czternastoletni może chłopak i uważnie ją śledził z daleka. Później zauważyła, że idzie za nią w pewnym oddaleniu. Podeszła blisko parę kilometrów dalej i zanim przemówił – nabrał tchu:

– Proszę pani... czy nie widziała pani gdzieś po drodze takiego starego Żyda z wozem, który kupuje dzieci? Szukam, szukam i nie mogę go znaleźć!

Na głowie miał granatową narciarską czapkę, potężnych rozmiarów drewniaki na nogach – każdy z innej pary – i nieforemne, z koca wojskowego uszyte spodnie. Palta na nim nie zauważyła. Chciała uciekać, ale się przemogła.

– Nie. Nie widziałam. A ty kim jesteś?

– Żydem, proszę pani.

Zawahala się.

– Pójdziemy razem?”.

Powiedział, że od razu rozpoznał w niej Żydówkę. Ale przedstawił się nazwiskiem z fałszywych papierów. Staś Kamiński z Włodzimierza

Wołyńskiego. Szeptem dodał, że tak naprawdę jest z Warszawy, z małego getta, z ulicy Waliców.

Dokładnie jak Wojdowski. W getcie mieszkał na Waliców. Miał okupacyjne dokumenty na nazwisko Bogdan Kamiński z Włodzimierza Wołyńskiego, po wojnie zostawił sobie z tego tylko imię<sup>17</sup>. Nawet ubranie pasuje. „Ruszyłem w tę drogę pełen złych przeczuc, milczący, dziki, ponad swój wiek smutny chłopiec, odziany w spodnie z wojskowego koca, w za duże drewniaki, z pożyczoną czapką. Był zimny, głodny rok 1945 i wiedziałem już o historii wszystko, co wiedzieć można. Wahałem się, czy swoją przyszłość nazywać jeszcze życiem, czy już śmiercią” – opisał<sup>18</sup>.

W *Ścieżce* opowiada Alce, że widział „więcej trupów niż cała kompania wojska zobaczy stąd do Berlina”. Ale gdy ona chce go pogłaskać po włosach, wybucha agresją:

„– Zostawcie mnie w spokoju, ludzie. Czego wy ode mnie wszyscy chcecie? Czy prosiłem się na ten świat? Wszystkich was zamknąć... wszystkich pod ścianę postawić i rozwalić!

Bezradnie słuchała tego krzyku i serce krajało jej się na kawałki. Nie rozumiała, dlaczego krzyczy, ale i nie musiała niczego rozumieć. Wiedziała przecież wszystko”.

Rozstaje się ze Stasiem, gdy spotykają starego Żyda z wozem i Staś się z nim zabiera.

„Brodaty furman w niechlujnej kapocie” próbuje wcisnąć jakiemuś chłopu dolary za niewielką dziewczynkę o „suchym pyszczku” i wielkich czarnych oczach. „Bierz, jak daje” – mówi do niego żona. „Józek, bój się Boga, to dolary” – naciska dalej.

„Jak pan tak może!” – oburza się Alka na żydowskiego furmana.

„– Jak ja mogę? Sam siebie pytam. Panienska pójdzie swoją drogą. A ja? Cały dzień patrzę na tę nędzę. Ja muszę być i tate, i mame, i sklepik spożywczy na rogu. Wołają jeść, daję jeść. Wołają pić, daję pić. I jadę dalej. Jak ja to mogę robić? A jak dla paru głupich, nieważnych groszy zamorduje mnie bandyta po drodze? Co? Ja mogę inaczej? Na tej furce mam wszystkie pokolenia Izraela, a w kieszeni kasę. Zbieram drobiazg po drodze i płacę pieniądze. I jadę dalej. A czy ja nie wiem, że poniekąd któryś gospodarz nie chce oddać dziecka za nic? To co ja robię? Ja namawiam, jak długo mogę. Ja targuję się o wszystkie pokolenia Izraela razem. Te, które są, i te, które dopiero będą. I jadę dalej...”

A panienka pyta. Jak ja to mogę robić. Oj-oj, mnie lekko. Panience ciężko, a mnie lekko. I jadę z tym dalej”.

Stary Żyd na furmance pełnej żydowskich dzieci, który targuje się o wszystkie pokolenia Izraela – nie było takiego i nie mogło być w powojennej rzeczywistości. Owszem, Żydzi poszukiwali po całym kraju pozostałych przy życiu dzieci i niejednokrotnie płacili za ich oddanie polskim opiekunom, ale robili to dyskretnie, po jednym, udając w drodze Polaków, to nie były bezpieczne czasy<sup>19</sup>. Stary Żyd na furmance przynależy do onirycznych postaci starych Żydów z *Chleba rzuconego umarłym*.

## 9

„Człowiek kładzie się spać, wojna, wstaje rano, a tam już wojny nie ma, ale kałuża na drodze stoi jak wczoraj w tym samym miejscu” – napisał Wojdowski w *Ścieżce*.

– Zaraz po wyzwoleniu, jak Ruscy wkroczyli, na wsi byli uchodźcy z powstania i ja z nimi poszłam pieszo do Warszawy. Usiadłam na gruzach getta i płakałam. Przesiedziałam z jedną panią do rana, też płakała, nie powiedziałam, kto ja jestem, broń Boże, i wróciłam na wieś. Niedługo później wrócił Jan.

W *Ścieżce*, zanim pojawi się Władek, Alka staje się obiektem szantażu: „Po dobroci, Alka, dasz?” – dopytuje ją Kazek harmonista, a gdy dziewczyna wywija się i ucieka, mówi: „Wielka pani... Wiem, kim jesteś. [...] Mam rozgłosić, Alka? A nie będziesz później żałowała?”. Ona mu odpowiada, że jest po słowie z Władkiem. „On z tobą, Alka? On chrzczony. A ty?” Alka zabiera go do stodoły i przyzwala na gwałt za cenę milczenia.

Przypomnijmy, jest już po wojnie.

Alina Ł. pamięta inną historię, zaraz po powrocie Jana.

– Mąż w czasie wojny pomógł ukryć się swojemu koledze ze szkoły. Tego kolegę zabierał teraz wujek do Ameryki i jak przyszedł przed wyjazdem mężowi podziękować, to Jan się pochwalił, że przechował Żydówkę. Spodobałam się temu koledze. Akurat sprzedał rodzinną piekarnię, chciał mężowi dać pieniądze, a mnie ze sobą zabrać. Przyszłemu mężowi, ja nie byłam jeszcze jego. On nie chciał mnie zhańbić, bardzo dbał o moją opinię. Ja wtedy trochę myślałam, żeby z tym kolegą pojechać. „Ja ci uratowałem życie, a ty chcesz mi życie zabrać?!”, krzyczał do niego Jan. „Jakie życie?” „Ona jest

moim życiem”. Gonił go, rzucił te pieniądze, pobili się. Wtedy go pokochałam na dobre. Miałam siedemnaście lat, jak się pobraliśmy, mąż znalazł mi metrykę, gdzie miałam dziewiętnaście, żeby lepiej wyglądało. Całe życie o mnie dbał. Po wojnie wszystkie choroby łąpałam, chodzić nie mogłam, tak mnie stawy bolały. Lekarz powiedział, że trzeba mi podać penicylinę, bo może być ze mną źle. Mąż był gotów krowę i konia sprzedać, ale penicyliny nie dało się kupić, w Polsce były tylko próbki i trzymała je dla siebie władza. Ale jego kolega potrzebował kandydatów do partii, nikt się nie palił, więc Janowi obiecał, że jak wstąpi, to mu penicylinę załatwi. I tak było. Mąż od 1946 roku był w PPR. Ja się nigdy do partii nie zapisałam.





Fotografia ślubna Aliny i Jana, 1945

*Dzieci Holocaustu mówią...*, t. 5, red. Anna Kołacińska-Gałzka, Warszawa  
2013

Wojdowski pisze w *Ścieżce*: „[Władek] robotę dostał w zakładach naprawczych taboru kolejowego [...], gdzie zatrudnili go za stolarza [...]. Alka zarabiała trykotażem, kupiła prostą maszynę i na niej robiła sweterki, bluzki damskie, co było akurat w modzie. [...] on wtedy jeszcze nie pił, awantur między nimi nie było, później też nie było, chociaż z wiekiem do kieliszka lubił zajrzeć”.

Alina Ł.:

– Miałam biedne, ale dobre życie. Mąż nie miał stanowiska, był zwykłym robotnikiem, stolarzem, pracował na kolei w zakładach naprawczych, a jak jego zakład się przekwalifikował i trzeba było tokarzy, to tokarzem. Wzięłam chałupnictwo, dostałam maszynę dziewiarską do domu i robiłam swetry. Ja dorabiałam do domu dobrze. Zaradna byłam. Tam, gdzie mieszkaliśmy, to ja pierwsza miałam i telewizor, i pralkę. Skończyłam trzy oddziały szkoły powszechnej, ale jak córka robiła maturę, też zrobiłam zaocznie. Póki mąż żył, nikt nie wiedział, że jestem Żydówką. Mąż bardzo nie chciał, żebym ja się przed kimś wydała.

– Brat męża też się nigdy nie dowiedział?

– Dowiedział się. Ktoś mnie wydał, komu ja się przyznałam.

„Ja się przyznałam”, „on mnie wydał” – moja rozmówczyni nie widziała nic dziwnego w używaniu tych sformułowań, opowiadając o powojennych czasach.

– Ale brat nie był pewny. Mówił mężowi: „Ja nie wierzę ludziom, chociaż w każdej bajce jest trochę prawdy. Ale ty jesteś mój brat i ty nie możesz mieć żony Żydówki”. Mąż powiedział: „Ja nie chcę plotek słuchać”. Potem już nie tak dobrze ze sobą żyli. Siostra jego była łagodniejsza, ale też zapytała. A mąż: „Skończmy rozmowę. Jeżeli chcesz być moją siostrą, to to nie jest twoja sprawa”.

Alina Ł. twierdziła, że dowódca oddziału jej męża „wiedział”. Kiedy go zapytał, czy na pewno chce przewieźć broń, bo to niebezpieczna misja, Jan mu powiedział, że ma też Żydówkę do przewiezienia.

– Dowódcę Ruscy wywieźli na Sybir, wrócił po czterech i pół roku, było spotkanie. Wziął mnie na bok. „Wiem, że jesteś Żydówką. A ja ci się przyznam, że wróciłem ciężko chory. I nawet się nie mogę ożenić, to rozumiesz jaką mam chorobę”.

Wstydlivy sekret za wstydlivy sekret.

„Uniosła nagie życie i puste ręce – pisał Wojdowski. – A przecież w ostatniej chwili niektórzy ginęli, po wszystkim też ginęli, w drodze i na progu. Przypadek, nic więcej. Kiedy tyle od przypadku zależy, człowiek przestaje być sobą”.

– Mąż bał się o mnie. O tym pisać nie trzeba i nie będę mówić.

Ale jednak powiedziała. Jej głos przechodził w szept, gdy o tym mówiła.

– Przyjechała z Rosji moja kuzynka z takim szkrabikiem małym, osiem miesięcy, i z mężem, on był wojskowy. Kuzynka miała dom w Kielcach nad rzeczką, na Plantach. Dom zastała zrujnowany, wyremontowała część, a drugą

chciała nam oddać. „Wykończcie sobie dwa pokoje z kuchnią, będziecie mieszkali w mieście”. Mąż tam jeździł z robotnikami. Tego dnia przyjechałam z nim, chciał mi pokazać, co już zrobione. Byłam w ciąży i chciało mi się pić. Weszliśmy do restauracji przy dworcu, żebym wypić herbatę, a tam ktoś krzyczy: „Żydów rzną!”. Zamarłam, a mąż: „Spokojnie, siedź cicho”. Nie chciał nic słyszeć, nic widzieć, tylko do pociągu z powrotem i do domu. Dowiedziałam się dopiero z gazet, chociaż krył je przede mną. Rozpaczałam, chciałam pojechać na pogrzeb, był jeden wspólny wszystkich pomordowanych, ale mąż nie dał mi pojechać, nie dał mi się z nikim kontaktować. Do tej pory wiem tylko tyle, że jakby kuzynka przeżyła, dałaby nam znać. Nazwisko miała nowe, ale z domu Gotlib. Nie mogłam jeść, tylko płakałam, aż ciąża runęła. I w Radomiu zabili znajomego. On nie wiedział, że jestem Żydówką. Mąż go ostrzegał, żeby wyjechał, ale on chciał odzyskać dom. Więcej było takich zabójstw w Radomiu. Mąż się załamał, jeszcze bardziej to wszystko przeżywał niż ja. Nie wolno było w ogóle o tym mówić, nie chciał o niczym słyszeć. Mówił: „Dzisiaj jest taki świat. Nigdy nie byłaś Żydówką, to ci się przyśniło. To był zły sen. Teraz żyjesz dla mnie i ja dla ciebie”. A jak się zdenerwowałam czy płakałam: „Krzycz, krzycz. Będzie ci lżej. Już ci przeszło? Uśmiechnij się. Wszystko jest w porządku”. Bardzo dobry człowiek. Tak że miałam życie piękne. Nie mogę powiedzieć, bardzo piękne życie. Myśmy się przeprowadzili do Radomia, bo ja nie chciałam mieszkać na wsi. Mąż to bardzo chciał, błagał mnie, lubił gospodarkę, już miał plany budować się na wsi, koło brata. Przyznam się szczerze, proszę pani: przez to, że oni tak o Żydach, nie miałam serca do tej rodziny.

– A po pogromie w Kielcach nie myślała pani o wyjeździe?

– Myślałam.

– Jakby się pani zgłosiła do jakiejś organizacji żydowskiej, toby to załatwili.

– Poszłam. Ale powiedzieli, że tylko ja mogę wyjechać, a mąż dojedzie później, w ramach łączenia rodzin. On się nie zgodził mnie puścić. Jakby nas od razu razem wzięli, to on był gotów wyjechać dla mnie. Dobrze się stało. Tu była jego ojczyzna, ja też kocham moją ojczyznę, kocham Polskę. Ja się tu dobrze czuję. Pojechałam do Izraela, niech mi pani wierzy, z jaką ironią pytali mnie, jak mogę mieszkać w Polsce. Jednakowi Żydzi jak Polacy, kto dobry, to dobry, a kto podły, to podły. Tak mąż powtarzał.

W *Ścieżce* Alka chodzi po wsiach w poszukiwaniu śladów Szulima. Władek jej zaproponował małżeństwo, ale ona wie, że nie może się na to zgodzić, jeżeli

Szulim żyje. Ogląda kryjówki w żydowskim obozowisku, do którego chciał dotrzeć, rozkopane cztery jamy, w nich jakieś deski i szmaty, słucha, że polowanie na tych, którzy się rozbiegli, trwało dwa dni. Wędruje jego śladami, tu się chował, tam został dwa dni, jeden chłop pokazuje jej kryjówkę, w której Szulim spał, i miejsce, gdzie został pochowany, bo go w końcu zastrzelili. Alka rozkupuje grób gołymi rękami, wyciąga bryłę gliny skutej lodem, ale twarzy pochowanego nie może poznać.

„Na dole, we wsi gromadzili się ludzie i popatrując przed siebie, pokazywali Alkę jeden drugiemu. Paru weszło na stok i stanęło bliżej.

– Swój?

– E, nie swój. Obcy. Żydówka jakaś z drogi. I co ona tam tak długo grzebie?

– Trupa rodzzonego znalazła na polu Wójcika i grzebie.

– Zaraz w lament uderzy i przeklinać zacznie”.

Alka jedzie do Warszawy, do komitetu żydowskiego na Pradze. „A do miasta musiała jechać, pytać o Szulima. Dowiedzieć się chociaż, że nie żyje, i w spokoju zapomnieć. Nie można co dzień grzebać człowieka we własnym sercu. A Władka obchodziło co innego: wyjedzie i wróci do »swoich« [...]”. Przy kolejnej wizycie w komitecie urzędnik odczytuje jej, że „kapral Szulim C., odznaczony medalem i awansowany pośmiertnie do stopnia sierżanta, padł w potyczce z Anglikami na jakieś pustyni. Nie mogła nic z tego zrozumieć. [...]

A potem urzędnik pytał:

– Kim on dla ciebie jest?

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, na koniec rzekła:

– Bratem”.

Alina Ł.:

– Po wojnie tyle razy myślałam, a może mój brat Szmulek żyje? Wiedziałam, że był schowany na wsi. Przedstawiał się jako Jaś i naszym nazwiskiem Jasiński, bo nazwisko mieliśmy dobre. Aż raz jechałam z mężem pociągiem, to już był 1951 rok, w przedziale jechała kobieta z tej wsi, gdzie go ulokowała babcia. „A w czasie wojny nie spotkała pani Jasia Jasińskiego?”, zapytałam. Wiedziała o nim. „Przyjechali Żydzi i zabrali go do Łodzi”, powiedziała. Już nie wróciliśmy z mężem do domu, tylko wsiedliśmy do następnego pociągu, do Łodzi. Chodziliśmy tam, ale żadnej organizacji żydowskiej nie znaleźliśmy, nie było kogo zapytać.

Po wojnie w Łodzi pręźnie działało żydowskie życie – były gmina, komitet, domy dziecka, siedziba Żydowskich Kongregacji Wyznaniowych, komisja

historyczna, Koordynacja do spraw Ratowania Dzieci i Młodzieży. Odnajdywano i brano pod opiekę ocalałe dzieci. Ale w 1951 roku – to była pełnia stalinizmu – rozwiązano już większość z tych organizacji w ramach gładyszaltowania różnorodności życia społecznego.

– Pojechałam do Warszawy pytać. Na ulicy Krochmalnej była jatka koszerna. Okazało się, że jej właściciel znał mojego tatę i skierował mnie do jednego pana, że może brat przeżył i wyjechał, dlatego się nie kontaktował, a ten pan ma listy tych, co wyjechali. I tak było. Miał go na liście. Obiecał, że mi go w Izraelu znajdą. Ach, jaka byłam szczęśliwa! Odnalazłam brata, już byłam pewna, że go mam. A potem go znów straciłam. Bo już wtedy brat nie żył. Zginął na froncie w 1948 roku w wojnie o niepodległość. Dwa lata młodszy ode mnie, był jeszcze nieletni, jak wyjeżdżał. Zabrała go organizacja żydowska, statkiem pełnym dzieci jak on. Porozsadzali je po kibucach i te dzieci miały tych kibuców bronić i za te kibuce ginęły. W Izraelu jest taki dzień, kiedy upamiętnia się zabitych na wojnie, rodziny ich wspominają. Mnie co roku zaprasza na tę uroczystość ambasada Izraela, jest przyjęcie w rezydencji ambasadora. Opowiadam, jak brat był w szkole żydowskiej i szabelkę strugał, że będzie bronił Ziemi Izraela. Zapraszali mnie też do kibucu Negba, raz na pięć lat, jak tam były uroczystości, jeździłam z mężem, potem z córką. Grób mojego brata to jedyny grób, jaki mam z całej mojej rodziny. Nikomu nie mówiliśmy, gdzie wyjeżdżamy. Płacili za samolot, za taksówkę z lotniska, żeby dojechać na uroczystości na cmentarz. Gdy się dowiedziałam, że mój brat zginął, miałam żal: jak oni mogli porywać dzieci z Polski? Ale z czasem pokochałam Izrael. Kobiety żołnierki całowałam, taka byłam szczęśliwa, że jest wojsko. Mój mąż się śmiał ze mnie, „Opanuj się!”, mówił. Mam rodzinę w Izraelu. Kuzynkę, która się przechowała na wsi. Jej brat też był opłacany, ukrywał się we wsi Łady pod Sochaczewem i zabili go tam Polacy na dzień przed wyzwoleniem. Kuzynka mówiła, że nienawidzi za to Polaków, ale mojego męża pokochała. Babcia, która lokowała wszystkie wnuki, płaciła za nią, a i tak kuzynka ciężko pracowała, nikt na wsi nie patrzył, że to dziecko. Po wojnie wypadała jej macica od tamtego wysiłku. Wyjechała do Palestyny na statku Exodus, który Brytyjczycy zawrócili do Niemiec, i tam miała operację, skrócili jej więzadła macicy. Wujek miał siedmiu synów, najmłodszy miał osiem lat. Babcia ich wszystkich schowała oprócz Mojszego, który nie chciał się rozstać z rodzicami. Żaden nie przeżył. Jeden mój dalszy kuzyn przeżył, a jak był zamach bombowy w Jerozolimie, to w nim zginął. Moja rodzina z Izraela chciała się upomnieć

o to, co zostało w Polsce, dziadek Jasiński miał różne dobra, gospodarstwo, ziemię, ale ja zostałam nauczona przez męża: „Nic nie masz, wojna ci zniszczyła życie i majątek, o nic się nie upominaj, dziękuj Bogu, że żyjesz”. Nawet się nie zgodził na *claims* [odszkodowanie od państwa niemieckiego w ramach Claims Conference]. Już był chory, byliśmy biedni, prosiłam; nie i nie.

„Myślała o sobie jak o kimś innym – opisywał Alkę Wojdowski. – Sama musi mieć siłę ochraniać tę słabszą. Sama, a zawsze jest nas dwie. Jedna Żydówka, druga gojka. Jedna patrzy w siebie, a druga za siebie. Ta wie swoje i tamta wie swoje. Obie znają swoje myśli. Jedna drugą ukrywa”.

– Mąż nie chciał, żebym była Żydówką, i nie byłam.

– A pani czasem chciała?

– Czasem. Bardzo. Nie tak, żeby otwarcie być. Kiedyś po wojnie jedną panią spotkałam w sklepie i mi się zdało, że to moja ciotka, wpatrywałam się w nią, a najchętniej tobym się przytuliła. Wzięła mnie na bok i ja jej się przyznałam. Pani Kamerowa, oni przeżyli na Syberii. Żałowałam potem, bo oni to tak byli jawnie i ona co wiedziała, to klepała.

Rozmawiałyśmy o czasach jej dzieciństwa, przed wojną.

– Mieszkaliśmy na Kruczej wśród Polaków. Nikt nie wiedział, że jesteśmy Żydami, ja też nie wiedziałam.

Nie, nie chodzili do synagogi, nie obchodzili żydowskich świąt.

– I koszeru w domu nie było?

– Skąd, u nas to było wszystko postępowe.

Zadałam dziesiątki szczegółowych pytań. Wtedy okazało się, że babcia nosiła perukę, Małka chodziła z babcią na zakupy do koszernej jatki, w piątek zapalało się świece, w sobotę przychodziła szabes gojka rozpaścić w piecu, na Jom Kippur, kiedy się pości, tata po kryjomu przed babcią zabierał ją z braćmi do restauracji.

Pewnie nie chciała tego ukryć przede mną, tylko sama przed sobą. Przechowała swoje przedwojenne żydowskie życie w zakamarku pamięci, do którego nigdy nie sięgała. Gdy już tam zajrzała, wyrecytowała mi kilka słów modlitwy po hebrajsku (nazwała ją pacierzem), „*Mode ani lefanecha, melech chai we kajam*” („Składałam przed Tobą dzięki, żyjący i wieczny Królu”<sup>20</sup>), którą odmawia się natychmiast po obudzeniu, i zaśpiewała w jidysz fragment hymnu swojej szkoły – wychwyciłam słowa „*Bajs Jakow*” (czyli chodziła do prywatnej żydowskiej szkoły religijnej dla dziewcząt Bajs Jakow). Przypomniała sobie,

jak spotkała tę kobietę, która przychodziła do nich w soboty – to było, gdy pojechała z Janem odwiedzić jego przyjaciół, jeszcze trwała wojna.

– Spacerowaliśmy po lasku. Idzie ta gojka naprzeciwko mnie, miała opóźnioną w rozwoju córeczkę, dawałam jej moje zabawki. Ta dziewczynka zawołała: „Mama! Majka Żydówka, ta Żydówka idzie”. Wróciliśmy szybko do przyjaciół Janka i się pożegnaliśmy, powiedzieliśmy, że musimy jechać.

Zapytałam, jak trafiła do Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu”.

– Najpierw mąż umarł i życie moje umarło. Aż przyszła taka chwila, to mogło być trzy lata po jego śmierci, wybrałam się do Warszawy na sztukę *Dybuk*.

W ówczesnej siedzibie Teatru Żydowskiego na placu Grzybowskiem mieściły się też różne organizacje żydowskie, w tym stowarzyszenie.

– Przeczytałam, co było napisane na drzwiach. Boże kochany! Zapukałam. Poszłam raz, drugi, to i potem jeździłam na zjazdy, i na zebrania nieraz też. Na zjeździe zapisałam się na psychoterapię. Opowiedziałam, jaki mam problem. Jak kawały mówili o Żydach, to my z mężem nic. Tylko kłopot mieliśmy, bo ja się robiłam czerwona i nie mogłam tego opanować. I jeszcze jedno. Jak mąż powiedział: „Wyrzuć wszystko z pamięci”, to wyrzuciłam, ale w nocy mi się śniło, jak wpadam w tamten brzuch nogą. Trochę mówiłam na terapii, mało. Trochę pomogło. Kiedyś koleżanka z grupy mi powiedziała: „Ukrywasz się, nie wyszłaś wciąż z szafy”. No pewnie. Ja nadal nie chcę z niej wychodzić. Trochę przez córkę wyszłam, bo ona nalegała, i przez samotność. Ciągnęło mnie do Żydów. Ale nie znaczy, że mają wszyscy wiedzieć. Tu, w Radomiu, broń Boże.

– Ciężko pani żyć w świecie, w którym nie wolno mówić, czy się pani przyzwyczaiła?

– Ciężko. Czuję się Żydówką, a jestem Polką. Mój mąż był mądrym człowiekiem, widział tyle śmierci, tyle nieszczęścia, mówił: „Po co na siebie sprowadzać nieszczęście?”. On mi to przekazał, że życie to jest życie i zawsze trzeba się trzymać życia, nie śmierci. A jak powiesz, kim jesteś, trzymasz się śmierci. Miał rację, prawda?

– Jest pani pewna, że świat wciąż jest taki?

– Jestem doświadczona, tyle lat przeżyłam, proszę mi wierzyć. Zawsze grozi śmierć. Muszę panią prosić, żeby pani nie podawała mojego nazwiska. Jakbym chciała być Żydówką, tobym jednej godziny nie siedziała w Polsce. Jest ojczyzna, jadę do swojej ojczyzny. Jestem tu, to jestem Polką. Tak uważam i tak powinno być. Z córkami postanowiłam: kończysz osiemnaście lat, to weź trochę

tego bólu na swoje barki. Pierwszej powiedziałam, potem drugiej. Jedna córka przeżyła to okropnie. Jak jej koledzy przychodzili, w kółko słyszałam te dowcipy, Icek to, Icek tamto. Nie chciała mi wierzyć. W jej szkole szydzili z Żydów, jeden taki do szkoły z nią chodził, wyjechał potem do Izraela, pamiętała, jak cierpiał. Druga córka to lepiej przyjęła. I też powiedziała z kolei swojej córce, jak ta skończyła osiemnaście lat, a może nawet miała mniej. Było tak, że wnuczka wróciła z miasta i opowiedziała jej brzydki dowcip o Żydach, i przez to córka jej ujawniła. Usłyszała od mojej wnuczki: „Nie zawracaj głowy, co ty opowiadasz!”. To ta córka, która mnie namówiła, żebym się zgodziła z panią porozmawiać, bo ja to w życiu bym się z panią nie umówiła.

Córka (też prosiła, by nie podawać jej personaliów):

– Mama mi powiedziała, jak miałam osiemnaście lat, ale dokuczali mi wcześniej. Tylko nie wszystko rozumiałam. Gdy mieszkaliśmy na wsi, u siostry taty, mama krzyczała przez sen, te krzyki były czasem w jidysz i ta siostra powiedziała komuś: „No widzisz, jaką on sobie wzion”. Rozniosło się. Dziewczynki w klasie mi dokuczały, nie chciały ze mną siedzieć, jedną posadzono ze mną „za karę”. Mama już nie mogła tam wytrzymać. Był w Radomiu pan Kramer, który miał dojścia w Warszawie, i mama przez niego dotarła do Ochaba, a Ochab zadzwonił do prezydenta Radomia i dostaliśmy mieszkanie w Radomiu, kawalerkę. To nie pomogło. Wścibska sąsiadka mnie podeszła: „A jak się nazywasz? A mamusia jak?”. Raz chłopak w szkole średniej na prywatce, jak się bawiliśmy w zadawanie pytań, zwrócił się do mnie: „Ty jesteś Żydówką?”. Moja siostra nie chce o tym słyszeć. A ja pytałam mamę. Opowiadała, jak w czasie wojny pracowała u jednej małpy, od wczesnego rana do nocy, udając oczywiście Polkę, i ta jej odkładała zarobione pieniądze. Gdy ją po jakimś czasie mama o nie poprosiła, to ta złapała za kija, pobiła ją i przegoniła, krzycząc, że ją zaraz przyskarży. Mama po wojnie pojechała tam razem z tatą, to ta gospodyni zwołała łobuzów ze wsi i ledwie mama z ojcem uciekli. Mama mówiła mi o Bogdanie Wojdowskim jako kimś, na kogo może liczyć. Jak mi zabrakło dwóch punktów, żeby się dostać na medycynę, pojechałyśmy do niego, ale otworzyła żona, jego nie było, a mama już drugi raz nie chciała prosić. Gdy mama umierała, dbała o to, by racjonalnie podejmować decyzje, tak jak w czasach ukrywania. Mówiła: „Nie dawajcie mi nic wzmacniającego w kroplówkach”.



„Całe przeszłe życie ukryć pod ciężkim kamieniem, którego nikt nie ruszy, a na tym kamieniu wyryć całkiem odmienne słowa. A inni? Przyjdą, upomną się o ciebie. Wrócą na światło, razem – z dołu – i wszyscy na zielonej łące staną. O, wielu ich! Chodzi przecież każdy brzegiem tego dołu, jedną nogą na śliskim, i o drogę pyta”.

„Bogdan Wojdowski chodził brzegiem tego dołu niemal przez pół wieku po zakończeniu wojny – pisał Jacek Leociak. – Aż wreszcie przyszli ci »inni« i upomnieli się o niego”<sup>21</sup>.

W opowiadaniu Wojdowskiego *Wakacje Hioba* uczestnicy studenckiej prywatki zauważają w którymś momencie nieobecność gospodarza. „Odnaleziono go w szafie. W kącie korytarza, obok drzwi. Wisiał na krawacie między zimową jesionką i garniturem, tam, gdzie miejsce na puste wieszaki [...]”<sup>22</sup>. Bogdan Wojdowski popełnił samobójstwo 21 kwietnia 1994 roku. Powiesił się w swoim domu. To była jego czwarta próba samobójcza, z tych zapamiętanych przez żonę. Prosił, żeby go pochować na żydowskim cmentarzu.

Alina Ł. i jej mąż Jan zostali w 1995 roku odznaczeni przez Prezydenta RP medalem za długoletnie pożycie małżeńskie. Alina zmarła w 2017 roku.

„Wychowałem się na kulturze polskiej – pisał Wojdowski w liście do Jerzego Turowicza – na Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Borowskim, moje żydostwo ma charakter losowy i gettowy. Długi czas uważałem, że mogę pogodzić te sprawy w sobie, kiedy teraz dochodzę do 60-ki, oceniam w ciemnym świetle swoje całozyciowe złudzenia [...]. Określenie »Polak żydowskiego pochodzenia« nabiera dla mnie nieodwołalnie humorystycznej treści. Jestem Żydem pochodzenia polskiego”<sup>23[17]</sup>.

Wojdowski nigdy nie opuścił tamtego czasu; przetwarzał go w literaturę. Dużo pił, miał depresję, urojenia, przez dłuższe okresy przebywał w szpitalu.

Alina Ł. zostawiła tamten czas daleko w tyle, ale nie opuścił jej strach. Umówiła się ze mną w hotelu należącym do kogoś z rodziny, przyjęła mnie w eleganckim pokoju, do którego wnoszono nam kolejne posiłki i herbaty, a ona za każdym razem, gdy wchodził kelner, przerywała w pół słowa i tak siedzieliśmy w milczeniu, dopóki nie wyszedł.

– Nikomu nie mówiłam, co się stało mojej kuzynce w Kielcach. Ani słowa w stowarzyszeniu, ani słowa córkom. Obie zamieszkały w Kielcach, w tym

wyklętym przeze mnie mieście. Co pani uważa, czy to jest kara za to, że nie chciałam wrócić do tego, kim jestem?

## 6 Irena

List Sabiny Kramer do Ireny Schwarz i Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 28 sierpnia 1945

Najdroższa Irenko,

list Twój dzisiaj otrzymałam. Nie jestem w stanie opisać swoich uczuć. Jestem szczęśliwa, że Ty żyjesz, moja najdroższa, najukochańsza, jedyna. Do Ciebie mówiłam we śnie i na jawie. Nie potrzebujesz się o nic martwić, będziesz miała wszystko, co jest w ludzkiej mocy dać komuś. Mamy nadzieję, że będziesz z nami wkrótce. We mnie i w moim mężu znajdziesz Twoją mamusię i tatusia. Niczego nie będzie Ci tu brakowało. My zrobimy Twoje życie piękne i wygodne i pomożemy zapomnieć Ci wszystkie okropności, które przeżyłaś.

Droga Pani Syczowo,

nie wiem, jak wyrazić swoją wdzięczność do Pani za utrzymanie naszej drogiej Irenki przy życiu. Świat przecież jest piękny, jeżeli w nim aniołowie żyją. Dla mnie Pani jest aniołem<sup>1</sup>.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 4 listopada 1945

Co do pieniędzy, to wczoraj dowiedziałam się, że nowy kurs dolara jest 100 zł. Gdyby więc Pani teraz wypłacili tych 200 \$, co Pani wysłałam, to miałyby Pani jakąś pokaźną sumę pieniędzy. Mam nadzieję, że tak się stało. 200 \$ jest tutaj bardzo wiele pieniędzy, para bucików kosztuje 3 \$–5 \$, a są już nawet tańsze trzewiki też. Nawet jak Irka wyjedzie, dalej będę tak pomagała, jakby Irka tam była.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 14 listopada 1945

Proszę na chwilę nie przypuszczać, że ja nie mam zrozumienia i głębokiej wdzięczności dla Pani ofiarności i poświęcenia. Przysięgam Pani, że nigdy tego nie zapomnę i zawsze będę gotowa zapłacić w jakiegokolwiek formie, w jakiej sobie Pani będzie życzyła, proszę mi wierzyć!!

Ja tamtego tygodnia wysłałam Pani sto dolarów, co jak mnie tutaj informowano, jest 10 tysięcy złotych. Mam nadzieję, że Pani też za pierwsze 200 dolarów otrzymała podobne sumy, bo ten kurs istnieje już parę tygodni. Ja też wysłałam dzisiaj

30 dolarów, zapewniam Panią, że zawsze będę posyłała. Po straceniu najukochańszych to dziecko będzie nam zawsze ich przypominało i zastąpi nam wszystkich naszych drogich, których barbarzyńcy zamordowali.

Dopisek do Irenki: Drogie dziecko, ja wiem, jak Ci ciężko będzie żegnać twoich w Skarżysku, ale jeżeli oni sobie życzą, to im pomożemy w przyjeździe tutaj.

List Sabiny Kramer do Ireny Schwarz i Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 23 listopada 1945

Najukochańsza Irenko,

już dwa listy otrzymaliśmy od cioci Syczowej, w których Ty nic nie dopisujesz, bardzo nas to martwi i boli, bo dla Ciebie żyjemy. Jestem pewna, że będziesz z nami bardzo szczęśliwa, niczego Ci nie zabraknie, miłości i opieki na pewno nie. Tutaj jest wszystkiego pod dostatkiem. Dla kogoś, kto był w Europie, to Ameryka jest rajem na ziemi. Błagam Cię, jakkolwiek ciężko Ci jest, przyjeźdź. Stąd będziesz mogła swoim o wiele więcej pomóc. Ja myślałam, że Ty na skrzydłach byś do mnie przyleciała, byłaś zawsze do mnie tak przywiązana jako dziecko.

Droga Pani Syczowo,

jestem wdzięczna, że Bóg nam przez anielstwo Pani uratował to dziecko, i naturalnie chciałabym jak najprędzej ją tutaj mieć. Irki babcia jest zupełnie załamana ciosem, który jej los zadał, i jedyna nadzieja jest, że obecność Irki tutaj doda jej trochę otuchy do życia. Najlepsze komunikacje są między Polską i Szwecją i między Szwecją i Ameryką, gdyby dziecko mogło przyjechać do Szwecji.

Adresatkę listów – Irenę Schwarz – poznałam przez naszą wspólną telawiwską przyjaciółkę Verę Lechtman. Odwiedzałyśmy ją w Natanji, niedaleko Tel Awiwu, w jej mieszkaniu na parterze z ogródkiem i salonem pełnym bibelotów, obrazów i kwiatów. Zadbana, z czarnymi łukami brwi wyrysowanymi henną. Pokazywała mi albumy ze zdjęciami. Przedwojenne fotografie ocalały, bo wysłano je przed wojną do rodziny w Stanach. Pogodny nagi bobas ułożony na brzuszku – obowiązkowa pamiątka z atelier fotograficznego dla każdego przedwojennego niemowlaka z klasy średniej, kiedy już nauczył się podnosić głowę. Na odwrocie dedykacja dla babci, dziadka i wujka. Zdjęcie jest z 1931 roku, czyli z czasów, kiedy nie było nic niezwykłego w tym, że żydowskie dziecko jest tłuściutkie i ma liczną rodzinę. Dalej: na sankach z dużą białą kokardą i w białych rajtuzach. Na wakacjach – ona i tata w strojach kąpielowych. Wpatrywałam się też w tużpowojenne

zdjęcie Ireny, smukłej, ładnej dziewczynki w stroju Indianki z pióropuszem. Każda z fotografii przywołuje obraz szczęśliwego dzieciństwa.

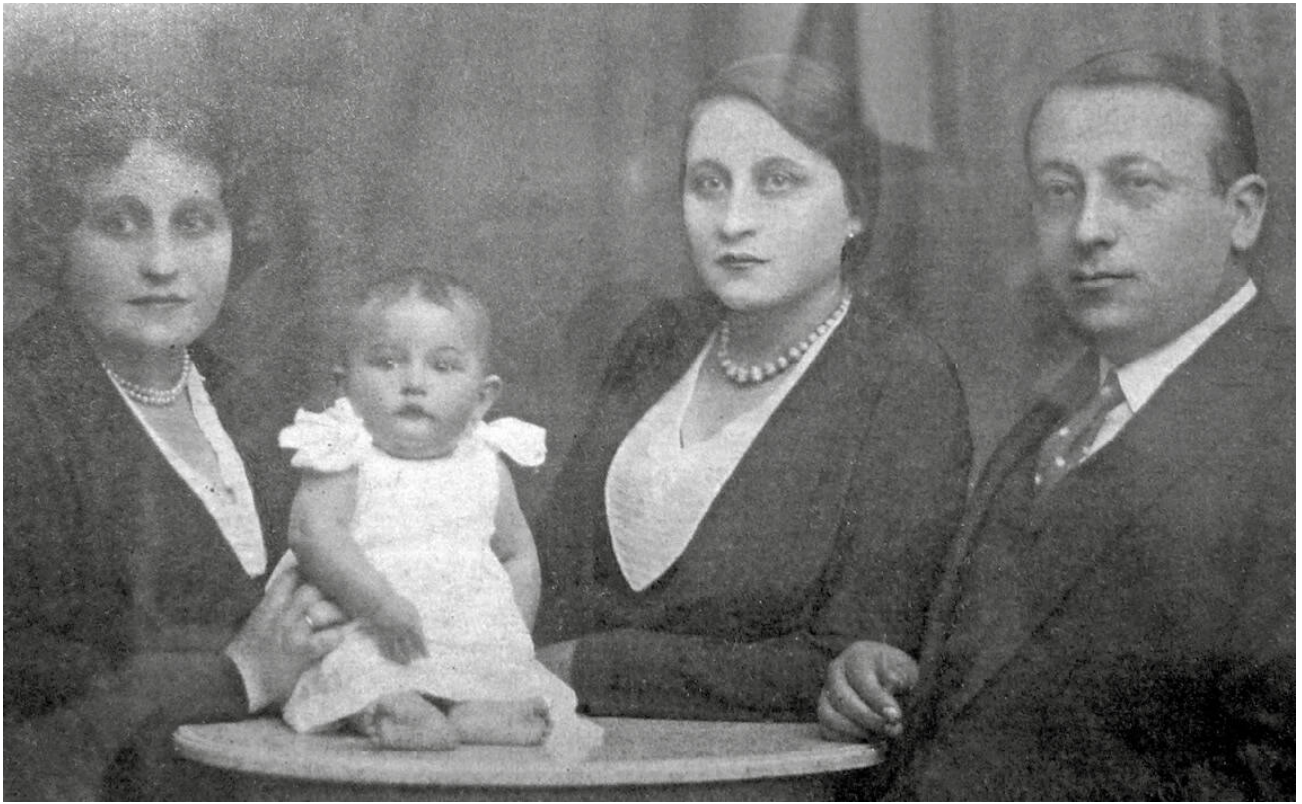


Babci, dziadziom i  
wujciom

na pamiątkę. -

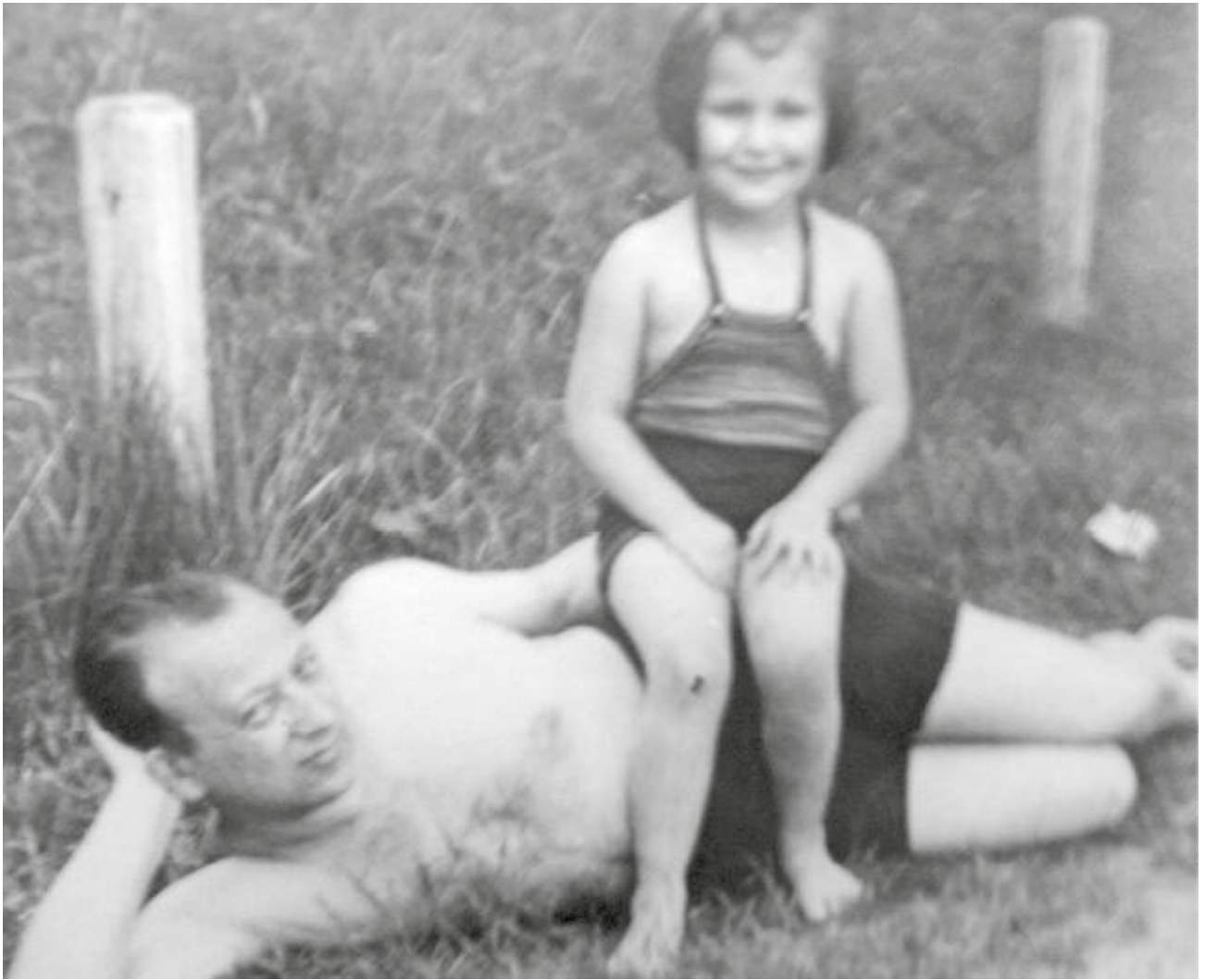
Irena

Lwów, 18/8. 1931. -























Zdjęcia z dzieciństwa Ireny Schwarz we Lwowie, wysłane przed wojną do rodziny w Stanach, dzięki czemu się zachowały. Na drugim zdjęciu – Irena z rodzicami i ciotką, siostrą matki, na kolejnych – z matką i ojcem

Archiwum Ireny Schwarz

Któregoś razu już wychodziłyśmy, gdy Irena wręczyła mi tekturową podniszczoną teczkę z napisem „Listy od Irki”.

Cienkie jasnoniebieskie bibułki, osiemset trzydzieści sześć stron. Pierwszy list był z 8 lutego 1945, ostatni – z 17 lutego 1981. Zachowały się tylko listy pisane do Polski. Przechowała je Janina Sycz, a po jej śmierci rodzina przekazała je Irenie. Korespondowały:

Sabina Kramer – ciotka,

Janina Sycz – wojenna opiekunka,  
Irena Schwarz – uratowana dziewczynka,  
Irka Sycz – córka wojennej opiekunki.

Irena Schwarz:

– Mama była Jetka z domu Hochweiss, ojciec Michał Schwarz. Był adwokatem i syjonistą. W czasie sowieckiej okupacji wyjechał ze Lwowa, żeby uniknąć aresztowania, a my z mamą zostałyśmy. W naszym sześciorodzinnym mieszkaniu przy ulicy Kołłątaja Rosjanie zostawili nam jeden pokój. Gdy weszli Niemcy, ojciec wrócił i przenieśliśmy się do getta. Tam mieliśmy pół pokoju. Całe dni spędzałam w łóżku pod pierzyną, żeby było ciepłej, a sąsiedzi z góry przynosili mi swoje malutkie dziecko, żeby się przy mnie grzało. Gdy zabierali na przesiedlenie z naszej ulicy, moja mama odmówiła schowania się. Tego nie pamiętam, tylko płaczącego ojca, gdy wróciliśmy do pustego domu. Niedługo później ojciec powiedział, że jedna pani mnie zabierze. Wrzeszczałam, płakałam, błagałam. Ustąpiłam, bo ojciec przyrzekł, że za dwa tygodnie mnie odbierze, a jak ojciec coś mówił, to zawsze tak było. Ojciec miał zaprzyjaźnionego Polaka, malarza, i jego poprosił o poszukanie kogoś, kto by przechował jego córeczkę. Zapytał sąsiadkę i tak trafiłam do pani Syczowej. Byłam brudna z getta, więc najprościej było obciąć mi włosy, ale ona mi ich nie obcięła, tylko naftą starannie wyczesła. Tej samej nocy wyjechałyśmy ze Lwowa. Ja jako Irena Bielecka, takie dostałam papiery. Pani Syczowa chciała zostawić męża. Siedziała rok w więzieniu za Sowietów, złapali ją na przemyście, a gdy ją wypuścili, zastała męża ze swoją młodszą siostrą.

Według relacji złożonej dla Fundacji Shoah przez Irkę Sycz, córkę Janiny, było trochę inaczej, ale nie mniej dramatycznie.

Janina skończyła seminarium nauczycielskie, nie było pracy w zawodzie, więc zatrudniła się na poczcie i tak poznała przyszłego męża Włodzimierza Sycza, naczelnika poczty w Maciejowie niedaleko Kowła. Rok przed wybuchem wojny zaprosiła do siebie ukochaną młodszą siostrę Stanisławę. Sama była wtedy matką trójki małych dzieci. Mąż zakochał się w siostrze i wyrzucił Janinę z domu. Wróciła do Skarżyska-Kamiennej, do rodziców, próbowała znaleźć pracę, by móc sprowadzić do siebie dzieci – bezskutecznie. W Skarżysku zastała ją wojna. Janina uznała, że musi połączyć się z dziećmi, i wyruszyła do Lwowa, dokąd tymczasem przeniósł się mąż z dziećmi (i siostrą); w Maciejowie, czyli na Wołyniu, było zbyt niebezpiecznie. Złapana na granicy została przez Sowietów aresztowana i wyekspediowana do więzienia



w Dniepropietrowsku. Gdy ją zwolniono, znów wyruszyła do dzieci, mąż znów wyrzucił ją z domu. Zdążyła jeszcze wszcząć sprawę sądową o przyznanie dzieci i ją wygrać, ale i tak nie miała gdzie z nimi mieszkać ani za co ich żywić. Chłopcy zostali z ojcem, ona z córką, która uciekła do niej od ojca, tułała się po nieogrzewanych piwnicach. W końcu postanowiła wyjechać z dziećmi do Skarżyska do ojca (matka zmarła, gdy Janina siedziała w więzieniu).

Opis ich ucieczki ze Lwowa brzmi jak z powieści kryminalnej. Bilety kolejowe kupione, ryksza zamówiona, Janina wkracza do domu męża minutę po tym, jak wyszedł do pracy. Trzyma w ręku wielkie, uszyte przez siebie płócienne worki. Grozi siostrze: „Stacha, a ty siedź tu na stołku, bo jak zaprotestujesz, wyrzucę cię z okna na ulicę. Ja dzisiaj wyjeżdżam i zabieram dzieci, i wszystko, co zdołam wziąć z tego domu, bo wszystko, co tu jest, jest moich dzieci i moje”. Część rzeczy, w tym maszynę do szycia Singer, Janina znosi do sąsiadów – umówiła się, że odbierze to od nich później. Razem z dziećmi wygarnia z szaf, co tylko daje się unieść, bieliznę, pościel, nawet garnitury Sycza, będzie można je sprzedać. Jest z nimi Irena Schwarz, przygarnięta poprzedniej nocy przez Syczową. Pomaga w pakowaniu<sup>2</sup>.

Irena Schwarz:

– Zabrała mnie, jestem rocznik 1931, i trójkę swoich dzieci: Irkę, młodszą ode mnie o rok, Andrzeja w moim wieku i Włodka, który był półtora roku ode mnie starszy. Wołali mnie Relcia, żeby odróżnić od Irki. Dojechaliśmy do Skarżyska-Kamiennej, do jej ojca. Był mechanikiem na kolei. Nie powiedziała mu, że jestem Żydówką, tylko sierotą od strony jej męża, nad którą się zlitowała. Jedna izba, ani wody, ani klozetu, ani prądu. Spaliśmy na ziemi na słomie, tylko jej ojciec w łóżku. Syczowa dostała pracę nocną, zamykanie szyn kolejowych. Wspaniale nas wychowywała, przynosiła książki, dużo się tam czytało. Dziadek gotował co rano zalewajkę i to było na śniadanie, obiad i kolację. Mówił: „Smak jest w garnku, jak się go umyje, to nie będzie smaku”. Czasami słyszało się coś od sąsiadów o Żydach, to rozumiałam, że nie mam nic odpowiadać. Wiedziałam, że muszę udawać Polkę, żeby mnie nie zabili.

Janina Sycz opisała w oświadczeniu złożonym w latach pięćdziesiątych, że zabrała Irenę „myśląc, że w Skarżysku Kamiennej, które było pod okupacją niemiecką od września 1939, kwestia żydowska już nie istnieje” – innymi słowy, że dawno już nie ma tam Żydów, więc nikt nie będzie podejrzewał Ireny. „Tymczasem w Skarżysku było jeszcze getto i po naszym przyjeździe nastąpiła jego likwidacja. Co przeżywało to biedne dziecko, trudno sobie wyobrazić, stale

żyła pod strachem, żeby ktoś nie poznał, że ona Żydówka, bo to byłaby śmierć dla niej i dla nas wszystkich”<sup>3</sup>.

Janina Sycz przywołuje zdarzenie z kwietnia 1943 roku, kiedy usłyszała walenie kolbami do drzwi, wdarli się Niemcy, zrobili rewizję, „Irena była prawie nieprzytomna, ja również, bo myślałam, że to po Irenę Schwarz przyszli”<sup>4</sup>. Irka Sycz opowiada, że dwa razy wszyscy pod ścianą stali, a żandarmi przeszukiwali dom. Mieszkali tuż przy lesie, Niemcy szukali partyzantów<sup>5</sup>. Wnuczka Janiny zapamiętała opowieści rodzinne: jak babcia zobaczyła Niemców na podwórzu, to nogi się pod nią ugięły i upadła na podłogę. Nie była w stanie wstać, więc wylała stojącą nieopodal miszkę z brudną wodę i udawała, że szoruje podłogę. Niemcy napili się wody ze studni i poszli dalej.



Janina Sycz  
Archiwum Ireny Schwarz

Kochanej  
Irence -  
ciocha Janina  
10. X 1945 r.  
⑧

Irena Schwarz w oświadczeniu dla Yad Vashem, kiedy wystąpiła o przyznanie Janinie Sycz Medalu Sprawiedliwej: „Te lata, które spędziłam z nową moją rodziną, były latami takiej biedy i nędzy, że aż trudno to opisać. [...] Był ohydny czarny chleb, zupa z ziemniaków albo z kapusty, brak ubrań, brak butów na zimę. Nie wiem, co było gorsze, zimno czy głód”<sup>6</sup>.

Jak tylko skończyła się wojna, Janina Sycz napisała do rodziny Ireny w Stanach (adres zostawił jej ojciec dziewczynki – na wypadek gdyby coś mu się stało). List dotarł do Sabiny Kramer, siostry matki Ireny, po ośmiu miesiącach od wysłania<sup>7</sup>. Sycz zarejestrowała też Irenkę w Komitecie

żydowskim w Skarżysku-Kamiennej, który odnotował: „Irena jest w/g naszej obserwacji dobrze traktowana, doskonale pielęgnowana, dobrze rozwinięta pod względem fizycznym i umysłowym”<sup>8</sup>.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 24 listopada 1945

Wiem, jak trudno będzie Pani żegnać Irenkę, którą Pani pod grozą śmierci całej rodziny uratowała, ale od tej jazdy szczęście i cała przyszłość Irenki zależy. My, Bogu dzięki, mamy warunki ku temu, żeby jej dać dobre, wszechstronne wychowanie. My wszyscy, ja, babcia i obydwaj wujkowie, tylko dla tego dziecka żyjemy. Babcia Irenki byłaby popełniła samobójstwo, tylko nadzieja zobaczenia dziecka utrzymuje ją przy życiu. Chyba nie potrzebuję Pani pisać, że dziecko czeka tutaj piękne życie i każdy jest gotów zmienić warunki życia na lepsze.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 1 grudnia 1945

Zwracam się więc do Pani wytłumaczyć Irence, że jej przyszłość jest u nas, na łonie swojej, najbliższej rodziny, po straceniu rodziców, że chodzenie pod przybranym nazwiskiem nie jest ani przyjemnym i może nawet niemożliwym na długi czas.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 4 grudnia 1945

Błagam Panią natychmiast dziecko wysłać. Jeśli idzie o wynagrodzenie Pani za poniesione ofiary, zapewniam Panią, że więcej jesteśmy Pani winni, aniżeli Pani uważa, i wszystko będzie zapłacone. Mam nadzieję, że dotychczas jest już Pani w posiadaniu pieniędzy przeze mnie wysłanych. Zeszłego tygodnia mój brat wysłał sto dolarów. Jest to dużo pieniędzy tutaj, a nawet obecny kurs nie można porównywać co tam, a co tutaj można za to dostać. Niech nas Pani zawiadomi wiele pieniędzy Pani sobie obecnie życzy i czy po otrzymaniu tych pieniędzy wolałaby Pani trochę czekać, aż stosunki w Polsce bardziej uregulują i pieniądź będzie miał większą wartość. Mamy nadzieję, że Pani już jest w posiadaniu wielu paczek przez nas wysłanych.

W archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego znajduje się niedatowany list Janiny Sycz do Centralnego Komitetu Żydów w Polsce: „Niniejszym zaświadczam Sz. Komitet, że omawiany dokument jest w moim posiadaniu. W każdej chwili może być dostarczony Komitetowi za opłatą

25 tys. zł. Przypuszczam, że ojciec dziewczynki pokryje państwu koszty. Dokument trzeba przedstawić konsulatowi francuskiemu”<sup>9</sup>. O jaką dziewczynkę i jaki dokument chodziło, nie wiemy. List musiał się oddzielić od reszty korespondencji i trafić do zbioru „Dzieci N.N., znani opiekunowie”. Po wojnie uprawiano „handel” żydowskimi dziećmi – część wojennych opiekunów nie chciała ich oddać krewnym lub żydowskim instytucjom bez opłaty, sprzedawano też dokumenty lub informacje dotyczące ich bliskich<sup>10</sup>. Ale jak to możliwe, by szlachetna pani Syczowa – strój indiański uszyty żydowskiej dziewczynce zaświadcza, z jakim oddaniem się nią zajmowała – pisała Komitetowi, że odda dokument potrzebny jakiemuś innemu żydowskiemu dziecku za dwadzieścia pięć tysięcy złotych? Może była w rozpaczliwej sytuacji finansowej? To się wydaje najbardziej prawdopodobne po przeczytaniu jej korespondencji z różnymi instytucjami żydowskimi.

Z listów pisanych przez Sabinę Kramer można by wnioskować, że ich adresatka co rusz dostaje bezcenne dolary i paczki, więc jak na warunki powojenne może nie opływa w dostatki, ale ma się względnie dobrze. Z perspektywy Skarżyska-Kamiennej wyglądało to inaczej. Paczki nie dochodziły, dolary też nie, a nawet jak w końcu docierały – jako przelewy bankowe, bo tak wysyłała je Sabina Kramer – musiały być wymieniane po oficjalnym kursie i wtedy to już nie były duże pieniądze. Lokalny komitet żydowski trochę pomagał, ale Janina Sycz miała też trójkę własnych dzieci i cała czwórka potrzebowała butów, zeszytów. Brakowało jej na opał i na kupienie kartofli na zimę<sup>11</sup>. Pisała kolejne listy – do Centralnego Komitetu, do Jointu, do HIAS-u, Hebrajskiego Stowarzyszenia Pomocy Imigrantom – z prośbą, żeby jej pożyczili pieniądze, które odda im Sabina Kramer. Bez powodzenia<sup>12</sup>.



Irena w przebraniu uszytym przez Janinę Syczową, tuż po wojnie  
Archiwum Ireny Schwarz

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 3 stycznia 1946

Wysłaliśmy pakunek zawierający 1 funt herbaty, 2 funty cukru, 1 funt ryżu, 1 litr tłuszczu, 1 prześcieradło, 1 ręcznik, 2 swetry i lekka sukienka. Chciałabym bardzo

wiedzieć, czy Pani już otrzymała 485 \$ przez nas wysłanych, prócz tych 100 \$, które Pani już otrzymała. Nie wspominała Pani, jaki kurs Pani za te dolary dostała. Proszę napisać zawartość paczek drogą aeroplanową. Natychmiast po przyjeździe Irenki wyślemy affidavity [tu: poświadczenia niezbędne do wydania wiz] dla całej rodziny.

List Sabiny Kramer do Janiny Syczowej wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej, 19 stycznia 1946

Paczki żadne nie dochodzą do Pani, pieniądze nie dochodzą. My tutaj wydajemy grube pieniądze, a Pani nic z tego nie ma. Co do Irenki to ogromnie się martwimy, że ona jeszcze nie wyjechała.

Irena Schwarz:

– Po wojnie chciałam się ochrzcić i zostać chrześcijanką. Bardzo nie chciałam wyjechać.

Irka Sycz opowiada w wywiadzie dla Fundacji Shoah, że Irena wykrzykiwała: „Nie pojedę do tych Żydów!”, chociaż w ich domu nigdy niczego złego o Żydach nie słyszała. „Ja nie rozumiem dlaczego polskie dzieci nie mają co jeść, a my tu takie rzeczy dostajemy” – powtarzała, gdy pojechała z ciocią Syczową do Warszawy załatwić sprawy wyjazdowe, i na śniadanie dostała czekoladę i kakao. Poszła do księdza, żeby ją ochrzcił, ale Janina uzgodniła z nim, co ma Irenie powiedzieć: jest niepełnoletnia i nie można jej ochrzcić bez zgody papieża. Irka Sycz pamięta, że Irena pisała razem z księdzem list do papieża, pewnie nigdy nie został wysłany. „Błagała mamę na klęczkach, żeby zostać. Jak wyjeżdżała, myśmy ryczeli jak stado bawołów” – opowiada dalej Irka<sup>13</sup>.



Odpięcie

(To może nie przesada)

goon. 2. 1946

Moja Najdroższa i Najubochodniejsza Ciociu!  
Dzisiaj dostałam ~~to~~ swoją drogą list z Ameryki, Ciocia jest sta-  
na fest i píše je myślała, że liststwo do pióra, jest pozwoleniem dla  
któregoś nie pisać, ona mi zotruwa życie! Przecież napisałam 4-  
listy, dziś napisać piąty, ona wysłała list 13/II, dziś jest 18/II więc  
z Ameryki ten list nie idzie długo i píše że dostała dopiero  
moją 1-ny list. Ona nie jestem zima że amerykańska poczta  
strajkuje. Do pani Orłowej, nie będą pisać długiego listu, poszły  
kartki, bo Ciocia i mój chyba czyta moje listy. Dzisiaj miałam przykłą  
i słuszną historię. Pomyślałam sobie, że wypadło by zaktualizować do  
Hedbergów, zapytać o zdrowie i opowiedzieć o listach z Ameryki. Wła-  
ściwie, po 10-tej, dwaście, ale wyшло głupie nieporozumienie, wcale  
nie mogłyśmy się zrozumieć, ja zrozumiałam że oni idą na war-  
ty, i potem ona mnie woprosiła do siebie na freecis. Dziękuje się  
we łbie pokłoniła i poszłam z Lusia do kina. Przywitałam z kina  
to się dowiedziałam że dwójka do mnie i ~~tu~~ pytali się czemu  
nie przyjechałam, bo oni na mnie czekałi, więc pan Rappoport  
mi wytłumaczył że ja napewno nie zrozumiałam, że poszłam do kina  
i że jutro zadzwonię. Przed chwilą dowiedziałam, przeprosiłom ich  
że miałeli na mnie czekać. Ciocia Vali powiedziała że „to nie sadi”  
(nie szkodzi) i żebym we Środę do nich przyjechała, to mnie mi się  
Magnum podoba o warty. P. P. Rappoport, moja b. miła i życzliwa,  
pamięć Polsi Moskowskiej (nie Krowca p. Karja) i jej przyjaciele, ale  
przez jednego pana Bруса. Żydu; ~~to~~ bardzo ich lubię. Pani Polu

List Ireny do Janiny Sycz z 18 lutego 1946

Archiwum autorki

Irena Schwarz:

– Ustąpiłam z wyjazdem, gdy ciotka przyrzekła, że sprowadzi też Janinę Syczową z rodziną. Wyruszyłam w styczniu 1946 roku, miałam piętnaście lat. Najpierw statkiem do Göteborga. Ciotka załatwiła mi mieszkanie u rodziny z dziećmi, tylko nikt tam nie mówił po polsku. W Szwecji zajmowałam się pisaniem listów do cioci Syczowej.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 28 lutego 1946

Irenka pisze [z Göteborga], że śni o listach od Pani i życzy sobie, żeby to było rzeczywistością. Pisze, że ma tyle tu przyjemności, a jej ciocia Syczowa tylko się męczy i nie może marzyć o takich przyjemnościach, a więc bardzo by chciała, aby jej ciocia jak najszybciej do Ameryki przyjechała. Po prostu każdy list jest pełny cioci Syczowej. Mamy nadzieję, że Irenka będzie tutaj może już z początkiem marca, i wnet Pani papiery wyślemy.

Telegram Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 11 kwietnia 1946

Irka szczęśliwie przyjechała. Jesteśmy szczęśliwi. Sabina

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 11 kwietnia 1946

Cała rodzina czekała na brzegu. Oglądali mnie, całowali, o mało mnie nie zjedli. Przynieśli mi zegarek i pierścionek. W domu mnie znowu oglądali, całowali, jednogłośnie orzekli, że to, co mam na sobie, to szmaty, i babcia zaraz tego samego dnia poszła ze mną i z moją kuzynką Helą do sklepów. Do dziś przyszło może ze 100 pań i 50 panów mnie oglądać.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 12 kwietnia 1946

Dostałam 7 par skarpetek w różnych kolorach, 2 trykotowe koszule, 2 jedwabne koszule, 6 p. majtek, b. ładny pomidorowy żakiet, granatową sukienkę z dekoltem, w pasie marszczoną, z dwiema falbankami na biodrach, granatową spódniczkę, dwie bluzki i jeszcze jedną sukienkę w pepitkę z czarnym paskiem, trzyćwiertowymi rękawami i białym kołnierzykiem. Ciocia jest b. fajna, kochana, inteligentna. Wujek Oscar b. fajny, b. dobry, b. mnie lubi i tak lubi żartować jak każdy fajny doktor.

Widać, że babcia bardzo mnie kocha i tylko dla mnie żyje, mówi, że ja jestem jej wszystkim, jej sercem, jej duszą, jej oczkiem w głowie. I ciągle płacze za moją Mamusią. Jest jeszcze służąca cioci, która jest Murzynką. Jeszcze takiej masy aut jak tu w swoim życiu nie widziałam, każda ulica wygląda jak postój taksówek. Wszystko dobrze, wszyscy mnie b. kochają, a jednak marzę i tęsknię do tej chwili, kiedy wy już będziecie.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 25 kwietnia 1946

Kochana Ciociu,

tyle mam wam do pisania, że naprawdę nie wiem od czego zacząć. Chyba wam opiszę moją podróż nareszcie. Okręt odbił od brzegów z wielką paradą, orkiestra grała, na brzegach tłumy ludzi, ten statek pierwszy raz od sześciu lat wojny wyruszał. Nie wiem dlaczego, ale mi się nagle zrobiło strasznie smutno i całkiem zwyczajnie się rozbeczałam. Zresztą b. dużo ludzi płakało. Okręt, czując pod sobą ocean, tańczył jak pijany. Siódmego dnia niebo zaczęło się chmurzyć i zrobiła się burza. Ludzie leżeli na pokładzie i chorowali. Z jednego końca pokładu do drugiego były przyłączone liny, żeby mieli się za co trzymać. A ja najlepiej się czułam podczas burzy, łąziłam po całym okręcie, niestety sama, bo moje szanowne koleżanki, które tu poznałam, z braku innego zajęcia chorowały. Najbardziej lubiłam chodzić na najwyższy tylny pokład, który był pusty, trzeba się było mocno oburącz trzymać burty. No, wyobraźcie sobie, stoi człowiek, przed sobą ma cudowne morze, a za sobą kupę chorych ludzi, naokoło pusto, trzyma się mocno, jeździ z góry na dół, cały mokry i słony, a morze szumi, pieni się, złości, fale tłuką o burtę. Takie cudowności godzien jest tylko opisywać Sienkiewicz albo Mickiewicz, ale niech wam to wystarczy, że potrafiłam 5–6 godzin dziennie stać i patrzeć na morze. Imponowali mi marynarze, oni gwizdali na burzę (ja też) i włązili na najwyższe maszty (ja nie), dają słowo, jakbym była chłopcem, tobym została marynarzem.

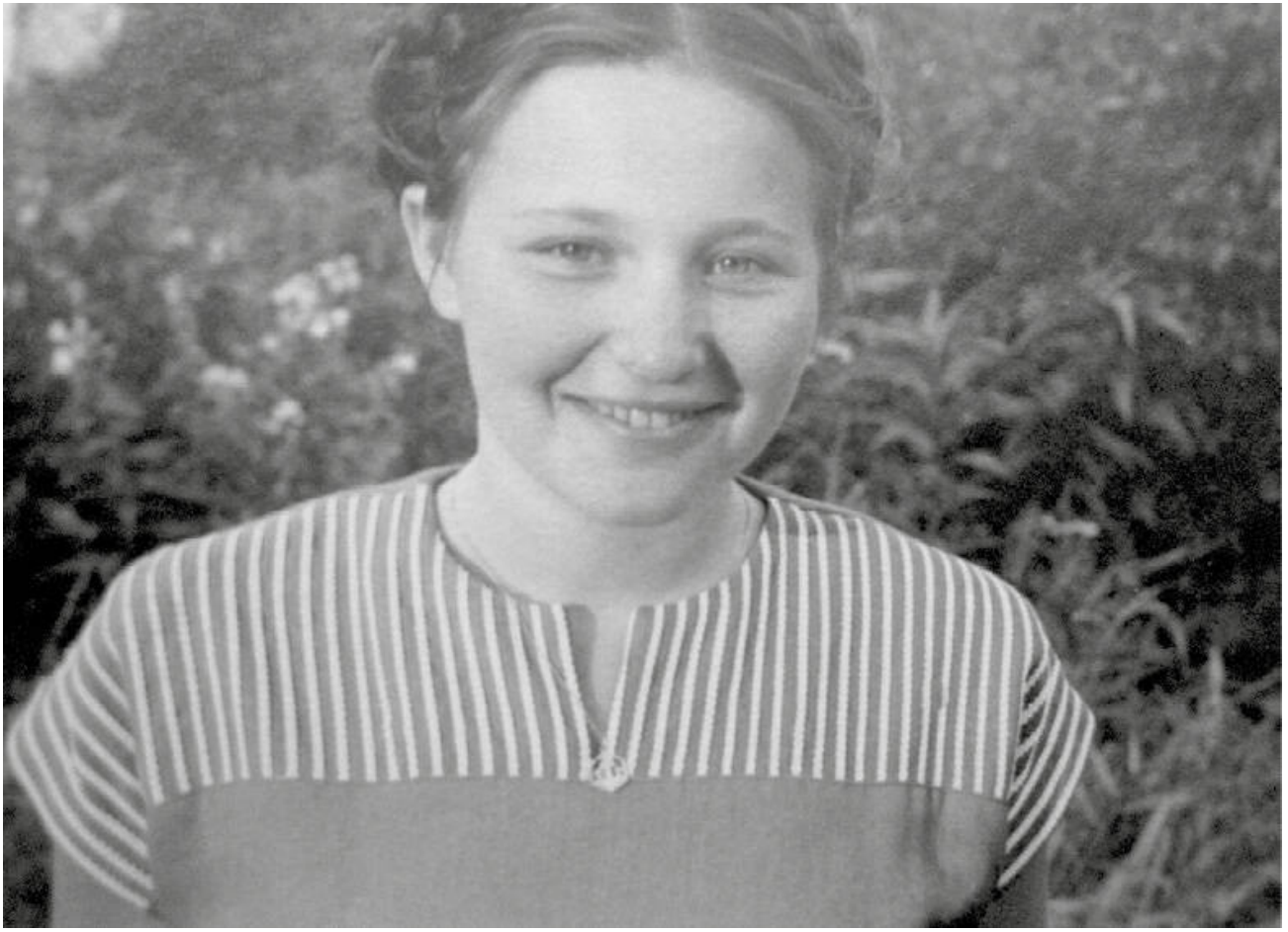
List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 30 kwietnia 1946

Wczoraj wysłałyśmy z babcią dwie paczki zawierające 1,5 funta pieprzu, 1 funt herbaty, 2 paczki ryżu, 2 chrupek, 2 p. cukierków, 2 p. ciepłych majtek, niebieski aksamitny kostium, 2 suknie, 1 spódnica.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 5 lipca 1946

Wysłaliśmy tyle pieprzu, bo on tam jest drogi i mogłaby Pani spieniężyć, i też bardzo dużo herbaty z tego powodu wysyłamy. W tym tygodniu wysyłam futro, ale bardzo bym nie chciała, aby zaginęło, naprawdę byłoby szkoda.

















Irena po wyjeździe z Polski, późne lata 40. i lata 50.

Archiwum Ireny Schwarz

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 18 sierpnia 1946

Życie ludzi tutaj można krótko określić, jak jest gorąco, leżą na słońcu, umiarkowanie – chodzą na spacer, a jak pada deszcz, to grają w karty. Co do waszego przyjazdu, to nie macie się co martwić, bo jak ciocia i wujek przyrzekli, to się zrobi.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 20 września 1946

W tym tygodniu wysłaliśmy 2 paczuszki, jedna żywnościowa i jedna zwykła, 2 pary butów, brązowe i czarne, jedne chyba będą dobre dla Andrzeja, para damskich spodni i futro. Ciocia będzie b. elegancko wyglądać. Bo jak to było ładne w NY, to na pewno będzie ładne w Skarżysku. Co do affidavitu, to ja wujkowi ciągle przypominam, powiedział, że wyśle, ale ja nie wiem kiedy, bo teraz wszystko podrożało i on nie wie, czy mu starczy pieniędzy na sprowadzenie was tutaj.

Irena Schwarz:

– Ciocia Sabina, jak przyjechałam, zapytała: „A co z biżuterią?”. Wiedziała od babci, że mama miała biżuterię rodzinną. Wujek uważał, że sprowadzać dzieci na taki świat to grzech, i oni nie mieli dzieci. Ciągłe prosiłam o pieniądze i rzeczy, żeby posłać polskiej rodzinie. Ciocia Syczowa nie prosiła o diamenty, tylko o codzienne rzeczy. Potem zaczęła prosić o pieniądze. Ciocia Sabina tego nie lubiła. Nigdy nie chcieli jej zaprosić.

Vera Lechtman:

– Irena i tak ci wszystkiego nie opowiada. Jej ciotka była ginekolożką, wujek kardiologiem, oboje mieli gabinety w domu. Gdy Irenka przyjechała do wujostwa, spała na leżance lekarskiej w pokoju, w którym ciocia przyjmowała pacjentki. Oni nie wiedzieli, co to jest dziecko, co to jest wrażliwość dziecka. Część swoich listów do Syczowej Irena znalazła kiedyś w domu, schowane przez ciotkę, która nigdy ich nie wysłała. Oni nie lubili jej kontaktów z Polską. To nie byli źli ludzie, ale nie umieli zrozumieć, co ona przeżyła.

Irka Sycz zapamiętała pierwszy telefon Ireny z Ameryki. Czekwały najpierw długo z mamą na poczcie na połączenie. Janina Sycz usłyszała jej głos, powiedziała „Irusiu” i w płacz, a Irena „ciociu” i też w płacz<sup>14</sup>.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 28 października 1946

Dziś rano dostałam od Cioci smutny list i postaram się, żeby to bez skutku nie zostało. U nas zaszedł ostatnio bardzo nieprzyjemny wypadek, taksówka wjechała na samochód wujka Oscara i dlatego trochę zaniedbaliśmy wysyłanie paczek do was. W tym tygodniu wyślemy wam znowu dwie paczki po 20 kilo.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 8 stycznia 1947

Już w tym tygodniu na pewno wyślemy affidavit. Ja już tak b. za wami tęsknię. To byłoby tak fajnie być razem.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 4 lutego 1947

Z angielskiego dostałam 75 = dobrze, niemiecki 90 = więcej niż b. dobrze, bo dobrze = 80, matematyka = 85, biologia = 95, muzyka i rysunek = 90. Ubranie męskie jest u babci, tylko trzeba wysłać.

List od Ireny Schwarz do Irki Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 30 stycznia 1947

Ja rozumiem, Irciu, co do zegarka. Ja bym Ci go już dawno przysłała, ale się boimy zaryzykować. Zaryzykowaliśmy futro i wsiąknię.

Jak czytam Twój list, to mam Ciebie przed oczyma, nie wysilaj się i nie pisz mądrze, bo czym bardziej tak sobie piszesz, to tym bardziej mnie jest łatwo sobie wyobrazić, że Ciebie widzę i z Tobą rozmawiam.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 11 lutego 1947

Wysłaliśmy w jednym liście 10 \$, a w drugim 5 \$, dostaliście?

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 31 maja 1947

Dostaliśmy Cioci list z prośbą o przysłanie 100 \$. Ciocia powiedziała, że to niemożliwe, żeby Ciocia miała ślepą kiszkę, bo wtedy trzeba natychmiast operować. Czy to nie jest możliwe, żeby Ciocia była operowana bez pieniędzy?

Już miałam pięć lekcji pływania. Nauczyłam się też grać w tenis.

Jak sobie pomyślę, jak długo myśmy się już nie widzieli, Irka już ma 15 lat, Jędrak 16, chyba jak się kiedyś zobaczymy, to się wcale nie poznamy.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 20 marca 1951

Mam nadzieję, że mi Ciocia wybaczy za takie długie milczenie. Przede wszystkim jestem zaręczona i wychodzę za mąż 17 czerwca. Ja go b. Kocham, a moja cała rodzina go b. lubi. Daniel ma 21 lat, on kończy college w czerwcu i wstępuje na uniwersytet w Filadelfii. Ja mam zamiar skończyć szkołę i przenieść się do tego

samego uniwersytetu. Daniel studiuje weterynarię i agronomię, a ja się zdecydowałam na psychologię, chciałabym mieć karierę, chociaż będę mężatką.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 12 września 1952

Więc ja jestem mężatką teraz i bardzo szczęśliwą. Jesteśmy w Filadelfii, oboje studiujemy, ja psychologię, on weterynarię. Ciocia i wujek mnie utrzymują, a jego rodzice jego. Może spróbuję dostać doktorat także. Kochana Ciociu, ja o was nie zapomniałam i nigdy nie zapomnę.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 23 października 1952

Mój mąż i ja byliśmy w Izraelu tego lata, gdzie on pracował jako weterynarz. Byliśmy tam siedem tygodni i dwa tygodnie w Europie, w Paryżu, Londynie i Amsterdamie. Nie można było do Polski przyjechać, bo byłoby potem niemożliwe dla mnie się z powrotem wydostać.

Janina Sycz mieszka tymczasem dalej w Skarżysku-Kamiennej, dostała pracę bibliotekarki, zapisała się do PZPR. Musi sama radzić sobie z wychowaniem i kształceniem dzieci. Były mąż, aresztowany przez Sowietów w 1944 roku i deportowany na Ural, schorowany po pracy w kopalni już do Polski nie wróci. Irka Dragičević studiuje chemię (była w krótkim związku małżeńskim z Jugosłowianinem, stąd nazwisko), zostanie kierowniczką dużego oddziału produkcyjnego w zakładach kosmetycznych w Warszawie. Włodzimierz kończy pomaturalną szkołę budowy maszyn okrętowych w Gdyni, będzie pływał na dużych statkach jako pierwszy mechanik. Andrzej Sycz skończył technikum elektryczne, ale gdy chciał dalej studiować, okazało się, że ma nakaz pracy. Janina jeździła do Warszawy i wychodziła u najwyższych władz partyjnych, by go z nakazu zwolniono<sup>15</sup>.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 20 czerwca 1956

Ja jestem teraz w szpitalu dla chorób umysłowych, jestem bardzo chora. Ja o was nie zapomniałam, ja tylko nie mogłam pisać. Ciociu kochana, ja jestem bardzo chora i nie chcę żyć. Ja się z moim mężem rozwiodłam i nic nie mam w życiu.

Irena Schwarz:

– Pierwszy raz rozpadłam się na kawałeczki na pierwszym roku college’u. Byłam w stanie Michigan, duży college, daleko od domu. Wróciłam do wujostwa i siedziałam w domu. Może gdyby wtedy od razu znaleźli mi lekarza, szpital?... W Wojniłowie, gdzie urodziła się ciocia Sabina, jak w rodzinie był *myszogene*, obłąkany, to trzymało się go zamkniętego w domu, bo co ludzie powiedzą. Ciocia wyrosła w sztetlu, wyjechała stamtąd, zdobyła eleganckie wykształcenie, ale mentalnie dalej tam została.

Vera Lechtman:

– Gdy Irena zachorowała, nie miała prawa wychodzić z sypialni, jak przychodzili goście. Wstydzili się jej.

Irena Schwarz:

– Jak ciocia zobaczyła, że coś jest ze mną nie tak, bardzo chciała się mnie pozbyć, a z kolei rodzice mojego przyszłego męża bardzo chcieli, żeby się ożenił, bo zobaczyli, że ma skłonności inne niż do kobiet. I tak wyszłam za mąż. Po rozwodzie była druga depresja. To był mój problem w życiu. Zostałam oderwana od jednej rodziny, potem od drugiej, nie mogłam znieść rozstań.

List Sabiny Kramer do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 3 czerwca 1957

Ten list nie sprawi Pani przyjemności. Jednak muszę odpowiedzieć, ażeby uniknąć złych myśli ze strony Pani – Irenka jest chora nerwowo, przez tych jedenaście lat nie mieliśmy prawie że spokoju, ale ostatnie dwa lata to są piekłem dla całej rodziny. Jej choroba jest skutkiem tego, co przeżyła w dzieciństwie, i cokolwiek dla niej robimy, niestety nie ma żadnego skutku. Jej życie wprawdzie było uratowane, ale ona nie potrafi swego życia pokierować – nie chcę się rozpisywać na ten temat, ale chyba wystarcza, że zazdraszczam jej rodzicom, że oni nie żyją. Nasze całe życie, to jest całej rodziny, jest złamane, nerwowo i finansowo jesteśmy wyczerpani, ale niestety obecnie stan Irenki jest okropny. Jest w szpitalu już 8 tygodni. Ja wiem, że Pani się starała dać Irce, co Pani mogła, ale ona musiała już jako młode dziecko ukrywać swoją tożsamość [!], udawać, że jest kimś innym, nie miała nikogo bliskiego, do kogo się zwrócić. Nie miałam zamiaru tyle pisać, ale listy Pani bolą mnie bardzo.

Irka Sycz opowiada w wywiadzie dla Fundacji Shoah, że w jakimś momencie korespondencja się urwała. Ona i jej bracia tłumaczyli matce, że nie ma co się narzucać i domagać wiadomości; Irena wyszła za mąż, ma ważniejsze sprawy na głowie. Ale Janina Sycz ich nie słuchała i napisała dramatyczny list

do Kramerów. Wnioskując z odpowiedzi, opowiada Irka Sycz, list musiał być mniej więcej takiej treści: „Coście z nią zrobili? Mi się należy informacja, co się z nią dzieje, bo ja nie wierzę, że Irka nie chce do mnie pisać”. W korespondencji zachowała się odpowiedź Sabiny Kramer, że Irena zachorowała, i list babci Ireny, Marjem Hochweiss: „Irka znowu zachorowała, ona biedna, nasze życie całe odebrała, całkiem nas zabiła, to nie życie, tylko męka”<sup>16</sup>. Kramerowie i babcia Hochweiss chcieli Irenie nieba przychylić, jej choroba była codziennym dramatem także ich życia, ale nie byli w stanie pogodzić się z tym, że Irena miała kogoś bliskiego, do kogo chciała się zwrócić, a tym kimś była „gojka”, i że być może kontakt z nią by jej pomógł.

Irka Sycz opowiada, że jakiś czas później, gdy jej znajomy jechał do Stanów, poprosiła go, by odwiedził Irenę. Zrobił to, a Sabina Kramer zaprosiła go potem na rozmowę. Dopytywała, dlaczego pani Sycz przechowywała Irenę i dlaczego Irena cały czas do niej pisze, „a nas traktuje jak obcych ludzi, choć my ją tak kochamy, płaciliśmy tysiąc czy tysiąc pięćset dolarów za miesiąc jej pobytu w szpitalu”. Irka Sycz mówi, że nie miała pretensji o to, że pieniądze były dla ciotki Sabiny miarą uczucia. Ją i jej matkę oburzyło, że pytania z listów wciąż krążyły wokół jednego: co powinniśmy zrobić dla pani Syczowej i jej dzieci, żeby dług został spłacony. „Chodziło o to, żeby coś uciąć, coś przeciąć, a tego się nie dało przeciąć ani uciąć”<sup>17</sup>.

Jak to się stało, że pani Sycz przechowywała Irenę?

Umówiła się z Michałem Schwarzem w czerwcu 1942 roku, że zabierze Irenę do Skarżyska, a on będzie jej płacił miesięcznie tysiąc złotych – starczało i na utrzymanie Ireny, i jej własnych dzieci. To była przyzwoita suma (Rada Pomocy Żydom „Żegota” dawała po pięćset złotych na mieszkanie i wyżywienie dla swoich podopiecznych, ale dlatego, że nie stać jej było na więcej). Od października 1942 roku dostawała tysiąc pięćset złotych miesięcznie. Na kolei, gdzie pracowała, zarabiała miesięcznie sto pięćdziesiąt złotych – dziesięć razy mniej. Pieniądze i wiadomości dostawała od Michała Schwarza przez pośrednika. W maju 1943 roku zostawiła dzieci ze swoim ojcem i pojechała do Lwowa. Wtedy po raz ostatni widziała się z ojcem Ireny. To wtedy podał jej adres rodziny w Stanach. Ostatnie pieniądze, jakie dostała, przysły za czerwiec 1943 roku.

Co ciekawe, źródłem tych informacji jest sama Janina; pisze o tym w listach do CKŻP i do Jointu<sup>18</sup>. To się zdarza bardzo, ale to bardzo rzadko – żeby Polacy przechowujący Żydów ujawnili, że dostawali zapłatę, i podali, jakiej wysokości.

Wzięcie Irenki dało Janinie wsparcie materialne, które pozwoliło jej wydostać się z matni, w jaką wpadła po rozstaniu z mężem. Trudno sobie zresztą wyobrazić, żeby matka, która nie jest w stanie wyżywić swojej trójki dzieci, brała bez zapłaty czwarte dziecko do wykarmienia. Ale to nie umniejsza jej zasług. Zajmowała się Ireną z poświęceniem i oddaniem, nie mówiąc o tym, że nie wyrzuciła jej za próg, gdy pieniądze przestały napływać, a przecież tak się często zdarzało.

Irka Sycz opowiadała, że jej mama jeździła jeszcze dwa razy do Lwowa, żeby przywieźć zostawione u sąsiadów rzeczy, „chodziła pod getto, raz widziała ojca Irki w kolumnie wyniszczonych ludzi i mamę poznał, i ona zdołała dać mu znać, że Irka żyje”<sup>19</sup>. Wnuczka Maugosia Sycz (mieszka w Holandii i zmieniła imię z Małgorzata na Maugosia) mówiła mi, że „wszyscy sąsiedzi wiedzieli, a nikt Ireny nie wydał”, powielając jednak w dobrej wierze jedną z najbardziej fałszywych opowieści czasu wojny. Gdyby nie pieczołowicie przechowane przez Żydowską Komisję Historyczną tużpowojenne dokumenty, w tym oświadczenia Janiny, mielibyśmy tylko opowieści córki i wnuczki, zgodne z obowiązującą narracją o Zagładzie.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 31 stycznia 1958

Jedną z metod leczenia były elektryczne szoki. Zgubiłam po nich pamięć, teraz powoli wraca. Jako ich skutek nie pamiętałam listów od Cioci. Czytałam je na nowo wczoraj i płakałam jak dziecko. Słowa nie są w stanie wyrazić mojej miłości i wdzięczności, tego, co z głębi serca czuję do Ciebie. Dziękuję, że chciałaś, żebym do Ciebie przyjechała, jak jestem chora.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej, niedatowany, zapewne 1958 rok

Próbowałam pracować jako nauczycielka z małymi dziećmi, ale nie mogłam. Ciocia Sabina krzyczy na mnie, nawet mnie bije – ona mnie przedtem nigdy w życiu nie uderzyła. Ciociu kochana, co robić? Sama ja się boję mieszkać, do szpitala znów się boję iść, bo te wstrząsy elektryczne są coś strasznego.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 3 września 1958

Szpital opuściłam około tygodnia temu. Mąż ciotki Sabiny ma chorobę podobną do mojej i też otrzymywał wstrząsy elektryczne. Po tych wstrząsach elektrycznych dużo się zapomina i ja jeszcze wszystkiego nie pamiętam. O was nigdy nie zapomnę.

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Brooklynu do Warszawy 4 maja 1959

Moja kochana Iruś!

Ja jeszcze ciągle taka zwariowana jestem, że mi trudno samej na ulicę wyjść. Ktoś zawsze musi ze mną wychodzić i też przeważnie wszyscy są zajęci. To samo tutaj, cały dzień siedzę i nic nie robię. Czy możesz sobie coś takiego wyobrazić, ja wiem, że to trudno uwierzyć, że człowiek może do takiego stanu dojść, czasami to mi się zdaje, że to się już nigdy nie skończy i że tylko trzeba się zabić, ale mówią, że to grzech. Dostałam dziś rano list od [twojej] mamy, w którym pisze, że jeśli ja naprawdę nie będę mogła do was przyjechać, to ona się postara tu do mnie się zebrać. Bardzo mnie ten list wzruszył, bo tak bym chciała bardzo jedną z was zobaczyć. Ja ją jak matkę rodzoną kocham i Ciebie jak siostrę. Pisz do mnie, Iruś, często, byle co.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 4 maja 1959

Ciocia pisze, żebym do was przyjechała, ale czy wy macie cierpliwość? Ja jestem bardzo chora i ja sama wiem, że jestem teraz bardzo trudnym człowiekiem.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 28 września 1959

Czasami cały dzień sama leżę na łóżku i nikt nawet słówka do mnie nie mówi, ciocia Sabina i wujek Oscar mają tylko czas dla swoich pacjentów.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 24 grudnia 1959

Proszę mi wybaczyć, że tak długi czas nie pisałam, ale ze mną nic nowego. Czy Ciocia może sobie wyobrazić, boję się sama być w domu, bo mi się zdaje, że samobójstwo popełnię, i boję się sama wyjść na ulicę.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 23 lutego 1960



Zacząłam przygotowania do przyjazdu do was, ale jeszcze nic nie mogę przyrzekać. Mnie jest trudno teraz wziąć parę kroków samej na ulicy, to jak myśleć o takiej podróży? Dlaczego tyle trzeba cierpieć? Powiedz mi, Ciociu, dlaczego? Trzy lata jak pracowałam, czułam się jak człowiek, teraz widoku nie ma do niczego.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 17 października 1960

Piszesz, że Irce potrzeba 5000 zł. Więc wyrachowałam, że to by miało być \$62,50, znalazłam organizację polską, która Ci wypłaci. Będziesz musiała zmienić na złotówki nielegalnie (1 \$ = 80 zł), bo oficjalnie 1 \$ = 22,50 zł. Mam zamiar też Ci posłać pakunek z sukienkami. Dostałam parę od babci, od cioci Sabiny, od jednej znajomej i mego kuzyna nowa żona też mi parę przyrzekła. Więc jak je wszystkie zbiorę, zrobię tą paczkę.

Irena Schwarz:

– Zachowały się tylko listy, które przechowała ciocia Syczowa, ja całą swoją korespondencję w jakimś momencie wyrzuciłam. To był dla mnie za duży ciężar. Ciocia cały czas pisała, czego potrzebuje, jak miałam depresję też. Jedno z jej dzieci chciało tego, drugie owego, oni bardzo dużo ode mnie wymagali. Rozumiałam to, bo wiedziałam, jak to jest, jak nic nie ma. Nie mieliśmy butów w zimie, do wychodka się pożyczają od siebie te jedne buty. Ciągłe zbierałam pieniądze, chodziłam od jednego wujka do drugiego i musiałam tego wszystkiego wysłuchiwać, co mówili o mnie i o cioci. Ciocia i babcia bezustannie na mnie krzyczały. Były krzyki, wrzaski i znów szpital, powrót do domu, i znów wrzaski i moja fobia. Z tym wszystkim ciocia mnie kochała, wujek też.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 3 grudnia 1960

Czasami zdaje mi się, że mnie ta przeklęta choroba nigdy nie opuści. Co Ty robisz, Ciociu, wieczorami, jak sama jesteś? Dzisiaj przypomniałam sobie, nie wiem dlaczego, może dlatego, że tęsknię za wami, przypominam sobie lata wojenne, jak materialnie było ciężko, ale poza tym byliśmy całkiem szczęśliwi, przynajmniej tak mi się zdaje. W poniedziałek wyślę paczkę do Ciebie, a później wyślę jeszcze jedną.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 13 grudnia 1960

Ciocia Sabina jak zawsze – powiedziała, że mnie nienawidzi, że tyle pieniędzy na mnie wydają, etc., etc. Tutaj jakoś wszystko nie jest w porządku.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 19 grudnia 1960

Ciociu, Ty mi raz pisałaś, że trzymasz wszystkie moje listy. Czy teraz też to robisz? Tak bym chciała wierzyć, że przynajmniej dla jednego człowieka jestem dosyć drogą. Byliśmy wczoraj u babci i z babcią się znów pokłóciłam. Ona tylko narzeka, że ze mnie przyjemności nie ma.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 25 stycznia 1961

Każdy jakoś żyje jak może, a ja nie. Ciocia Sabina kłóci się zawsze ze mną – ona wie, jak ja się tych szpitalów boję – to, aby mnie tylko denerwować, grozi mnie szpitalem.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 28 stycznia 1961

Chciałabym tak bardzo do Ciebie zadzwonić. Pamiętasz ostatni raz jak zadzwoniłam? Ty taka byłaś wzruszona, że nawet nie mogłaś ze mną mówić!

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej, bez daty, pewnie 1961

Zadowolona jestem, że otrzymałaś paczkę z sukienkami, w tym tygodniu mam nadzieję, że będę mogła wysłać tę drugą paczkę. Już jest całkiem zapakowana. Tylko czekam, żeby ktoś mi pomógł zanieść paczkę na pocztę, a oni są tak zajęci. Ja znów nie czuję się bardzo dobrze – czasami zdaje mi się, że gdybym miała odwagę, tobym się zabiła, bo ja tej męczarni końca nie widzę. Cierpię od rana do nocy – i płaczę co nocy – i tak to idzie. Ciociu kochana, powiedz mi, co robić, ja już nie mam siły do tej choroby. Ciociu, powiedz mi, czy ja kiedyś wyzdrowieję? Może ja do Ciebie zadzwonię i usłyszę Twój głos – to będę się bliżej do Ciebie czuła. W niedzielę wieczór jest najtaniej, około \$ 9.00. Zobaczmy, może do Ciebie zadzwonię.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 1 lutego 1961

Lekarze teraz myślą, że ludzie z taką chorobą jak moja nie powinni być zamknięci w szpitalach, bo z tego gorzej im się robi. Moja rodzina mnie zamknęła na półtora roku! I płacili za to jeszcze – jak wyszłam, to się gorzej czułam.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 7 lutego 1961

Twoja ostatnia fotografia stoi na szafce i ja cały czas Twoją twarz widzę. Mam nadzieję, że wkrótce dostanę moje pieniądze od Niemców i przyjadę.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 23 lutego 1961

Ciekawa jestem, czy będę już z wami przed końcem miesiąca następnego. Ciekawa jestem, kiedy otrzymasz moją drugą paczkę. Zaczęłam już odkładać rzeczy na trzecią paczkę. Wczoraj znów przyszedł list od Ciebie. Gdybym tylko mogła codziennie od Ciebie coś otrzymać – jak rano wstaję i widzę list z Polski, to już się lepiej czuję. Nie mogę się doczekać tego dnia, kiedy stąd wyjadę! Zdaje mi się, że tam z wami zostanę, bo tutaj nie będę miała do kogo z powrotem wrócić. Cały wieczór mówili mi, jaka ja niedobra jestem, jak oni cierpią (!), ile pieniędzy na mnie wydali. Aby wkrótce z wami była, tam mam przeczucie, że wyzdrowieję.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 1 marca 1961

Jestem ze swoją rodziną, a ci ludzie przeklinają mnie i nie chcą mieć mnie koło siebie, jestem dla nich ciężarem. A Ty, Ciociu, prawie obcy człowiek, chcesz, abym do was przyjechała, zdając sobie sprawę z mojej sytuacji, nawet mnie na zawsze zapraszasz. Ściskam Cię z całego serca, moja ukochana Ciociu.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 9 marca 1961

Chciałabym bardzo być z wami na moje urodziny 18 kwietnia. Będę miała 30 lat. To byłby najśliczniejszy prezent.

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Brooklynu do Warszawy 11 kwietnia 1961

Moja kochana Iruś,

co do mego przyjazdu możliwe jest, że w tym tygodniu zrobię paszport. Jak wszystko już będzie przygotowane, to napiszę do [twojej] mamy. Jeśli się boisz, że Ciebie nie poznam, to zrób zdjęcie i wyślij je w następnym liście. Już prawie dwadzieścia lat upłynęło, kiedy wyjechałam z Polski. W ostatnim liście [twoja] mama mi posłała Twoją fotografię, wyglądasz bardzo elegancko. No i widać, że mieszkasz w Warszawie i pracujesz w fabryce kosmetyków.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 12 kwietnia 1961

Ciociu kochana,

codziennie czekam na list od Ciebie. U nas proces Eichmanna w Izraelu – widzimy to co dzień w telewizji. Druga rzecz, która zajmuje dużo miejsca, prawdopodobnie ktoś dojedzie do Księżyca! W międzyczasie tu, na Ziemi, nie możemy się już doczekać wiosennej pogody. Za parę dni moje urodziny. Może się jeszcze w tym roku zobaczymy. Powinnam pisać: na pewno się w tym roku zobaczymy.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 2 maja 1961

Ciociu, proszę Cię bardzo, nie bierz urlopu do tego czasu, aż będziesz wiedziała dokładnie, kiedy ja przyjeżdżam.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 8 maja 1961

Kto ze mną pojedzie do Polski (jeżeli sama nie będę mogła przyjechać), jeszcze nie wiem. Prawdopodobnie wujek Oscar. U nas święto 13 maja – Dzień Matki. Ja nie mam matki, więc chciałabym Tobie życzyć wszystkiego najlepszego z okazji święta.

30. III. 64

Bo zdrowy, psychicznie normalny  
człowiek ma trudności takie  
rzeczy zrozumieć, jestem pewna  
że w Twojej bibliotece są książki  
na temat chorób nerwowych.  
Przeżytaj pars książek - będzie  
Ci bardziej wtedy do ręki sprawa  
zrozumieć.

Myślisz że masz teraz przyjacieli  
nie mogę - bo musiałabym być  
sama - przez całą podróż.  
Sama - to znaczy bez kogoś z  
rodziny, albo dobrego znajomego.  
Z obcy mi ludźmi to jestem  
sama, a jak ja jestem  
sama - to mam taki strach  
bierze, że gracie nagle. Ten  
strach - bez obiektu jest taki  
okropny (PHOBIA) - że naj-  
gorsza boleść jest już lepsza.  
Nic więcej Ci nie napiszę

List Ireny do Janiny Sycz z 30 marca 1964

Archiwum autorki

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-  
Kamiennej 20 maja 1961

Moja droga, kochana Ciociu,

ja się boję, że Ty będziesz rozczarowana, jak mnie zobaczysz – chory człowiek nie  
jest przyjemnością – ale my się kochamy, więc może wam to nie będzie  
przeszkadzało.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 8 czerwca 1961

Chcę Ci napisać, co jest w paczce, żebym była pewna, że wszystko do Ciebie dojdzie i nikt czegoś nie ukradnie. Są tam 2 koszule męskie, 3 sukienki, 1 dziecinna dla Małgosi, 1 para bucików, 1 sweter męski, 2 p. krótkich, 4 krawaty, 2 p. spodni damskich, 5 p. kalesonów, 12 p. skarpetek męskich, 1 kostium wełniany jasnoniebieski. Napisałam też do polskiej ambasady po informację, jak mogę do was przyjechać w ramach repatriacji i w tym samym czasie nie stracić obywatelstwa amerykańskiego.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 28 czerwca 1961

Przykro mi i też wstydzę się – bo pisałam, że przyjeżdżam, a w międzyczasie ja się nie ruszam. Ja wiem, że to nie jest ładnie, sama nie wiem, jak mogę moje zachowanie wam wytłumaczyć. Gdyby to tylko ode mnie zależało, ale pytać kogoś, aby ze mną pojechał tak daleko i wydał tyle pieniędzy, to nie jest łatwo. Pisz, Ciociu, często, nie gniewaj się na mnie i spróbuj mnie zrozumieć, chociaż ja sama siebie często nie rozumiem. Ale to nic nowego. Do doktora jeszcze nie szłam, sama nie wiem, dlaczego nie idę. Nikogo to nie interesuje, czy ja idę, czy nie, ja zapomniałam, i tak czas ucieka. Pisz, Ciociu, nie gniewaj się na mnie.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 20 listopada 1961

W czwartek otrzymałam od Ciebie list z prośbą o pieniądze na domek. Mój pierwszy impuls był nic nikomu nie mówić, pójść do banku i wysłać Ci tę sumę, ale potem sobie przypomniałam, że ja taką samodzielną nie jestem, muszę porozmawiać z rodziną, chociaż mam swoje pieniądze, to oni mnie utrzymują. Wujek Leon przekonał wszystkich, że ja powinnam mieć pozwolenie rodziny [by] wysłać Ci 500 dolarów.

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Brooklynu do Warszawy 23 stycznia 1967

Droga Iruś,  
co do tego samopoczucia duchowego, to ja Ciebie bardzo, bardzo dobrze rozumiem. Ja się tak samo czuję. Też czuję się okropnie sama i niepotrzebna, może prawdopodobnie my czujemy się tak, bo nie mamy mężów i dzieci. Ale ja zawsze myślałam, że jak kobieta ma zajęcie jak Ty, to to uczucie nie jest takie głębokie.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 11 grudnia 1967

Twój ostatni list otrzymałam już po przyjeździe z Izraela. Listów nie miałam czasu pisać – bo każdy moment tam był mi drogi. Kartki, wahałam się – zdawało mi się, że może lepiej nie posyłać – bo stosunki między Polską a Izraelem nie są takie wspaniałe. Miałam poczucie, że może moje pocztówki sprawią wam nieprzyjemności ze strony sąsiadów albo listonosza. Sama nie wiem, gdzie zacząć i jak opisać, jak ja się tam wspaniale czułam! Izrael jest dla mnie najwspanialszym krajem na świecie. Żyłam w Polsce 14 lat, w USA 21 lat, ale nigdy się tak „w domu” nie czułam jak podczas mojego krótkiego pobytu tam. Tęsknię już i chcę tam z powrotem jechać.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 9 kwietnia 1968

Czasami ja sobie myślę, że jak Ty przyjedziesz, to jakoś – nie wiem sama jak – Ty mnie z tego nieszczęścia wyciągniesz. Jestem bardzo nieszczęśliwa. Przebacz, Ciociu, że tak piszę, ale nie mam przed kim się wymówić. Kto wie, może nawet wrócę z Tobą do Polski, a może Ty ze mną pojedziesz do Izraela? Ja się rozpisuję jak milionerka, ale mam dosyć teraz pieniędzy od Niemców, żeby opłacić Twoją podróż do USA. Całuję Cię, ściskam też z całego serca.

Twoja córka Irka

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 9 kwietnia 1968

Czytamy tu w gazetach, że polskim Żydom nie jest teraz bardzo wygodnie. Ale ja się nad nimi nie lituję. Oni mają swój własny kraj, tam powinni być. Ja bym wszystkich Żydów z całego świata posłała do Izraela.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 20 kwietnia 1968

Wysłałam Ci paczkę w tym tygodniu, w której było 10 sukienek, 2 swetry, 2 spódniczki, 12 bluzek. Nasze plany mieszkania w Izraelu powoli się realizują. Za parę dni znów Ci wyślę paczkę.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 20 czerwca 1968

Najpierw zrozumiesz, dlaczego tak długi czas trwał, nim się zdecydowałam odpisać – bo bardzo trudno mi było się zdecydować, w jaki sposób Cioci odpisać. Trudno mi się wyrazić i nie mogę znaleźć słów. Jedną rzecz tylko muszę napisać – że gdybym ja była na miejscu Cioci i miała taką niską opinię o Polakach, jak Ciocia ma o Żydach – ja bym Cioci nigdy o tym nie pisała, wiedząc, że to by Polaka bolało – te rzeczy, o których Ciocia pisze. Skończmy ten temat. Za trzy tygodnie jedziemy do Izraela. Jedno miejsce na całym świecie, gdzie Żyd się czuje wygodnie – bo jest sam u siebie – a nie gościem w obcych krajach. Tam nikt nie robi mu łaski. Nikt też nie krytykuje jego „prawdziwej natury”! Całuję Cię i ściskam – bo jestem wdzięczna za to, co Ciocia dla mnie podczas wojny czyniła – pomimo mojej „prawdziwej żydowskiej natury”.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 4 listopada 1968

Ja prowadzę okropnie nudne życie. Pomagam cioci i wujkowi w ordynacji, gotuję, czytam bardzo dużo, a poza tym – nic. Na drugi dzień USA wybiera nowego prezydenta. Chciałabym, żeby Humphrey wygrał, bo Nixon i Wallace są okropni bandyci<sup>[18]</sup>. Zaczęłam znów składać rzeczy na paczkę.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 24 kwietnia 1969

Byłam na poczcie dzisiaj i posłałam Ci znów paczkę. W niej było 10 sukienek, 1 sweter, 1 czerwona aksamitna beretka. Co do śniegowców, trudno znaleźć te, o których Ciocia myśli.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 15 lipca 1969

Wysłałam dzisiaj paczkę, w której jest b. ładny letni płaszcz dla Cioci, też 3 duże sukienki, dwie małe (dla Irki), spódniczka dla Irki i sweterek. Jest całkiem możliwe, że Ruth [siostra babci] się zdecyduje jechać do Jugosławii na kąpiele na reumatyzm, no i wtedy ja na pewno z nią pojedę i się zobaczymy! Czy by to nie było wspaniałe? Ja dzisiaj rano poleciałam do biblioteki i wybrałam parę książek o podróżach do Jugosławii, i czytam cały dzień.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 14 września 1970



Nazbierałam rzeczy na paczkę, zapakuję ją w tym tygodniu, ale chcę Cioci napisać, co będzie w tej paczce: 4 bluzki, 5 swetrów, 2 kostiumy kąpielowe, sukienek jest dwanaście. Ceny wszystkich rzeczy poszły okropnie do góry, więc kupiłam sobie maszynę do szycia.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 17 września 1971

Czy Ciocia pamięta, jaka ja obrażona byłam tym razem, kiedy Ciocia nie b. ładne rzeczy pisała o polskich Żydach? Ja teraz muszę się przyznać, że niestety muszę się z Ciocią zgodzić. To samo, co Ciocia pisała o polskich Żydach, można, muszę powiedzieć, o większości naszych „Żydków” z Galut (poza krajem). „Israeli” to jest inny typ. Człowiek wartościowy, rzetelny, uczciwy i oddany całym sercem dla swojego kraju. Dosyć na ten temat. Potrzebujemy więcej „Israelis” i mniej „Żydków”. Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Izraela na wycieczkę.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 9 marca 1972

Jak Ciocia wie dobrze, w kwietniu będę miała 41 lat. Moje „zdrowie” po powrocie z Izraela pogorszyło się – chociaż czuję się trochę lepiej, przynajmniej mogę jeść i spać – ale ta moja „fobia” pogorszyła się – boję się sama wyjść z domu, a gdzieś pójść, to jest niemożliwe.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 12 kwietnia 1972

Nie rozumiem, dlaczego Cioci nawet to na myśl przychodzi, że ja bym kiedyś chciała z wami kontakt zerwać! I dlaczego by wyjazd do Izraela robił różnicę w naszych stosunkach?

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej, 17 maja 1972

Wujek Oscar dostał atak sercowy. Jest pogrzebany w Izraelu, bo my mamy zamiar tam jechać.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 22 maja 1973

Ja tylko marzę o Izraelu. My się jeszcze nie pakujemy, ale zaczynamy pomału sprzedawać rzeczy, których nie będziemy tam potrzebować.

List Ireny Schwarz do Janiny Sycz wysłany z Brooklynu do Skarżyska-Kamiennej 19 grudnia 1973

Mamy plany, żeby wyjechać 5 stycznia 1974. Nasze meble i wszystkie rzeczy są już na okręcie. Zaczynam nowy kawałek życia.

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Natanji do Warszawy 15 listopada 1978

Sama nie wiem, jak długo już do Ciebie nie pisałam. Napisałam do [twojej] mamy parę miesięcy temu – i w ogóle odpowiedzi nie dostałam. Sama nie wiem, co myśleć. Ja teraz pracuję. Uczę angielskiego w Instytucie Języków dla dorosłych. Od tej chwili, że przyjechałam do Izraela, zaczęłam „żyć”. Całkiem wyzdrowiałam. Czuję się wspaniale – jako zdrowy, normalny człowiek.

Setki monotonnych listów opowiadających to samo; nawet gdy Irena czuła się lepiej, to – po chorobie i elektrowstrząsach – nie przypomina ciekawej świata, bystrej dziewczynki, którą była, gdy wyruszała do Ameryki. I jakby od pierwszych listów weszły w przydzielone im po narodowościach role. Żydowska ciocia z przekonaniem, że wszystko da się przeliczyć na pieniądze i to załatwi sprawę. Polska ciocia, z całą wielką miłością i cierpliwością do Ireny, że jak Żydzi mają pieniądze, to dlaczego z nich nie skorzystać? Znękane odpowiedzi Ireny – naprawdę nie mogę wam więcej przesłać – pokazują, że była pod stałym naciskiem. W czasie kampanii antysemitki 1968 roku szlachetna pani Syczowa zaczyna wypisywać jakieś okropne rzeczy o Żydach. A na koniec Irena Schwarz, neofitka sprawy Izraela i tworzenia tam zdrowego, nowego narodu, odcina się od swoich rodziców, którzy przecież byli tymi pogardzanymi przez nią teraz „Żydami z Galut”.

Irena Schwarz:

– Przyjechałam do Izraela, wróciłam do normalności i ciocia przestała krzyczeć. Niedługo potem zmarła.

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Natanji do Warszawy 16 stycznia 1979

Serdecznie Ci dziękuję za Twój list. Miałam łzy w oczach, jak go czytałam. Dobrze sobie wyobrażam, jak Ty się teraz czujesz. Ja też wyczuwam stratę Twojej mamy, mojej Cioci – ale na pewno nie do tego stopnia jak Ty. Od Włodka też miałam list – przed Twoim – on mnie zawiadomił o śmierci [waszej] Mamy. Co można pisać w takiej tragicznej chwili? Tylko że ja Ciebie rozumiem b. dobrze. Też straciłam rodziców. Gdybym do Ciebie mogła pisać po angielsku, toby mi było łatwiej. Kończę. Pisz!

Twoja siostra Irka

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Natanji do Warszawy 8 czerwca 1980

Kochana Iruś,

ja jestem teraz w żałobie – straciłam moją kochaną ciocię Sabinę i jestem sama. Iruś – Twoja Mama przed swoją śmiercią prosiła mnie, abym Ciebie do siebie na jakiś czas zaprosiła. Jak ciocia Sabina żyła, to nie mogłam – teraz mogę.

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Natanji do Warszawy 3 grudnia 1980

Moja kochana Iruś,

tak mnie Twój list wzruszył, że się rozplakałam. Siedziałam w kuchni i płakałam. Jutro zaraz napiszę Ci to zaproszenie i pójdę do notariusza, i zaraz Ci to wyślę. Ja muszę Tobie też moją fotografię posłać, abyś mnie na lotnisku poznała.

Twoja Relcia

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Natanji do Warszawy 12 grudnia 1980

Przyjeżdżaj. Posyłam Ci moją fotografię z pieskiem, abyście się zapoznali. On ładny, nie?

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Natanji do Warszawy 24 grudnia 1980



Irena w swoim mieszkaniu w Natanji. W tle jej obraz namalowany przez Andrzeja Sycza, 2013

Fot. Marcel Łoziński

Co do aeroplanu, jedź, jakim chcesz – nie martw się o pieniądzach.

List Ireny Schwarz do Ireny Sycz wysłany z Natanji do Warszawy  
21 stycznia 1981

Ja tutaj prawie wariuję i prawie o niczym nie mogę myśleć, tylko o Twojej wizycie.  
A co porabia Jędrek?

Irena Schwarz:

– Gdy tylko ciocia umarła, zaprosiłam Irkę, wcześniej nie mogłam tego zrobić cioci. Przyjechała na sześć miesięcy i potem przyjeżdżała znowu i znowu. Ona była katoliczką, to ją wzięłam do Rzymu.

Vera Lechtman:

– W 1980 roku, po śmierci cioci Sabiny, wuj Ireny zaprosił ją do Stanów. Chodziło o sprawy spadkowe, żeby mieszkanie cioci, które odziedziczyła Irena, zostało przepisane na jego córkę. Pojechałam z nią, bo Irena musiała mieć

kogoś do towarzystwa, żeby się poruszać tak daleko. Wuj ją dręczył, jak ona może zatrudniać polskie gosposie, przecież one ją na pewno okradają.

Irena Schwarz:

– Wujek Leon mówił: „Ona cię przechowała za pieniądze, bo goj to jest goj”. A Polak nie może być altruistą? Złożyłam wniosek o Medale Sprawiedliwych dla Janiny Syczowej, pośmiertnie, i dla jej dzieci<sup>20</sup>. Irce jako Sprawiedliwej miasto Tel Awiw dało mieszkanie, emeryturę, ubezpieczenie.

Po kilku latach częstych i długich pobytów Irki w Izraelu, Irena zaprosiła następną osobę z rodziny – Andrzeja. Miała z nim przez te wszystkie lata znacznie mniej kontaktu niż z Irką, ale czasem korespondowali. Zachował się jeden jej list do niego z 1946 roku: „Strasznie lubię dostawać listy od Ciebie, bo są b. fajne, więc pisz częściej. Nie bój się, Jędrak, zatańczymy, ale jak ja będę miała 16 lat, bo tu jest taki zwyczaj, że jak dziewczynka ma 16 lat, to jej robią bal na znak, że już zaczyna być panną. Za rok, chyba już wtedy będziecie, to wtedy sobie zatańczymy”. I jeszcze list Ireny do cici Syczowej z 1968 roku: „Mam zamiar napisać do Jędrka w tym tygodniu, mam nadzieję, że on mi moje błędy wybaczy, bo jego list jest pięknie napisany”. Andrzej zrobił doktorat z fizyki, pracował na Politechnice Śląskiej, zajmował się astrofizyką i został współautorem poczytnej popularnonaukowej książki *W kosmos na piechotę*.

Irena Schwarz:

– Andrzej, gdy był mały, był inteligentny, zamyślony, o planetach mówił, i taki też wyrósł. Pisał książki o odkryciach naukowych. Malował obrazy. Przyjechał w 1987 roku. To była od razu wielka miłość. Mieliśmy oboje po pięćdziesiąt sześć lat, on był rozwiedziony. Ale i tak Irka, która później spędzała dni na słuchaniu Radia Maryja, powiedziała nam: „Żyjecie w grzechu”, i zerwała z nami kontakt. A przecież kiedyś była komunistką, w PZPR!

Irka Sycz o przyjeździe swojego brata do Ireny: „Troszkę z tego się zrobiła romantyczna historia, bo zostali ze sobą [...], ale to może zostawmy, bo to już jest historia o dorosłych ludziach”<sup>21</sup>.

W albumie rodzinnym oglądam ich zdjęcia. Ładna z nich para. Wychodzą z morza w kroplach wody, trzymają się za ręce. W mieszkaniu wiszą obrazy pędzla Andrzeja, w tym ekspresjonistyczny, bardzo kolorowy portret Ireny.

Irena Schwarz:

– Minęły mi wszystkie lęki, jeździliśmy po świecie, byliśmy w Paryżu, w Nowym Jorku, Andrzej malował, pobraliśmy się. Po czterech latach wspólnego życia okazało się, że ma raka. Zmarł w Tel Awiwie po dalszych

czterech latach chorowania. Napisałam i wydałam małą książkę o nas, *A Holocaust Love Story*<sup>22</sup>. Już nigdy moje fobie nie wróciły.

## Podziękowania

Jak wielu jest tych, którym zawdzięczam napisanie tej książki, a nie mogę już złożyć im podziękowań. Zachowuję ich we wdzięcznej pamięci.

Żadna z moich bohaterek nie żyje.

Pamiętam, jak trudno było Dorce Zoberman wracać do jej wspomnień i że obdarzyła mnie swoją opowieścią jako darem przyjaźni. Irena Schwarz rozmawiała ze mną wielokrotnie i oddała w moje ręce swoją korespondencję. Alina Ł., mimo początkowych oporów i strachu, że zostanie „rozpoznana”, zdecydowała się odpowiedzieć na moje pytania. Marianna Adameczek zawsze cieszyła się z naszych spotkań i rozmów, ale musiała przełamywać opory rodziny.

Dziękuję też:

Z całego serca Eitanowi i Zwiemu Altmanom, synom Janiny Hescheles, Robertowi Dallekowi, który był mężem Elzy i podjął dla mnie trud powrotu do wspomnień sprzed kilkadziesiąt lat, Irenie Klepfisz, przyjaciółce Elżuni Frydrych, która przeczytała i poprawiła mój tekst o niej (a też Jerzemu Warmanowi, który mnie jej polecił), oraz wszystkim rodzinom moich bohaterek i ich przyjaciółom, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać.

Verce Lechtman, która mnie poznała z Ireną Schwarz oraz z towarzyszami ukrywania się Dory Zoberman i jeździła ze mną odwiedzać ich po całym Izraelu.

Marcelowi Łozińskiemu, który towarzyszył mi w podróżach po Polsce i Izraelu, robiąc zdjęcia moim bohaterkom.

Witkowi Traczowi, w którego mieszkaniu zatrzymywałam się w Tel Awiwie, Daniemu Traczowi, którzy zawsze był gotów przyjść mi z pomocą, oraz Irenie Grudzińskiej-Gross i Michałowi Kottowi, którzy mnie gościli w czasie moich amerykańskich poszukiwań.

Annie Edelman i Aleksandrowi Edelmanowi, którzy znaleźli dla mnie w archiwum domowym listy pisane przez Elżunię Frydrych do ich rodziców (od nich pochodzi większość jej zdjęć pokazanych w książce, w tym fotografia na okładce).

Judith Lyon-Caen, która podzieliła się ze mną materiałami o Janinie Hescheles i Michale Borwiczu.

Alinie Molisak, która udostępniła mi materiały archiwalne o Bogdanie Wojdowskim.

Natalii Aleksyun, Lei Balint, Barbarze Engelking, Elżbiecie Janickiej, Hannie Krall, Alinie Skibińskiej, Joannie Sobolewskiej-Pyz, Joannie Tokarskiej-Bakir – za pomoc i wsparcie.

Agnieszce Reszce i Monice Taras z archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, Anat Bratman-Elhalel i Noamowi Rachmilevitchowi z archiwum Lochamei ha-Getaot, Marii Seheń z archiwum Yad Vashem oraz Noamowi Zylberbergowi z Działu Genealogii ŻIH za życzliwą i kompetentną pomoc w moich poszukiwaniach archiwalnych.

Helenie Łuczywo, której wnikliwa redakcja moich kolejnych „pierwszych wersji” ustrzegła mnie przed wieloma niedopatrzzeniami i błędami.

Katarzynie i Piotrowi Niemczyckim, w których domu pisałam.

Monice Sznajderman i całemu Wydawnictwu Czarne za ich życzliwość i entuzjazm.

Dla Magdy Budzińskiej, mojej redaktorki z Wydawnictwa Czarne, jak zwykle nie mam słów, żeby wyrazić mój podziw dla jej przenikliwości i uważności.



# Bibliografia

## Archiwa

### Biblioteka Narodowa

Wojdowski Bogdan, *Alka*, maszynopis z odręcznymi poprawkami, Rps akc. 18734

Wojdowski Bogdan, *Dziennik 1981–1984*, rękopis, Rps akc. 21008

### Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Biuro Udostępniania (AIPN BU)

Akta paszportowe Janiny Hescheles, 1538/7219

Akta paszportowe Dory Zoberman, 1548/487

### Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Kielcach (AIPN Ki)

Akta w śledztwa w sprawie o udział w zabójstwie obywateli polskich narodowości żydowskiej prowadzonego przeciwko: Edward Brzyszczy i innym, 013/1036

### Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie (AIPN Lu)

Akta prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Lublinie w sprawie Kazimierza Tarkowskiego, Jana Zdunka, 319/399

Akta w sprawie karnej Jana Książka i innych, 331/106

Akta w sprawie karnej Stanisława Podstawki i innych, 326/153

### Archiwum kibucu Lochamej ha-Getaot (AKLH)

Alfabetyczny spis Żydów, którzy korzystali z pieniężnej zapomogi Rady Pomocy Żydom „Żegota” w Krakowie, Kolekcja Adolfa Bermana 5826

Janina (Janka) Hescheles, *Wiersze*, Holdings Registry 10066

Janina (Janka) Hescheles, *Wspomnienia*, Collections Section 2249

Maria Hochberg-Mariańska [M. Peleg], *Wspomnienia. Komu bije dzwon*, niedatowane, Holdings Registry 12338

Irena Zgrzemska [Sendler], *Zeznanie*, niedatowane, Kolekcja Adolfa Bermana 87669

## **Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, dział „Neofici”**

Korespondencja w sprawie Janiny Hescheles, L 7578/45, L 6897/45, L 149/45, L 158/45,  
oraz list Janiny Hescheles z 5.10.1945, bez sygn.

## **Visual History Archive (VHA)**

Relacja Marianny Adameczek, Warszawa, 24.09.1998, 49044

Relacja Josepha Betela, Toronto, 9.06.1995, 3112

Relacja Ireny Dragičević, z domu Sycz, Warszawa, 6.07.1998, 48969

## **Archiwum Yad Vashem (AYV)**

Kolekcja Michała Borwicza, P.28

Teczka rodziny Syczów, M.31.2/2272

Teczka Stanisława i Feliksy Adameczków, M.31.2/6004

## **Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego (AŻIH)**

Zespół 221: Rada Żydowska w Warszawie 1939–1945

Dokumenty Cyli i Zelmana Frydrychów i ich córki Elizy, lata 1937–1942, 29

Zespół 301: Relacje Żydów Ocalałych z Zagłady

Relacja Dory Soberman, 3743

Zespół 303/V: Centralny Komitet Żydów w Polsce. Wydział Ewidencji i Statystyki

Karty rejestracyjne Elżbiety Frydrych, 425, 428

Zespół 303/IX: Centralny Komitet Żydów w Polsce. Wydział Oświaty

Korespondencja z Janiną Sycz, 673, 781

Kraków – Dom Dziecka. Wykaz imienny wychowanków 1945–1949, 1193

Zespół 350: American Jewish Joint Distribution Committee 1945–1949

Korespondencja z Janiną Sycz, 321

Materiały dotyczące Dory i Pauliny Zoberman, 2471

Zespół 351: Hebrajskie Stowarzyszenie Pomocy Imigrantom HIAS

Korespondencja z Janiną Sycz, 215

Zespół 352: Wojewódzki Komitet Żydowski w Warszawie 1945–1950

List Centralnego Komitetu „Bundu” do Wojewódzkiego Komitetu Żydów w Polsce  
z 9.01.1946, 132

## **Archiwa prywatne**

## Archiwum autorki

Korespondencja Ireny Schwartz i jej krewnych z Janiną Sycz i jej dziećmi, 1945–1981

## Anny i Aleksandra Edelmanów

Alina Margolis-Edelman, Brudnopis tekstu wydrukowanego jako *Historia jednej dziewczynki*

Elżunia Frydrych, *Mój życiorys*, rękopis, niedatowany

Listy Elżuni Frydrych do Aliny Margolis-Edelman i Marka Edelmana i inna korespondencja dotycząca Elżuni

## Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej

Maszynopisy, listy i dokumenty osobiste Bogdana Wojdowskiego

## Judith Lyon-Caen

Materiały archiwalne o Michale Borwiczu i Janinie Heschels

## Publikacje

### Książki

Adameczek Marianna, [bez tytułu] [w:] *Dzieci Holocaustu mówią...*, t. 1, red. Wiktoria Śliwowska, Warszawa 1993

Alina, *Dostałam nowe życie* [w:] *Dzieci Holocaustu mówią...*, t. 5, red. Anna Kołacińska-Gałązka, Warszawa 2013

Altman Janina, *Ha-wered ha-lawan – studentim we-anszej ha-mada lifnej wacharej sze-Hitler higija l'szilton* [Biała Róża. Studenci i intelektualiści przed dojściem Hitlera do władzy i potem], Hajfa 2007

Arczyński Marek, Wiesław Balcerak, *Kryptonim „Żegota”*, Warszawa 1983

Bazanowska Noemi, *To był mój dom. Żydowski Dom Dziecka w Krakowie w latach 1945–1957*, Kraków–Warszawa 2011

Bereś Witold, Krzysztof Burnetko, *Marek Edelman. Życie. Po prostu*, Warszawa 2008

Bikont Anna, *Cena. W poszukiwaniu żydowskich dzieci po wojnie*, Wołowiec 2022

Bikont Anna, *Sendlerowa. W ukryciu*, Wołowiec 2017

Borwicz Michał, *Écrits de condamnés a mort sous l'occupation nazie (1939–1945)*, Paris 2023

Borwicz Michał, *Literatura w obozie*, Kraków 1946

- Borwicz Michał „Zygmunt”, *Spod szubienicy w teren*, Paryż 1980
- Borwicz Michał, *Uniwersytet zbirów*, Kraków 1946
- Engelking Barbara, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2013
- Ferenc Maria, „Każdy pyta, co z nami będzie”. *Mieszkańcy getta warszawskiego wobec wiadomości o wojnie i Zagładzie*, Warszawa 2021
- Frydrych Shatzkin Elza, *Przemysł – December 1942* [w:] *The Tribe of Dina. A Jewish Women's Anthology*, ed. by Melanie Kaye-Kantrowitz, Irena Klepfisz, Boston 1986
- Goldstein Bernard, *The Stars Bear Witness*, transl. by Leonard Shatzkin, London 1950
- Grupińska Anka, *Ciągle po kole. Rozmowy z żołnierzami getta warszawskiego*, Warszawa 2000
- Grupińska Anka, *Odczytanie listy. Opowieści o powstańcach żydowskich*, Kraków 2002
- Hescheles Janina, *À travers les yeux d'une fille de douze ans*, trad. par Agnieszka Żuk, Paris 2016
- Hescheles Janina, *Oczyrna dwunastoletniej dziewczyny*, Warszawa 1946
- Hescheles Janina, *Oczyrna dwunastoletniej dziewczyny*, Warszawa 2015
- Hescheles Janka-Janina, *Wiersze 1942–1945* [w:] *Pieśń ujdzie cało... Antologia wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką*, red. Michał Borwicz, Warszawa–Łódź–Kraków 1947
- Klepfisz Irena, *Bashert* [w:] *Her Birth and Later Years. New and Collected Poems 1971–2021*, Middletown 2022
- Klin David, *À cache-cache avec la mort. Un résistant juif à Varsovie de 1939 à 1945*, Paris 2017
- Koźmińska-Frejlik Ewa, *Po Zagładzie. Praktyki asymilacyjne Ocalałych jako strategie zadomawiania się w powojennej Polsce (1944–1950)*, Warszawa 2022
- Krall Hanna, *Zdążyć przed Panem Bogiem*, Kraków 2000
- Kulmowa Joanna, *Moja pełnia czyli Wiersze lubiane*, Warszawa 2000
- Leociak Jacek, *Ścieżka losu. O pewnym literackim świadectwie wędrówki w poszukiwaniu ratunku* [w:] *Zarys krajobrazu. Wieś polska wobec Zagłady Żydów 1942–1945*, red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Warszawa 2011
- Mariańscy Maria i Mordechaj, *Wśród przyjaciół i wrogów. Poza gettem w okupowanym Krakowie*, Kraków 1988
- Molisak Alina, *Judaizm jako los. Rzecz o Bogdanie Wojdowskim*, Warszawa 2004
- Schwarz Irene, *A Holocaust Love Story*, Ra'anana 2000
- Shneiderman Samuel L., *Between Fear and Hope*, transl. by Norbert Guterman, New York 1947
- Szurek Jean-Charles, *Powiat łukowski* [w:] *Dalej jest noc. Los Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*, red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, t. 1, Warszawa 2018
- Tan Amy, *The Opposite of Fate. A Book of Musings*, New York 2003

Wojdowski Bogdan, *Ścieżka* [w:] tegoż, *Mały człowieczek, nieme ptaszę, klatka i świat. Opowiadania*, Warszawa 1975  
Wojdowski Bogdan, *Wakacje Hioba* [w:] tegoż, *Wybór opowiadań*, Warszawa 1981

## Artykuły i strony internetowe

Bikont Anna, *Ala z elementarza*, „Gazeta Wyborcza”, 18.12.1999  
Bikont Anna, *Raz napadł na nas młody chłopak i strzelał, myśmy już nie uciekali. Morderstwa popełniane przez członków AK i BCh na Żydach ze wsi Strzegom*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2014, nr 10  
Bikont Anna, *Zagłada Żydów ze wsi Strzegom*, „Gazeta Wyborcza”, 4.12.2014  
Lyon-Caen Judith, *Michel Borwicz: między Polską a Francją, między literaturą a historią*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2017, nr 13  
Margolis-Edelman Alina, *Historia jednej dziewczynki*, „Gazeta Wyborcza”, 25.10.2005  
Shatzkin Mike, *Not All the Victims of Hitler Died before He Did*, 11.10.2009, [idealogue.com](http://idealogue.com), [bit.ly/3zsb54b](http://bit.ly/3zsb54b), dostęp: 04.04.2023  
Stomma Stanisław, *Oskarżenie ze wszystkich najstraszniejsze*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 49  
Szczęsna Joanna, *Jak bundowiec z syjonistą*, „Gazeta Wyborcza”, 25.09.2012  
Szurek Jean-Charles, *Marianna Adameczek (1930–2017)*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2017, nr 13  
*Temat okupacji nie został jeszcze wyczerpany. Z Bogdanem Wojdowskim rozmawiała Barbara Herman*, „Folks-Sztyme” 1972, nr 21  
Wojdowski Bogdan, *Alka*, „Folks-Sztyme” 1973, nr 2–18  
Wojdowski Bogdan, *Najniższa cena*, „Przegląd Kulturalny” 1957, nr 9, przedruk: „Midrasz” 2014, nr 3

Strony internetowe poświęcone Janinie Heschel: [facebook.com/Janina.Hesheles.Altman](https://facebook.com/Janina.Hesheles.Altman), dostęp: 11.11.2022, i [janinahesheles.tumblr.com](https://janinahesheles.tumblr.com), dostęp: 11.11.2022

## Filmy

*Le Carnet de Janina*, reż. Isabelle Vayron, 2017  
*The Story of Janina Heschel*, reż. Chen Shelach, 2015, [youtube.com](https://youtube.com), [bit.ly/3MpshP4](http://bit.ly/3MpshP4), dostęp: 29.05.2023

## Rozmowy

Barbara Adameczek, 2015  
Marianna Adameczek, 2013–2016

Eitan Altman, 2022, 2023  
Zwi Altman, 2023  
Stefania Bąk, 2012  
Joe Betel, 2013  
Anat Bratman-Elhalel, 2022  
Lynne Coffin, 2023  
Robert Dallek, 2023  
Anna Edelman, 2023  
Mieczysława Gawłowicz, 2012  
Maria Iwaszkiewicz-Wojdowska, 2014  
Irena Klepfisz, 2019, 2022, 2023  
Ewa Koźmińska-Frejłak, 2023  
Hanna Krall, 2022  
Vera Lechtman, 2012–2023  
Judith Lyon-Caen, 2022  
Alina Ł., 2015  
Córka Aliny Ł., 2015  
Marcel Łoziński, 2014  
Alina Margolis-Edelman, 1999  
Natan Milstein (Milsztajn), 2013  
Pola Milstein (Milsztajn), 2013  
Alina Molisak, 2015  
Zbigniew Niziński, 2022  
Córka Jana Pisuli, 2012  
Noam Rachmilevitch, 2022  
Adam Daniel Rotfeld, 2014, 2021  
Debora Sapin, 2015  
Irena Schwarz, 2013  
Karen Shatzkin, 2023  
Mike Shatzkin, 2023  
Nance Shatzkin, 2023  
Maugosia Sycz, 2022  
Jean-Charles Szurek, 2023  
Monika Taras, 2023  
Sylwia Zielińska, 2023  
Stella Zilbersztajn, 2022  
Dora Zoberman, 2012–2014

## Przypisy końcowe

- <sup>1</sup> Joanna Kulmowa, *Klasy [w:] tejże, Moja pełnia czyli Wiersze lubiane*, Warszawa 2000.

# Przypisy końcowe

## 1 Elżunia

- 1 Hanna Krall, *Zdążyć przed Panem Bogiem*, Kraków 2000, s. 6.
- 2 Tamże, s. 65.
- 3 Tamże, s. 107–108.
- 4 Elza Frydrych Shatzkin, *Przemysł – December 1942* [w:] *The Tribe of Dina. A Jewish Women's Anthology*, ed. by Melanie Kaye-Kantrowitz, Irena Klepfisz, Boston 1986, s. 165–167. Wszystkie cytaty ze źródeł angielskojęzycznych w przekładzie Heleny Łuczywo.
- 5 Bernard Goldstein, *The Stars Bear Witness*, transl. by Leonard Shatzkin, London 1950.
- 6 Mapa getta warszawskiego [w:] Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2013.
- 7 Świadcstwo Ilzy Frydrych, 7.06.1942, Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego (dalej – AŻIH) 221/29.
- 8 Notatki o pomocy leczniczej, udzielanej członkowi rodziny ubezpieczonego lub innej osobie – córka Eliza, AŻIH 221/29.
- 9 Tak opisał go Bernard Goldstein w książce *The Stars Bear Witness*, dz. cyt., s. 248.
- 10 Tamże, s. 249–250.
- 11 Maria Ferenc, „Każdy pyta, co z nami będzie”. *Mieszkańcy getta warszawskiego wobec wiadomości o wojnie i Zagładzie*, Warszawa 2021.
- 12 Elżunia Frydrych, *Mój życiorys*, rękopis, niedatowany, archiwum prywatne Anny i Aleksandra Edelmanów.
- 13 Bernard Goldstein, *The Stars Bear Witness*, dz. cyt., s. 302–304.
- 14 Tamże, s. 305–307.
- 15 Zakładam, że nazywali się Chomątowscy. W wydanej po angielsku książce Goldsteina występują jako „Chumatovsky”, a Elżunia w życiorysie pisze „Homontowscy”.
- 16 Tamże, s. 309.
- 17 Elżunia Frydrych, *Mój życiorys*, dz. cyt.



- 18 Bernard Goldstein, *The Stars Bear Witness*, dz. cyt.
- 19 Elżunia Frydrych, *Mój życiorys*, dz. cyt.
- 20 Bernard Goldstein, *The Stars Bear Witness*, dz. cyt., s. 311.
- 21 Elżunia Frydrych, *Mój życiorys*, dz. cyt.
- 22 Bernard Goldstein, *The Stars Bear Witness*, dz. cyt. To najście zostało też opisane przez jedną z osób, która ukrywała się wtedy u Szczerbińskiego (David Klin, *À cache-cache avec la mort. Un résistant juif à Varsovie de 1939 à 1945*, Paris 2017).
- 23 Bernard Goldstein, *The Stars Bear Witness*, dz. cyt., s. 322.
- 24 Hanna Krall, *Zdążyć przed Panem Bogiem*, dz. cyt., s. 63–64.
- 25 Anka Grupińska, *Odczytanie listy. Opowieści o powstańcach żydowskich*, Kraków 2002; Anka Grupińska, *Ciągle po kole. Rozmowy z żołnierzami getta warszawskiego*, Warszawa 2000.
- 26 Tamże; List Centralnego Komitetu „Bundu” do Wojewódzkiego Komitetu Żydów w Polsce z 9.01.1946, AŻIH 352/132.
- 27 Tamże.
- 28 Alina Margolis-Edelman, *Historia jednej dziewczynki*, „Gazeta Wyborcza”, 25.10.2005.
- 29 Tamże.
- 30 Irena Klepfisz, *Bashert [w:] Her Birth and Later Years. New and Collected Poems 1971–2021*, Middletown 2022, s. 151.
- 31 Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, *Marek Edelman. Życie. Po prostu*, Warszawa 2008, s. 234.
- 32 Anka Grupińska, *Ciągle po kole*, dz. cyt., s. 304.
- 33 Elżunia Frydrych, *Mój życiorys*, dz. cyt.
- 34 Tamże.
- 35 Alina Margolis-Edelman, *Historia jednej dziewczynki*, dz. cyt.
- 36 Anka Grupińska, *Ciągle po kole*, dz. cyt., s. 304.
- 37 Alina Margolis-Edelman, *Historia jednej dziewczynki*, dz. cyt.
- 38 Alina Margolis-Edelman, Brudnopis tekstu wydrukowanego jako *Historia jednej dziewczynki*, archiwum prywatne Anny i Aleksandra Edelmanów.
- 39 Anka Grupińska, *Ciągle po kole*, dz. cyt., s. 293.
- 40 List Centralnego Komitetu „Bundu” do Wojewódzkiego Komitetu Żydów w Polsce, dz. cyt.

- 41 Anka Grupińska, *Ciągle po kole*, dz. cyt., s. 304.
- 42 Rozmowa z Moniką Taras, 2023.
- 43 Anna Bikont, *Ala z elementarza*, „Gazeta Wyborcza”, 18.12.1999.
- 44 Alina Margolis-Edelman, *Historia jednej dziewczynki*, dz. cyt.
- 45 Tamże.
- 46 Anka Grupińska, *Ciągle po kole*, dz. cyt., s. 305.
- 47 Tamże.
- 48 Tamże.
- 49 Karta rejestracyjna Frydrych Elżbieta, nr 43627, z 2.04.[1946], AŻIH 303/V/428. Elżunia jest też odnotowana w Wydziale Ewidencji i Statystyki (Karta Elżbieta Frydrych, AŻIH 303/V/425).
- 50 Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, *Marek Edelman*, dz. cyt., s. 237.
- 51 Tamże.
- 52 Alina Margolis-Edelman, *Historia jednej dziewczynki*, dz. cyt.
- 53 Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, *Marek Edelman*, dz. cyt., s. 237.
- 54 Joanna Szczęśna, *Jak bundowiec z syjonistą*, „Gazeta Wyborcza”, 25.09.2012.
- 55 Alina Margolis-Edelman, *Historia jednej dziewczynki*, dz. cyt.
- 56 Wszystkie listy od Elżuni z archiwum prywatnego Anny i Aleksandra Edelmanów. Zarówno w nich, jak i innych dokumentach cytowanych w książce nieznacznie poprawiłam ortografię i interpunkcję.
- 57 Mike Shatzkin, *Not All the Victims of Hitler Died before He Did*, 11.10.2009, ideal og.com, bit.ly/3zsb54b, dostęp: 04.04.2023.
- 58 Tamże.
- 59 Tamże.
- 60 Komentarz Davida Hortona, tamże.
- 61 Tamże.
- 62 Tamże.
- 63 Tak opisała ją Faith Sale, cyt. za: Amy Tan, *The Opposite of Fate. A Book of Musings*, New York 2003, s. 257.
- 64 Irena Klepfisz, *Bashert*, dz. cyt.
- 65 Mike Shatzkin, *Not All the Victims of Hitler...*, dz. cyt.
- 66 Wypowiedź Faith Sale, cyt. za: Amy Tan, *The Opposite of Fate*, dz. cyt., s. 258.
- 67 Irena Klepfisz, *Bashert*, dz. cyt., s. 150.

68 Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, *Marek Edelman*, dz. cyt., s. 237.

69 List Elżuni Frydrych do Aliny Margolis z 30.07.1946.

# Przypisy końcowe

## 2 Blima

- 1 Wypowiedzi Marianny Adameczek – ta i dalsze – są zapisem rozmów, które z nią przeprowadziłam w latach 2013–2016, z drobnymi uzupełnieniami z wywiadu, którego udzieliła Archiwum Fundacji Shoah (Visual History Archives, dalej – VHA, 49044, rozmowa przeprowadzona w Warszawie 24.09.1998), jej relacji przygotowanej przez Stowarzyszenie „Dzieci Holocaustu” (Marianna Adameczek, [bez tytułu] [w:] *Dzieci Holocaustu mówią...*, t. 1, red. Wiktoria Śliwowska, Warszawa 1993) i życiorysu, który złożyła w Yad Vashem (Marianna Adameczek, Życiorys, Charlejew, marzec 1993, Teczka Stanisława i Feliksy Adameczków, Archiwum Yad Vashem, dalej – AYV, M.31.2/6004).
- 2 W oświadczeniu pisanim na potrzeby Yad Vashem Maria Adameczek twierdziła, że Dorę Ajzenberg przyprowadził nie Chaim, ale jej brat Lejb (Oświadczenie Marii Adameczek z 6.10.1999, Teczka Stanisława i Feliksy Adameczków, dz. cyt.).
- 3 Pismo Marianny Adameczek, bez tytułu, do Kazimierza Adameczka z 6.10.1999, Teczka Stanisława i Feliksy Adameczków, dz. cyt.
- 4 Akta w sprawie karnej Stanisława Podstawki i innych, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie (dalej – AIPN Lu) 326/153. Śledztwo umorzono.
- 5 Akta prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Lublinie w sprawie Tarkowski Kazimierz, Zdunek Jan, AIPN Lu 319/399.
- 6 Akta w sprawie karnej Jana Książka i innych, AIPN Lu 331/106. Śledztwo zawieszono wobec nieujęcia podejrzanego.
- 7 Kazimierz Adameczek, *Historia przechowywania Żydów we wsi Ernestynów, gmina Serokomla*, maszynopis, Teczka Stanisława i Feliksy Adameczków, dz. cyt.
- 8 Teczka Stanisława i Feliksy Adameczków, dz. cyt.
- 9 Marianna Adameczek, Życiorys, dz. cyt.
- 10 Spotkanie odbyło się w kwietniu 2014 roku w bundowskim ośrodku Centre Medem w Paryżu, przyszło około stu osób (Jean-Charles Szurek, *Marianna Adameczek (1930–2017)*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2017, nr 13).
- 11 Jean-Charles Szurek, *Powiat łukowski [w:] Dalej jest noc. Los Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*, t. 1, Warszawa 2018.
- 12 Kazimierz Adameczek, *Historia przechowywania Żydów...*, dz. cyt.

# Przypisy końcowe

## 3 Janka

- 1 Janina (Janka) Heschel, *Wspomnienia*, Archiwum kibucu Lochamej ha-Getaot (dalej – AKLH), Collections Section 2249.
- 2 Rozmowa z Ewą Koźmińską-Frejłak, 2023.
- 3 Wszystkie cytaty za wydaniem krytycznym *Wspomnień: Janina Heschel, Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, Warszawa 2015, s. 44.
- 4 Tamże, s. 45.
- 5 Tamże, s. 54.
- 6 Samuel L. Shneiderman, *Between Fear and Hope*, transl. by Norbert Guterman, New York 1947, s. 288–290.
- 7 Janina (Janka) Heschel, *Wiersze 1942–1945*, AKLH 10066, przedruk w: tejże, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 137.
- 8 Tamże, s. 60–61.
- 9 Janina (Janka) Heschel, *Wiersze 1942–1945*, dz. cyt., przedruk w: *Pieśń ujdzie cało... Antologia wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką*, red. Michał Borwicz, Warszawa–Łódź–Kraków 1947, s. 270.
- 10 Janina Heschel, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 63.
- 11 *Pieśń ujdzie cało...*, dz. cyt., s. 272.
- 12 List Janiny Heschel do Michała Borwicza z 9.03.1956, AYV, Kolekcja Borwicza P.28.
- 13 Janina Heschel, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 70.
- 14 Rozmowa z Ewą Koźmińską-Frejłak, 2023.
- 15 Janina Heschel, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 71.
- 16 Tamże, s. 72–73.
- 17 Tamże, s. 76.
- 18 Tamże, s. 80.
- 19 Piotr Laskowski, *Postowie* [w:] tamże, s. 168.
- 20 Janina Heschel, *Epilog* [w:] tamże, s. 154.

- 21 Rozmowa Judith Lyon-Caen z Janiną Hescheles o Michale Borwiczu, 2017. Nagranie w archiwum Judith Lyon-Caen. Dziękuję za jego udostępnienie.
- 22 Michał Borwicz, *Literatura w obozie*, Kraków 1946, s. 48–49; Michał Borwicz, *Écrits de condamnés a mort sous l'occupation nazie (1939–1945)*, Paris 2023, s. 391–392.
- 23 Michał Borwicz „Zygmunt”, *Spod szubienicy w teren*, Paryż 1980, s. 46.
- 24 Tamże.
- 25 Tamże.
- 26 Janina Hescheles, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 82.
- 27 Alfabetyczny spis Żydów, którzy korzystali z pieniężnej zapomogi Rady Pomocy Żydom „Żegota” w Krakowie, AKLH, Kolekcja Adolfa Bermana 5826.
- 28 List Janki Altman do Marka Arczyńskiego wraz ze wspomnieniami z okresu okupacji hitlerowskich w Polsce, Hajfa, 30 września 1978 [w:] Marek Arczyński, Wiesław Balcerak, *Kryptonim „Żegota”*, Warszawa 1983, s. 261–264.
- 29 Anna Bikont, *Sendlerowa. W ukryciu*, Warszawa 2017, s. 339.
- 30 Maria Hochberg-Mariańska, *Przedmowa* [w:] Janina Hescheles, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 36.
- 31 Maria Hochberg-Mariańska [M. Peleg], *Wspomnienia. Komu bije dzwon*, niedatowane, AKLH, Holdings Registry 12338. Wspomnienia Mariańskiej i jej męża znalazły się także w ich wspólnej książce: Maria i Mordechaj Mariańscy, *Wśród przyjaciół i wrogów. Poza gettem w okupowanym Krakowie*, Kraków 1988.
- 32 Maria Hochberg-Mariańska, *Wspomnienia*, dz. cyt.
- 33 Irena Zgrzemska [Sendler], *Zeznanie*, niedatowane, AKLH, Kolekcja A. Bermana 87669.
- 34 Maria Hochberg-Mariańska, *Wspomnienia*, dz. cyt.
- 35 Tamże.
- 36 Tamże.
- 37 Janina Hescheles, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 145.
- 38 Maria Hochberg-Mariańska, *Wspomnienia*, dz. cyt.
- 39 List Janki Altman do Marka Arczyńskiego..., dz. cyt.
- 40 Janina Hescheles, *Oczyma dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 146.
- 41 List Urzędu Parafialnego w Poroninie do Księżęco-Metropolitalnej Kurii w Krakowie z 10.09.1945, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, dział „Neofici”, L 149/45.

- 42 List Księżęco-Metropolitalnej Kurii w Krakowie do Urzędu Parafialnego w Poroninie z 20.09.1945, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, dział „Neofici”, L 6897/45.
- 43 List Urzędu Parafialnego w Poroninie do Księżęco-Metropolitalnej Kurii w Krakowie z 6.10.1945, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, dział „Neofici”, L 158/45.
- 44 List Janiny Hescheles do Księżęco-Metropolitalnej Kurii w Krakowie z 5.10.1945, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, dział „Neofici”, bez sygnatury.
- 45 Kartka z zapisem „Pozwolono” i datą 16 października 1945, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, dział „Neofici”, L 7578/45.
- 46 Janina Hescheles, *Epilog*, dz. cyt., s. 156.
- 47 Akta paszportowe Janiny Hescheles, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Biuro Udostępniania (dalej – AIPN BU) 1538/7219. Jej podanie o paszport nosi datę 27 czerwca 1949 roku, dostała go 21 sierpnia 1950.
- 48 Janina Hescheles, *Epilog*, dz. cyt., s. 156.
- 49 Rozmowa Judith Lyon-Caen z Janiną Hescheles..., dz. cyt.
- 50 Maria Hochberg-Mariańska, *Przedmowa*, dz. cyt., s. 36.
- 51 Nota kolegium redakcyjnego [w:] Janina Hescheles, *Oczyrna dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 33–34.
- 52 We wstępie podano, że książkę zredagowała Maria Hochberg-Mariańska.
- 53 Ewa Koźmińska-Frejłak, *Zestawienie różnic między tekstem oryginalnym a pierwszym wydaniem wspomnień Janiny Hescheles* [w:] Janina Hescheles, *Oczyrna dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 115–131.
- 54 Guillem Calaforra, *Z przedmowy do drugiego wydania katalońskiego* [w:] Janina Hescheles, *Oczyrna dwunastoletniej dziewczyny*, dz. cyt., s. 161–164.
- 55 Ten list i kolejne: AYV, Kolekcja Borwicza P.28.
- 56 Janina Altman, *Ha-wered ha-lawan – studentim we-anszej ha-mada lifnej wacharej sze-Hitler higija l’szilton* [Biała Róża. Studenci i intelektualiści przed dojściem Hitlera do władzy i potem], Hajfa 2007.
- 57 *Le Carnet de Janina*, reż. Isabelle Vayron, 2017.
- 58 Tamże.
- 59 Janina Hescheles, *Epilog*, dz. cyt., s. 159.
- 60 Janina Hescheles, *À travers les yeux d’une fille de douze ans*, trad. par Agnieszka Żuk, Paris 2016, s. 101.

61 *Le Carnet de Janina*, dz. cyt.

62 Fragmenty spektaklu w dokumencie *The Story of Janina Heschels*, reż. Chen Shelach, 2015, youtube.com, bit.ly/3MpshP4, dostęp: 29.05.2023.

63 *Le Carnet de Janina*, dz. cyt.

64 *The Story of Janina Heschels*, dz. cyt.

65 Eitan Altman jest autorem stron internetowych poświęconych matce: facebook.com/Janina.Hesheles.Altman, dostęp: 11.11.2022, i janinahesheles.tumblr.com, dostęp: 11.11.2022.



# Przypisy końcowe

## 4 Dorka

- 1 Relacja Dory Soberman, odbierała Róża Bauminger, niedatowana [1947 lub 1948 rok], AŻIH 301/3743. Cytuję z niewielkimi skrótami, wstawiłam podziękowania akapity, poprawiłam interpunkcję. Ujednoliciłam też w tekście pisownię nazwiska, stąd Zobermanów, pisanych raz przez „S”, raz przez „Z”, piszę konsekwentnie przez „Z”, tak jak Dora zapisywała swoje nazwisko po wojnie.
- 2 O Dorze Zoberman i mordowaniu Żydów w lasach koło wsi Strzegom pisałam wcześniej w roczniku „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” (*Raz napadł na nas młody chłopak i strzelał, myśmy już nie uciekali. Morderstwa popełniane przez członków AK i BCH na Żydach ze wsi Strzegom*, 2014, nr 10) i w „Gazecie Wyborczej” (*Zagłada Żydów ze wsi Strzegom*, 4.12.2014). Dziękuję Joannie Tokarskiej-Bakir, od której dostałam uporządkowane przez nią relacje z archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego dotyczące Sandomierszczyzny, tam natrafiłam na zeznanie Dory Zoberman.
- 3 Relacja Josepha Betela, Toronto, 9.06.1995, VHA 3112.
- 4 Ojciec Dory zeznał, że to się działo w kwietniu 1944 roku, bez podania daty dziennej (Protokół przesłuchania Fiszela Zobermana z 9.05.1950, AIPN Ki 013/1036).
- 5 Kraków – Dom Dziecka. Wykaz imienny wychowanków 1945–1949, AŻIH 303/IX/1193.
- 6 *The Zoberman Twins* [w:] Dokument bez nazwy, niedatowany, AŻIH 350/2471. Dziękuję Alinie Skibińskiej za jego udostępnienie.
- 7 Dr Gruszczyński, referat *Dlaczego ginęli ojcowie nasi, matki nasze... (z opowieści dzieci żydowskich)*, niedatowany, AŻIH 350/2471.
- 8 Żydowski dom dziecka w Krakowie świetnie opisała Noemi Bażanowska w książce *To był mój dom. Żydowski Dom Dziecka w Krakowie w latach 1945–1957*, Kraków–Warszawa 2011.
- 9 Odpis doniesienia Fiszela Zobermana z 15.05.1949, zapisany 13.06.1949, AIPN Ki 013/1036. Fragment doniesienia z poprawionymi nazwiskami.
- 10 Na podstawie doniesienia Zobermana 7 września 1949 roku wszczęto dochodzenie i wytoczono sprawę karną Edwardowi Brzyszczeni, Wacławowi Brzyszczeni,

- Władysławowi Janowskiemu, Danielowi Stawiarzowi i Antoniemu Wronie (AIPN Ki 013/1036). Rozprawa główna odbyła się 23 i 24 listopada oraz 20 grudnia 1950 przed Sądem Apelacyjnym w Kielcach na sesji wyjazdowej w Sandomierzu.
- 11 Protokół przesłuchania Fiszela Zobermana z 9.05.1950, dz. cyt.
  - 12 Protokół przesłuchania Agnieszki Macias z 4.08.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 13 Protokół rozprawy głównej z 23.09.1950 przed Sądem Apelacyjnym w Kielcach na sesji wyjazdowej w Sandomierzu, AIPN Ki 013/1036.
  - 14 Protokół przesłuchania Fiszela Zobermana z 9.05.1950, dz. cyt.
  - 15 Protokół konfrontacji Jana Pawełka i Władysława Janowskiego z 13.04.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 16 Protokół przesłuchania Stefana Bąka z 13.04.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 17 Protokół rozprawy głównej z 20.12.1959, AIPN Ki 013/1036.
  - 18 Akt oskarżenia przeciwko Edwardowi Brzyszczeni, Wacławowi Brzyszczeni, Władysławowi Janowskiemu, Danielowi Stawiarzowi, Antoniemu Wronie z 10.07.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 19 Protokół przesłuchania Wacława Brzyszcza z 1.07.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 20 Tamże.
  - 21 Protokół konfrontacji Stefana Tałaja i Wacława Brzyszcza z 5.05.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 22 Protokół przesłuchania Jana Sojki z 5.07.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 23 Protokół przesłuchania Leona Adamczyka z 5.05.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 24 Protokół przesłuchania Leona Reczki z 8.02.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 25 Protokół przesłuchania Stefana Bąka z 13.04.1950, dz. cyt.
  - 26 Protokół przesłuchania Jana Pisuli z 21.09.1949, AIPN Ki 013/1036.
  - 27 Protokół przesłuchania Czesława Gawłowicza z 14.02.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 28 Protokół przesłuchania Fiszela Zobermana, dz. cyt.
  - 29 Protokół przesłuchania Stefana Bąka z 12.11.1949, AIPN Ki 013/1036. Stefan Bąk zeznaje tu co prawda jako świadek, a nie oskarżony, ale jest już po wyroku, osadzony w więzieniu w Sztumie.
  - 30 Protokół przesłuchania Walerii Joncy z 5.07.1950, Protokół przesłuchania Adama Dudka z 30.05.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 31 Protokół oględzin miejsca przestępstwa, Strzegom, 5.07.1950, AIPN Ki 013/1036.
  - 32 Protokół przesłuchania Sabiny Stawiarz z 2.07.1950, AIPN Ki 013/1036.

- 33 Oświadczenie do sądu z 25.06.1950, AIPN Ki 013/1036.
- 34 W akcie oskarżenia podano, na podstawie oświadczeń oskarżonych, że Edward Brzyszczy, Waław Brzyszczy, Władysław Janowski, Daniel Stawiarz i Antoni Wrona od 1942 roku należeli do Związku Walki Zbrojnej, potem AK. Gdy powstały Bataliony Chłopskie, Władysław Janowski i Antoni Wrona przeszli do tej organizacji (Uzasadnienie aktu oskarżenia z 10.07.1950, AIPN Ki 013/1036). W publikacjach o działalności AK i BCH w tamtych stronach nie pojawiają się ich nazwiska (Wojciech Borzobohaty, „Jodła”. *Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK 1939–1945*, Warszawa 1988; Bogdan Hillebrandt, *Partyzantka na Kielecczyźnie 1939–1945*, Warszawa 1967; Janusz Gmitruk, *Ku zwycięstwu. Konspiracyjny ruch ludowy na Kielecczyźnie 1939–1945*, Warszawa 2003; Piotr Matusak, *Ruch oporu na ziemi opatowsko-sandomierskiej w latach 1939–1945*, Warszawa 1976; Stanisław Kos, *Bataliony Chłopskie w Tarnobrzescu 1940–1945*, Sandomierz 1997; Henryk Strzelecki, *Testament pokolenia*, Warszawa 2006; Piotr Sierant, *2 Pułk Piechoty Legionów Armii Krajowej*, Warszawa 1996). Dziękuję Jerzemu Mazurkowi za pomoc w skompletowaniu bibliografii.
- 35 Przesłuchanie Władysława Janowskiego z 11.04.1950, AIPN Ki 013/1036.
- 36 Protokół rozprawy głównej z 13.11.1950. Wyjaśnienia Edwarda Brzyszczy i Władysława Janowskiego, AIPN Ki 013/1036.
- 37 Wyjaśnienia Jana Błąda i Józefa Karcza, AIPN Ki 013/1036.
- 38 Protokół rozprawy głównej z 20.12.1950, AIPN Ki 013/1036.
- 39 Prośba o ułaskawienie złożona przez Anielę i Antoniego Brzyszczy, rodziców Waława, 9.11.1951, AIPN Ki 013/1036.
- 40 Dora Zoberman przyjechała najpewniej do Radomia na rozprawę sądu w Kielcach, ośrodek w Radomiu, która odbyła się 22.09.1959 (Protokół rozprawy głównej, AIPN Ki 013/1036). Ostatecznie Sąd Najwyższy w Warszawie 26 października 1962 roku zwolnił skazanych z zarzutów (Wyrok Sądu Najwyższego z 26.10.1962, AIPN Ki 013/1036).
- 41 Akta paszportowe Dory Zoberman, AIPN BU 1548/487. Pracowała w ministerstwie kultury jako starszy radca w Biurze Współpracy Kulturalnej z Zagranicą (Podanie paszportowe z 20.06.1963, tamże).
- 42 Notka naczelnika wydziału II Biura Paszportów z 8.08.1959, AIPN BU 1548/487.
- 43 Podanie Dory Zoberman do Biura Paszportów z 14.06.1965, AIPN BU 1548/487.
- 44 Podanie Dory Zoberman do Biura Paszportów z 1.07.1966, AIPN BU 1548/487.
- 45 Prośba Danuty Janowskiej do Prezydenta z 17.11.1951, AIPN Ki 013/1036.

<sup>46</sup> Postanowienie Sądu Najwyższego o odszkodowaniu z 21.02.1997, AIPN Ki 013/1036.

# Przypisy końcowe

## 5 Małka

- 1 Wszystkie cytaty ze *Ścieżki* za: Bogdan Wojdowski, *Ścieżka* [w:] tegoż, *Mały człowieczek, nieme ptaszę, klatka i świat. Opowiadania*, Warszawa 1975, s. 55–169.
- 2 Alina Molisak, *Judaizm jako los. Rzecz o Bogdanie Wojdowskim*, Warszawa 2004.
- 3 Bogdan Wojdowski, *Alka*, „Fołks-Sztyme” 1973, nr 3.
- 4 Cytuję *Ścieżkę* za publikacją książkową, zakładając, że liczne zmiany struktury i stylu w stosunku do pierwowzoru zostały wprowadzone przez Wojdowskiego czy też – jeżeli były dziełem redaktora książki – zostały przez niego zaakceptowane. Jednak kilka zmian, na co wskazuje Alina Molisak, ma wyraźnie charakter ingerencji cenzorskich (Alina Molisak, *Judaizm jako los*, dz. cyt.). Maszynopis *Alki* z nielicznymi odręcznymi poprawkami znajduje się w Bibliotece Narodowej, Rps akc. 18734.
- 5 List Bogdana Wojdowskiego do Jerzego Ficowskiego z 23.07.1975, cyt. za: Alina Molisak, *Judaizm jako los*, dz. cyt., s. 232.
- 6 List Bogdana Wojdowskiego do Zdzisława Libery z 11.07.1975, cyt. za: tamże, s. 232. Materiały Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej zostały mi za jej zgodą udostępnione przez Alinę Molisak, za co serdecznie obydwu dziękuję.
- 7 Alina, *Dostałam nowe życie* [w:] *Dzieci Holocaustu mówią...*, t. 5, red. Anna Kołacińska-Gałązka, Warszawa 2013, s. 169.
- 8 Tamże, s. 168.
- 9 Bogdan Wojdowski, *Alka*, „Fołks-Sztyme” 1973, nr 10 i 11.
- 10 Anna Bikont, *Sendlerowa. W ukryciu*, Wołowiec 2018, s. 187.
- 11 Bogdan Wojdowski, Relacja z 21.08.1990, archiwum prywatne Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej.
- 12 O autobiograficznym aspekcie powieści *Chleb rzucony umarłym* Wojdowski mówił w wywiadzie dla „Fołks-Sztyme”: *Temat okupacji nie został jeszcze wyczerpany. Z Bogdanem Wojdowskim rozmawiała Barbara Herman* (1972, nr 21).
- 13 Bogdan Wojdowski, *Życiorys*, 14.08.1973, archiwum prywatne Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej.

- 14 Bogdan Wojdowski, *Najniższa cena*, „Przegląd Kulturalny” 1957, nr 9, przedruk: „Midrasz” 2014, nr 3.
- 15 Jacek Leociak, *Ścieżka losu. O pewnym literackim świadectwie wędrówki w poszukiwaniu ratunku* [w:] *Zarys krajobrazu. Wiś polska wobec Zagłady Żydów 1942–1945*, red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Warszawa 2011, s. 449.
- 16 Bogdan Wojdowski, *Życiorys*, dz. cyt.
- 17 Bogdan Wojdowski, *Życiorys 2*, niedatowany, archiwum prywatne Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej.
- 18 Bogdan Wojdowski, *Dziennik 1981–1984*, wpis z 1.05.1984, Biblioteka Narodowa, Rps akc. 21008. O podobieństwach Stasia Kamińskiego do Wojdowskiego pisze Alina Molisak i cytuje ten fragment niepublikowanego dziennika.
- 19 Obszerniej piszę o tym w książce *Cena*.
- 20 Dziękuję Konstantemu Gebertowi za pomoc w ustaleniu słów modlitwy.
- 21 Jacek Leociak, *Ścieżka losu*, dz. cyt., s. 461.
- 22 Bogdan Wojdowski, *Wakacje Hioba* [w:] tegoż, *Wybór opowiadań*, Warszawa 1981, s. 8.
- 23 List Bogdana Wojdowskiego do Jerzego Turowicza z 5.11.1989, kopia z archiwum prywatnego Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej.

## Przypisy końcowe

### 6 Irena

- 1 Listy w archiwum autorki. Cytuję ich fragmenty, nie zaznaczając skrótów. Minimalnie skorygowałam interpunkcję i ortografię.
- 2 Relacja Ireny Dragičević, z domu Sycz, Warszawa, 6.07.1998, VHA 48969.
- 3 Janina Sycz, Oświadczenie z 14.04.1958, Teczka rodziny Syczów, YVA M.31.2/2272.
- 4 Tamże.
- 5 Relacja Ireny Dragičević, dz. cyt.
- 6 Irena Schwarz, Oświadczenie z 13.12.1981, Teczka rodziny Syczów, dz. cyt.
- 7 Janina Sycz, Oświadczenie..., dz. cyt.
- 8 List Komitetu Żydowskiego w Skarżysku-Kamiennej do Jointu w Warszawie, 26.11.1945, AŻIH 350/321. Irena Schwarz została zarejestrowana w komitecie żydowskim w Skarżysku-Kamiennej 8 lipca 1946.
- 9 List Janiny Sycz do CKŻP, niedatowany, AŻIH 303/IX/673.
- 10 Obszernie piszę o tym w książce *Cena*.
- 11 List Janiny Sycz do Zarządu Jointu w Warszawie z 23.10.1945, AŻIH 350/321.
- 12 List HIAS-u do Janiny Sycz z 12.06.1946, AŻIH 351/215.
- 13 Relacja Ireny Dragičević, dz. cyt.
- 14 Tamże.
- 15 Tamże.
- 16 List Marjem Hochweiss do Janiny Sycz z 9.06.1958.
- 17 Relacja Ireny Dragičević, dz. cyt.
- 18 List Janiny Sycz do CKŻP z 20.08.1945, AŻIH 303/IX/781; List Janiny Sycz do Zarządu Jointu, dz. cyt.
- 19 Relacja Ireny Dragičević, dz. cyt.
- 20 Janina Sycz (1906–1979) otrzymała Medal Sprawiedliwej wśród Narodów Świata w 1982 roku, a jej dzieci – Włodzimierz Sycz, Andrzej Sycz i Irena Dragičević – w 1988 roku.
- 21 Relacja Ireny Dragičević, dz. cyt.

22 Irene Schwarz, *A Holocaust Love Story*, Ra'anana 2000. Andrzej Sycz przyjechał w 1987 roku, zachorował w 1991, zmarł w 1995.



## Przypisy

- [1] O tym, jak został zastrzelony Mendek, wiemy z relacji ocalałego z jego rodziny: „Sonia Szpigelsztajn została zatrzymana przez sołtysa Czerwonki Jana Zdunka [...], a następnie na drugi dzień została wydana Niemcom, po czym rozstrzelana. Zaznaczam, że po zabiciu mojej bratanek pozostał przy życiu 6-letni synek, którego Niemcy przed rozstrzelaniem zmusili do wykopania sobie grobu, w czasie wykonywania tej czynności, bratanek mój uciekł, Niemcy, strzelając za nim, ranili go w nogę i upadł na ziemię. Wówczas Tarkawski łopatą żelazną dobił malca i pogrzebał go (Zażalenie Abrama Szpigelsztajna do Prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Lublinie, 16.11.1946, Akta prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Lublinie w sprawie Tarkowski Kazimierz, Zdunek Jan, AIPN Lu 319/399).
- [2] Był to obóz pracy przy zakładach zbrojeniowych podlegających SS, który był jednocześnie obozem śmierci. Jak to opisał jego więzień, historyk i eseista Michał Borwicz, „mordowanie odbywało się wszelkimi sposobami: grzebanie żywcem, wieszanie, strzelanie, topienie, zamrażanie i »wykańczanie« biciem. Za miejsce straceń służył każdy metr kwadratowy obozu”, a stałym elementem krajobrazu był stos palących się na wzgórzu trupów (Michał Borwicz, *Literatura w obozie*, Kraków 1946, s. 9). Patrz też: Michał Borwicz, *Uniwersytet zbirów*, Kraków 1946.
- [3] Jadwiga Strzałecka po wojnie wyjechała z mężem z Polski i zmarła niedługo później w Paryżu na raka.
- [4] W tej wersji pamiętnik zaczyna się pogromem: z powodów cenzuralnych nie można było wydrukować pierwszych czterech stron, na których Janina opisuje, jak świeżo wypuszczony z sowieckiego więzienia ojciec pojawia się w domu. Te strony znajdują się w edycji krytycznej z 2015 roku, z której w tym tekście cytuję. Pamiętnik został zauważony w prasie, pisał o nim między innymi Stanisław Stomma (tegoż, *Oskarżenie ze wszystkich najstraszniejsze*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 49).
- [5] Hebrajskie *ketuba* (w jidysz *ksube*) – żydowski kontrakt ślubny odczytywany podczas ceremonii ślubu i podpisywany przez świadków.
- [6] W tym referacie, jak i w relacji przygotowanej dla Jointu, jest sporo błędów merytorycznych wynikających ewidentnie z nieuważnego słuchania dziewczynek, na przykład gospodarz, u którego pracowały po wojnie, występuje jako Polak, który je w czasie wojny przechował. Te teksty uprzytamniają, jakim cudem jest

świadcstwo Dory, spisane przez Żydowską Komisję Historyczną; ile trzeba było wiedzy, uwagi i empatii, by uzyskać taką relację.


- [7] Zoberman mówił, że wiele zabójstw widział schowany na skraju lasu. To nie brzmi prawdopodobnie. Musiał słyszeć o nich od znajomych Polaków, tylko chciał dodać swoim zeznaniom wiarygodności, mając świadomość, że jego informatorzy nie będą zeznawać ze strachu. Tak samo Szmul Wasersztajn, którego świadcstwo uruchomiło proces morderców z Jedwabnego, twierdził, że wszystko widział na własne oczy, a w rzeczywistości dowiedział się o szczegółach zbrodni od polskich świadków.
- [8] Ciekawe jest spostrzeżenie świadka, że ofiara była w ubraniu. Musiał słyszeć, że Żydom kazano się przed śmiercią rozbierać, żeby zabrać ich ubrania nieuszkodzone.
- [9] Dora podaje, że Zelik był trochę starszy od niej, czyli miał wtedy więcej niż sześć, siedem lat, a jego siostra dwanaście. Musieli wyglądać na mniej. Jak opisywała Dora, głodowali.
- [10] Jan Pisula pokazał, gdzie na jego posesji zostały pochowane dzieci. Dokonano wizji lokalnej, na zdjęciu widać dwie czaszki, jedna rozłupana, obok jakieś kostki i podpis: „Po wykopaniu zwłok dwoje małoletnich dzieci narodowości żydowskiej w lesie obok wsi Strzegom” (Protokół oględzin miejsca przestępstwa z 28.05.1950, AIPN Ki 013/1036).
- [11] Morderca Leon Cieniek, „żołnierz wyklęty”, był po wojnie w podziemiu antykomunistycznym (pseudonimy „Juhas” i „Zdrajca”, złapany w obławie w sierpniu 1950 roku w bunkrze między Staszowem a Strzegomiem) i tak trafił do książki wydanej przez krakowski IPN: Krystyna Bień-Orlicz, *O sprawiedliwy wymiar kary. Losy organizacji niepodległościowej Ludwika Machalskiego ps. „Mnich”*, Kraków 2012.
- [12] Druga siostra mordercy, Marianna Stawiarz, jak zeznawał jeden ze świadków, miała opowiadać: „Ja sama słyszałam, jak się skarżyła ta Żydóweczka, że ją Daniel strasznie męczy podczas stosunków” (Protokół przesłuchania świadka Stanisława Bryły z 13.05.1950, AIPN Ki 013/1036). „Tak ludzie mówili, że Stawiarz zrobił ją swoją kochanką, z którą żył, i ona miała być w ciąży” – zeznawał kolejny świadek (Protokół przesłuchania świadka Antoniego Obarzanka z 13.05.1950, AIPN Ki 013/1036). Naczelnik wydziału śledczego w Kielcach meldował: „Wiosną 1943 bracia Stawiarz Witalis i Stawiarz Daniel, synowie Michała, zam. obaj w tym czasie w Bukowej, zabili młodą niewiastę w wieku lat około 17, która była w ciąży ze Stawiarzem Danielem. W tym czasie do Bukowej szedł Obarzanek Antoni, zam. w Więzownicy Kolonii, i spotkał idącą od Stawiarzów córkę Bryły Stanisława –


Helene, która płakała. Zapytał ją, o co płacze, ona odpowiedziała, że o tą zabitą Żydówkę. Kiedy Obarzanek wracał z Bukowej, to poszedł na podwórko Stawiarza i widział tę niewiastę zabitą i przykrytą badyłami. Nazywała się Fajnkuchen Rywka, c. Dawida. Po wywiezieniu zamordowanej Żydówki do lasu przez braci Stawiarzów wykopali oni mały dołek, ponieważ była zamarznięta ziemia, kiedy zwłoki nie chciały się zmieścić, połamali jej ręce i nogi i dopiero zakopali” (Meldunek do naczelnika wydziału śledczego w Kielcach od komendanta UB w Staszowie z 3.11.1961, AIPN Ki 013/1036).

- [13] Dwóch, Andrzeja Wronę i Stefana Sikorę, uniewinniono. Wyrok zapadł 20 grudnia 1950 roku. Rok później, 9 listopada, odbyła się rozprawa rewizyjna i Sąd Najwyższy utrzymał w mocy zaskarżony wyrok (Protokół rozprawy głównej z 9.11.1951, AIPN Ki 013/1036). Na salę rozpraw w Sandomierzu zwieziono zapewne publiczność, można tak wnioskować z tego, co czytamy w odwołaniu jednego z oskarżonych: „Patrzący się na to, słuchacze, którzy to byli z miasta i okolic, oraz młodzież szkół średnich, okazywało ogromne zaskoczenie i niezadowolenie” (Pismo Waława Brzyszcza z więzienia w Barczewie do Sądu Wojewódzkiego w Kielcach, 16.08.1956, AIPN Ki 013/1036).
- [14] Tałaj – dziesięć lat; Stawiarz – dziesięć lat; Konat – piętnaście lat, Bąk – piętnaście lat; Janowski – dożywocie; Waław Brzyszc – piętnaście lat; Edward Brzyszc – dożywocie (Pismo do Sądu Wojewódzkiego w Kielcach z 4.02.1952, AIPN Ki 013/1036).
- [15] W papierach Wojdowskiego jest też niedatowany brudnopis listu do Pawła Śpiewaka: „*Ścieżka* jest maksymalnie ścisłym, mimo że [nieczytelne] reportażem z relacji konkretnej żyjącej osoby” (archiwum prywatne Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej).
- [16] Ida Bark była siostrą Edwardy Wojdowskiej z domu Bark, matki Bogdana.
- [17] W tym samym liście pisał gorzko o publikowaniu w „Fołks-Sztyme” (gdzie, jak wspominałam, ukazał się pierwowzór *Ścieżki*): „Od 68 roku moje kontakty z prasą polską są żadne, dwadzieścia lat pracy – proszę to sobie wyobrazić – zasłużyło sobie na kwaśne i nieliczne wzmianki. Ja, pisarz polski, drukuję w żydowskim tygodniku »Fołks-Sztyme«, to jedyne moje schronienie”.
- [18] Richard Nixon startował z ramienia republikanów, Hubert Humphrey z ramienia demokratów, George Wallace jako kandydat niezależny. Wygrał Nixon.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

[czarne.com.pl](http://czarne.com.pl)

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:

ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

al. Jana Pawła II 45A lok. 56

01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: [d2d.pl](http://d2d.pl)

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, e-mail: [info@d2d.pl](mailto:info@d2d.pl)

Wołowiec 2023

Wydanie I